



Catherine Cookson

Sprawiedliwość

-jest kobietą

Część pierwsza

Rozdział 1

Rozumiem więc z tego, że zdradził pan swoją klasę.

- A do jakiej klasy według pana należę?

Starszawy jegomość siedzący w kącie przedziału pierwszej klasy wydał wargi i uniósł dumnie głowę.

- Sądząc ze sposobu zachowania, ubioru i wysławiania się, powiedziałbym, że do wyższych warstw klasy średniej, lecz im dłużej rozmawiamy, tym pańska pozycja wydaje mi się coraz niższa.

- A więc pan wyrzuca mnie z klasy średniej?

- To pan powiedział.

Zajmujący miejsce naprzeciwko młody mężczyzna zagryzł wargę i spuścił głowę, po czym spojrzał na swoją towarzyszkę, która siedziała równie sztywno wyprostowana jak ów starszawy jegomość i z podobnym wyrazem twarzy.

- Joe - mruknęła tonem wymówki, na co on poklepał ją po kolanie, po czym przeniósł spojrzenie na towarzysza podróży.

- Pańskie pokolenie najwyraźniej nie widzi, że czasy się zmieniły. Wojna przydała robotnikowi pewności siebie. Przestał się uważać za towar, za środek wymienny. Wypłynął na powierzchnię i po

raz pierwszy dostrzegł w sobie człowieka. Jeśli nie będzie się właściwie traktować robotników, sami zaczną rządzić.

- Robotnik nigdy nie będzie przywódcą, prawdziwym przywódcą. To leń i nierób. Potrafi jedynie krzyczeć i dużo gadać, lecz nie jest w stanie wzniecić buntu. Takim zawsze trzeba kierować, czy to w wojsku, czy w cywilu. To naturalny porządek rzeczy. Tak nakazał Bóg i natura.

- Boże Wszechmogący! - wykrzyknął Joe Remington, zrywając się z miejsca. Starszawy jegomość wyglądał, jakby kij połknął, a żona Joego, Elaine, zacisnęła gwałtownie powieki. Za chwilę poczuła, że mąż chwyta ją za ramię i ciągnie w górę.

- Dzięki Bogu już dojeżdżamy. Chodź.

- Joe, proszę cię.

Puścił jej ramię, otworzył przed nią drzwi przedziału, po czym zdjął z półki bagaż i obrzucając towarzysza podróży niechętnym spojrzeniem, wyszedł na korytarz.

Kiedy pociąg stanął na dworcu w Newcastle, Elaine Remington, wysiadając, ostentacyjnie nie skorzystała z pomocy męża. Odwrócił się więc i ruszył do wagonu bagażowego. Musiała na niego poczekać, bo to on miał bilety. Kiedy z trzema ciężkimi walizami wyszli przed dworzec, Joe pierwszy przerwał milczenie.

- Jestem zaskoczony, że stanęłaś po jego stronie.

- Na takie dyskusje jest odpowiedni czas i miejsce, a przedział nie nadaje się do roztrząsania takiego tematu jak klasa społeczna.

- Przecież to on podniósł ten temat.

- Jak byś się zachował, gdybyś spotkał go ponownie?
- To mało prawdopodobne.
- Powiedział, że zatrzyma się u lorda Mentona.
- Tak, pamiętam.
- Mówiłeś przecież, że dwór lorda Mentona jest niedaleko twojego domu. Właściwie to jesteście sąsiadami.
- Nie twierdziłem jednak, że mój ojciec i Menton składają sobie wizyty.
- Jestem w stanie zrozumieć, że twój ojciec nie składa mu wizyt, ale czy to znaczy, że ty też nie?
- Dokładnie tak, Elly, lecz dajmy temu spokój, kochanie
- powiedział nieco łagodniejszym tonem. - Jeśli mamy się kłócić, to o coś poważniejszego niż o tego starego zatwardziałca. No, uśmiechnij się. - Objął ją ramieniem. - Jak nie, to zaraz cię pocałuję i będzie sensacja, bo nie leży w tutejszym zwyczaju całować się w miejscu publicznym. - A kiedy się blado uśmiechnęła, powiedział: - Tak już lepiej. Wreszcie słońce wyjrzało zza chmur. Gdzież ten David?! Telefonowałem do niego. Powinien tu być.
- Czy ty zawsze zwracasz się do służby po imieniu?
- Po imieniu? - Joe zszedł z krawężnika na jezdnię, wypatrując kogoś w oddali. - Wychowywaliśmy się razem z Davidem. Nie traktuję go jak służącego.
- Jego żony też nie? Odwrócił się w jej stronę.
- Nie, Hazel też nie - odpowiedział cicho.
- Ale do głównego kamerdynera zwracasz się po nazwisku,

Duffy.

- To dlatego że od dzieciństwa tak go nazywano... Ale wiesz co, Elly? - Wrócił na chodnik. - Nie traktujemy Duffy'ego jak kamerdynera. My nie miewamy kamerdynerów. Przecież wiesz.

- Ale on pełni obowiązki kamerdynera. Podaje do stołu i spełnia funkcje lokaja.

- Elly - powiedział miękko. - Będziemy musieli wysłać cię na kursy. Nie zapominaj, że zamieszkasz na przedmieściach Fellburn. Widziałaś już to miejsce, byłaś w naszym domu, poznałaś tych ludzi. Prawda, że była to krótka wizyta, ale chyba pamiętasz, jak ci mówiłem, że Fellburn, Newcastle i cały okręg Tyne bardzo różnią się od Londynu, nawet bardziej niż Pekin od Paryża. Podejrzewam, że Chińczycy i Francuzi mają ze sobą więcej wspólnego niż londyńczycy z mieszkańcami Tyneside. Pamiętasz rozmowę, którą odbyliśmy po wizycie u ojca?

- Pamiętam, Joe - oznajmiła sucho.

- I co wtedy powiedziałaś?

Spojrzała na tłum czarno odzianych robotników, który nagle wyrósł wokół nich jak spod ziemi i płynął w stronę dworca.

- To nie czas i miejsce po temu - mruknęła. Objął ją ramieniem.

- To twoje ulubione powiedzenie, prawda? Nie dam się zbyć i przypomnę, co wtedy mówiłaś. Skróci nam to czas oczekiwania na Davida. Powiedziałaś: „Najdroższy Joe, nie dbam o to, kim jest czy będzie twój ojciec. Nie przeszkadza mi, że do końca życia będę zmuszona z nim mieszkać, skoro ty także będziesz tam mieszkał”. O ile

dobrze pamiętam, to dodałaś, że mnie uwielbiasz i umrzesz, jeśli nie zostaniesz moją żoną.

- Joe?

- Tak, kochanie?

- Zamknij się!

- Tak, kochanie - rzucił żartobliwym tonem, lecz wtedy właśnie rozległ się klakson samochodu. Spojrzał w tamtym kierunku i wykrzyknął: - Ach, jest wreszcie David! - Po czym dodał już z mniejszym entuzjazmem: - Dobry Boże! Przywiózł ze sobą Dana. - Odwrócił się do niej i wyjaśnił: - Wybacz, kochanie. To jest teść Davida. Potrafi być nieznośny. Przepraszam cię za niego.

Przy krawężniku zatrzymał się Rolls- Royce, rocznik 1912. Tył miał kabine, natomiast przód był zadaszony, lecz odkryty po bokach. Za kierownicą siedział wysoki mężczyzna, który na pierwszy rzut oka wyglądał na Murzyna, lecz w rzeczywistości był mieszzańcem. Skórę miał koloru czekolady, włosy czarne, lecz nie kręcone. Robił wrażenie przystojnego młodego mężczyzny. W przeciwieństwie do niego jego teść, Dan Egan, był drobnym mężczyzną o pociągłej twarzy, z blizną na policzku jak po cięciu mieczem.

- Witaj, Davidzie.

- Witaj, Joe. Witam... panią.

David zawahał się, a Elaine spojrzała na niego wyniośle i ledwie raczyła skinąć głową.

- Czy mieliście dobrą podróż?

- Wyjątkowo dobrą, Davidzie. Pociąg był prawie pusty.

- Boją się przyjść, bo nie będą mogli się wycofać. Wszystko stanie dziś w nocy. Pokażemy im.

Joe i David wymienili spojrzenia. Tymczasem Dan Egan perorował dalej do przedniej szyby:

- Kraj jest po naszej stronie, wszyscy bez wyjątku. Założę się, że na długo zapamiętają ten trzeci maja 1926. Już my im pokażemy.

Joe pomógł wsiąść żonie do samochodu, po czym zajął miejsce obok niej. David po załadowaniu bagażu usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Tymczasem Dan Egan nie przestawał gadać. Nie można go było nie słuchać. Jedyne wyjście było zasunięcie szyby oddzielającej ich od szoferki, lecz Joe nie mógł tego zrobić.

- Niższe zarobki i dłuższy czas pracy. Możecie w to uwierzyć? Ale nie ustąpimy. Ani na jotę. Ani centa mniej, ani minuty dłużej. Takie jest prawo Cooka i nas wszystkich. Baldwin, Churchill, cała ta zgraja... Ktoś powinien wpakować kulę w łeb Churchillowi. Nazywa nas wrogami. Robotnik to wróg ojczyzny, powiada. Pokażemy, kto tu jest wrogiem. Komisja Samuela. Słyszałeś o czymś takim? - Zwrócił się do Davida. - Unowocześnić przemysł, powiadają, połączyć mniejsze kopalnie, polepszyć warunki pracy, to znaczy założyć prysznic. Prysznic, pojmujesz? Proponują nam dłuższy czas pracy i niższe zarobki, a w zamian dają prysznic. Gadają jak jacyś cholerni pomyeńcy. Prysznic... żeby mieli sobie gdzie dupy myć...

- Dan! - Joe klepnął go w ramię. - Wiesz, co by powiedzieli w klubie? Tu są damy.

Dan obejrzał się przez ramię i napotkał zimny wzrok Elaine.

- Trochę mnie poniosło. Przepraszam - burknął. - Pewnie pan myśli, że korzystam z pańskiego wozu. Nigdy o to nie prosiłem. Szedłem do domu, kiedy David mnie zauważył i powiedział, że nie będziecie mieć nic przeciwko temu.

- Oczywiście że nie mamy nic przeciwko temu. Rozumiemy, że to gorący okres.

- Gorący? - Ponownie odwrócił twarz do przedniej szyby. - „Gorący” to łagodnie powiedziane, chłopcze. Zanim to wszystko się skończy, spadnie parę głów. Zapamiętaj moje słowa. O północy zacznie się strajk powszechny. Kolejarze, transportowcy, przemysł ciężki, gazownie, elektrycy, wszyscy. Cały kraj za nami stanie.

Joe ścisnął Elaine za rękę i spojrzał na nią bezradnie. A Dan gadał i gadał. Tymczasem samochód przejechał przez most w Gateshead, następnie minął Fellburn, doki i Bog's End, potem park i wzgórze Brampton. Za nim znajdowały się wielkie prywatne rezydencje i nowe osiedla pobudowane na kolejnym wzniesieniu, skąd widać było wieże kopalni Beulah i górniczą wioskę. Potem minęli otoczoną murem posiadłość lorda Mentona, za którą rozciągała się otwarta przestrzeń; droga pięła się lekko w górę, prowadząc do domu Joego Remingtona, noszącego nazwę Fell Rise.

Dopiero kiedy samochód pokonał wzniesienie, można było dostrzec fragment domu, przypominający wyglądem wieżę kościelną. Trzeba było jednak minąć pas drzew, szerokie ogrodzenie, żelazną bramę i wjechać na podjazd wysadzany modrzewiami, by przekonać się, że owa wieża stanowi zakończenie przeszklonego obserwatorium.

Górowała ona nad licznymi krytymi czerwoną dachówką spadzistymi dachami. Z obserwatorium roztaczał się szeroki widok na okolicę.

Odnosiło się również wrażenie, że każdy z pokoi na drugim piętrze domu ma osobne zadaszenie, fasada bowiem poprzecinana była czterema żłobieniami, przechodzącymi niżej w rynny. Poniżej spadzistego okapu liczne okna, ozdobione drewnianymi wolutami, sięgały do samego parteru. Wszystkie drewniane fragmenty konstrukcji zostały pomalowane na czerwono, łącznie z drzwiami wejściowymi, do których prowadziły cztery wąskie stopnie.

Żwirowany podjazd przechodził z lewej strony w brukowany dziedziniec, którego jeden bok zajmowały przybudówki i stajnie zamienione na garaż. Pod kątem prostym do garażu ciągnęły się pomieszczenia kuchenne, trzeci zaś bok stanowiła jedna ze ścian domu z ogromnym witrażowym oknem.

Po prawej stronie podjazdu ciągnął się szeroki trawnik, na który prowadził wąski taras ze schodami. Dalej zaś mieścił się otoczony siatką kort. Całą przestrzeń otaczały schludnie utrzymane grządki kwiatowe. Resztę siedmioakrowego terenu zajmował ogród warzywny na tyłach domu, cztery szklarnie i wspaniały ogród różany. Za nim znajdowały się jezioro i las.

Kiedy David zatrzymał samochód przed głównym wejściem, Joe wysiadł pierwszy i wyciągnął obie ręce do Elaine.

- Jesteśmy na miejscu. Witaj w domu, pani Remington. Pomógł jej wysiąść i poprowadził ku schodom. Po chwili jednak zatrzymał się.

- Do zobaczenia, Dan! - zawołał. - Dziękuję, Davidzie. Egan nic

nie odpowiedział, natomiast David uśmiechnął się i skinął głową.

- Czy musisz, kochanie?

- Co muszę?

- Och, nic takiego - odparła z uśmiechem. - Chodzi mi o twoje zachowanie.

- Pewnie masz na myśli to, że powiedziałem „do widzenia” staremu Danowi?

- Tak, właśnie o to mi chodzi.

- No cóż... - Wyraz serdeczności zniknął z jego szerokiej twarzy, ustępując miejsca powadze, która zabrzmiała również w jego głosie. - Nie rozumiesz jeszcze tych ludzi. Ale masz na to całe życie.

Podszedł do drzwi, chcąc je otworzyć, lecz nagle klamka umknęła mu z rąk i w progu pojawiła się niska, przysadzista kobieta.

- Witamy! Byłam na górze u pana starszego i nie słyszałam, jak pan przyjechał.

- Witaj, Mary - rzucił wesoło. - A więc jesteście.

- Najwyższy czas. Jeszcze jeden dzień i wcale by pan nie wrócił. Mary Duffy mówiła do Joego, patrzyła jednak na jego żonę.

- Mam nadzieję, że czuje się pani dobrze - powiedziała -i że udał się miesiąc miodowy.

- Tak, dziękuję, pani Duffy. Żałuję jednak, że został skrócony.

- Oby tylko na tym się skończyło. Ale cieszę się, że państwo wrócili. - Spojrzała na Joego. - Pan starszy jest na górze. Nogi dają mi się we znaki. W dodatku musiał chyba naostrzyć język, kiedy dziś rano ostrzył brzytwę, bo nawet dla kota nie potrafił znaleźć dobrego słowa.

Joe poklepał ją lekko po ramieniu.

- No, no, nie mów mi, że nie dajesz sobie z nim rady. Kiedy pozwolisz mu wejść sobie na głowę, będę wiedział, że się starzejesz.

Zerknął w stronę wchodzącej po schodach żony.

- Przygotuj dobrą chińską herbatę za jakieś dwadzieścia minut - zwrócił się do Mary. - Mam nadzieję, że jest mnóstwo gorącej wody.

- Jak zwykle.

Mary Duffy patrzyła, jak wbiega po schodach za żoną, i kiedy zniknął jej z oczu, oczami wyobraźni ujrzała małego chłopca, który po raz pierwszy samodzielnie schodził ze schodów, jedną rączką trzymając się balustrady, a drugą odpychając od siebie dłoń, chcąc go podtrzymać.

Potem przypomniała sobie jeszcze jedną scenę. Joe, już jako siedmioletni chłopiec, stał dokładnie w tym samym miejscu, co teraz ona. Łzy, które z całych sił starał się powstrzymać, cisnęły mu się do oczu, dławiliły w gardle. Czekał na matkę - miała go odwieźć do szkoły z internatem dla młodych dżentelmenów. Był to ostatni etap długiej bitwy, którą stoczyła z nim matka. Lubiła mawiać, że sprawiedliwość to kobieta, i tak rzeczywiście było, bo ona, kobieta, właśnie wydała na niego wyrok. Zmusiła go, by zapłacił za swoje postęпки, i to znacznie wyższą cenę, niż na to zasługiwał.

Teraz wydało się Mary, jakby tych wszystkich lat nie było i przeszłość powróciła. Owa kobieta w eleganckiej spódniczce, która właśnie weszła po schodach, bardzo przypominała jego mamę zarówno z twarzy, jak i zachowania. Tak jakby matka ponownie się narodziła.

To dziwne, bardzo dziwne, że wybrał właśnie kogoś takiego...

Młody Joe pod wieloma względami był podobny do swego ojca. Miał równie uparty, nieustępliwy i wrażliwy, tak, wrażliwy charakter, lecz w jednym przewyższał ojca. Zdobył wykształcenie i umiał ładnie się wysławiać. Nie musiał używać przekleństw typu „cholera” i „do diabła”, by wyrazić to, co chciał powiedzieć, i nie ranił subtelnych uszu swej dystygowanej małżonki. Nie dawał sobie jednak dmuchać w kaszę i potrafił powiedzieć człowiekowi, co o nim myśli. Nie, tej młodej pani nie uda się go zawojować, i dzięki Bogu. Na razie jednak biegł za swoją żonką jak rozpalony ogier.

Herbata za dwadzieścia minut, powiedział. Chińska. Obróciła się i ruszyła wolno w stronę kuchni.

Elaine zdjęła wierzchnie okrycie i rozejrzała się po saloniku przylegającym do sypialni, który według słów Joego był kiedyś buduarem. Wciąż nosił ślady dawnego wystroju, który postanowiła jak najszybciej zmienić. Ozdobione frędzlami lambrekiny zasłaniały światło wpadające z dwóch okien, z których jedno, od frontu budynku, wychodziło na południe, drugie zaś, na wschodniej ścianie - na ogród. I jeszcze te meble w stylu Ludwika XV. Miały piękny kształt, lecz spłowiałą i miejscami wytartą tapicerkę. Tym też trzeba będzie się zająć.

- Co mówiłeś? - Spojrzała na pochylającego się nad nią Joego.
- Pytałem, pani marzycielko, czy nie zechciałabyś mi towarzyszyć na wyższe piętro i przywitać się ze swoim teściem.
- Och, Joe. - Lekko zniecierpliwiona szarpnęła głową. -

Chciałabym się wykapać i przebrać, a przede wszystkim czegoś napić.

- Herbata będzie za chwilę. Nie, za dwadzieścia minut. - Spojrzał na zegarek. - Teraz już za dziesięć. Ale chyba nie o herbatę ci chodzi? - Kiedy uśmiechnęła się do niego, pocałował ją w usta i prostując się, pogroził jej palcem. - Żadnego drinka przed obiadem.

- Nie dręcz mnie.

Ponownie dotknął wargami ust Elaine, po czym biorąc w dłoń jej twarz powiedział:

- Jakże mógłbym cię dręczyć? Schlebiać ci, przekonywać, błagać cię, lecz nigdy dręczyć.

Odsunęła się od niego delikatnie, odchyliła głowę na oparcie sofy i z lekkim uśmiechem powiedziała:

- Idź do ojca. Powiedz mu, że przyjdę, jak tylko wezmę kąpiel, przebiorę się i... przełknę łyk herbaty - dodała, naśladowując północny akcent.

Joe wyszedł z pokoju rozpromieniony, minął szeroki podest i wbiegł po schodach na drugie piętro, gdzie od trzech lat przebywał jego ojciec.

Dlaczego mężczyzna, cierpiący na ostry artretyzm stawów, właśnie poddasze z czterema dużymi pokojami wybrał sobie na swoją samotnię, zaskakiwało każdego, dopóki nie znalazł się w środku i nie wyjrzał przez okno. Roztaczający się widok był zaiste wspaniały. Nie bez znaczenia jednak był również fakt, że w dwóch pokojach Mike Remington miał swoją pracownię.

Zanim został człowiekiem interesu, pracował jako inżynier.

Teraz, niezdolny do pracy, powrócił do swego dawnego zajęcia - na małą wprawdzie skalę, zajmował się bowiem obróbką drewna. Niezwykle wolno i w bólu tworzył miniaturowe kościoły, domy i okręty. Wobec ludzi nie przebierał w słowach, ale z drewnem obchodził się delikatnie.

Jedną z atrakcji drugiego piętra, kiedy już pokonało się strome schody, był najpiękniejszy w całym hrabstwie widok rozciągający się z przeszklonego obserwatorium. Przy bezchmurnej pogodzie można było zobaczyć mosty spinające rzekę w Newcastle, a także górną część potężnej katedry w Durham.

Kiedy Joe otworzył drzwi, stwierdził z zaskoczeniem, że ojciec siedzi przy oknie wychodzącym na podjazd, a jego guzowate, zdeformowane palce spoczywają beczynn timer na kolanach.

- Cóż to? Czyżbyś zaczął strajkować przed innymi? - zapytał. - Wiesz, że możesz się za to znaleźć na czarnej liście?

Podszedł do barczystego mężczyzny, którego ramiona szczerlnie wypełniały oparcie fotela i wciąż sprawiały wrażenie silnych, podobnie jak duża głowa o szpakowatych włosach. Choć skórę na twarzy miał zwiotczałą i pomarszczoną, zwłaszcza wokół oczu, wciąż robił wrażenie przystojnego mężczyzny. Wyrazu siły przydawały mu przejrzyste stalowoniebieskie oczy, które teraz wpatrywały się w syna. To, co ujrzały, wywołało ból. Staremu panu Remingtonowi wydało się bowiem, że zobaczył samego siebie, kiedy był jeszcze zdrowy, miał prostą sylwetkę i młode kości.

- Jesteś w domu od piętnastu minut - oznajmił tonem wymówki.

- Naprawdę? - Joe spojrział na zegarek. - Rzeczywiście, od piętnastu minut. A czego niby się spodziewałeś? Miałem od razu pognać na górę i zostawić moją świeżo poślubioną żonę?

- Coś w tym rodzaju. - Mike skrzywił się, po czym zachichotał. Joe zaśmiał się również.

- Jak tam było?

- Jak w podróży poślubnej.

- To mi nic nie mówi.

Joe przysunął sobie fotel i usiadł.

- Wszystko dobrze z wyjątkiem tego, że musieliśmy skrócić ją o tydzień. Niech diabli wezmą ten strajk.

- Nie ty jeden go przeklinasz. Trzeba będzie słono za to zapłacić. Wyobraź sobie, cały kraj objęty strajkiem. Wszystko stanie. Nie do wiary.

- A jak tam u nas?

- Och, u nas. - Mike podrapał się po uchu. - Powiem ci tylko tyle, że będziesz miał pełne ręce roboty.

- Ale przecież ponad połowa naszych pracowników nie należy do związku.

- To prawda. Ale jedna trzecia należy. Reszta przyłączy się z czystej sympatii albo po to, by przestali ich nazywać łamistrajkami, albo też po odpowiedniej perswazji w ciemnym zaułku.

- Oj, nie sądzę, by doszło aż do tego.

- Nie masz o tym pojęcia, chłopcze. Jak dotąd nie miałeś okazji zobaczyć naprawdę głodnych ludzi. Lecz nie to jest najgorsze. Oni

sami mogą się obejść bez jedzenia, lecz kiedy ich żony i dzieci nie będą miały co do gęby włożyć, strzeż się.

- A co sądzi o tym Geordie? To on jest szefem. Powinien wiedzieć, jak temu zapobiec.

- A jakże, wie, bo tak jak ja miał już z tym do czynienia. Kiedyś porządnie oberwał od jakiegoś człowieka od Birtleya. Był wówczas szczeniakiem i pracował w kopalni. Jego ojciec zginął pod ziemią. Nigdy go nie znaleźli. Musiał więc utrzymać matkę i czworo młodszego rodzeństwa. Wrócił więc do kopalni z jakimś Irlandczykiem, którego ściągnęli właściciele. Powiedział, że nigdy więcej tego nie zrobi. Po tym wszystkim nie było już dla niego miejsca w kopalni, dlatego przyszedł do mnie. W tej chwili zaś szaleje z powodu zamówienia, które właśnie nadeszło.

- Jakiego zamówienia?

- A czym się zajmowałeś przed wyjazdem?

- Masz na myśli te obudowy do odbiorników, radiowych?

Zgodzili się?

- A jakże.

- To wspaniale.

- Będzie wspaniale, jeśli uda ci się je zrobić. A co będzie, jeśli ludzie zastrajkują?

- No cóż, to z pewnością opóźni cały proces, ale przecież nie będą strajkować dłużej niż dwa tygodnie. Kraj by tego nie wytrzymał.

- Zdziwisz się, chłopcze, ile ten kraj może znieść. I zdziwisz się również, co ci cholerni górnicy zniosą by dostać godziwą zapłatę. Nie

jestem po ich stronie, synu, ale nie jestem też przeciw nim, bo tylko głodni ludzie i szaleńcy pracują w kopalni.

- Niektórzy to lubią.

- Co?

- Powiedziałem, że niektórzy lubią pracować na dole. To sposób na życie. Dobrze o tym wiesz.

- Nic mi o czymś takim nie wiadomo. Schodzą na dół, bo nie mają innej możliwości zarobienia na chleb. A swoją drogą to przegryź coś i jedź pogadać z Geordiem. Nie zobaczysz się z ludźmi, do tego czasu wszyscy już wyjdą, ale spróbuj się dowiedzieć, co ci dwaj, Barry Smith i Bill James, kombinują. Z tego, co wiem, to komuniści i krzykacze. Już dawno powinienem ich wyrzucić.

Joe przyglądał się przez chwilę ojcu, który spuścił głowę i patrzył na swoje zdeformowane palce.

- Co robiłeś, kiedy mnie nie było? - zapytał cicho. - Skończyłeś ten statek?

- Statek?... Nie wdrapałem się do tej szklarni - wskazał na schody w końcu pokoju - wyglądałem sobie przez okno i wiele myślałem. - Pokiwał głową, spojrzał Joemu w oczy i powtórzył: - Tak, wiele myślałem.

- Mogę zapytać o czym?

- O tobie.

- O mnie?

- Tak. O tobie, twoim małżeństwie i twojej przyszłości. Spójrz na mnie.

- No przecież patrzę.
- Chciałem powiedzieć na mnie i na moje życie. Co z nim zrobiłem? Do czego mnie ono doprowadziło? Mam pięćdziesiąt lat. Powinienem być u szczytu moich możliwości, a kim jestem? Więźniem własnego ciała.

- Można temu zaradzić - odparł łagodnie Joe. - Są sanatoria i...
- Mówiłem już, że nie pojedę do żadnego cholernego sanatorium. Siedziałbym z tym swoim brzuchem wyłazającym ze spodni i przyglądał się innym brzuchom i młodym pielęgniarkom, które traktowałyby mnie jak starca. Nie, to nie dla mnie. Wystarczy mi to, co mam. Jak mówi Graham, jestem swoim największym wrogiem, bo sam sobie wybrałem powolną śmierć. Ostatnio mówił o wbijaniu szpilek w moje biodra. Ale ale, nie mówiliśmy jeszcze o najważniejszej osobie. Gdzie ona jest?

- Bierze kąpiel. Prosiła, bym ci powiedział, że wkrótce do ciebie przyjdzie.

- Jestem pod wrażeniem.
- Ojczy!
- Dobrze, już dobrze. Obiecuję, że będę trzymał język za zębami.
- Jak ci się podoba?
- Jeszcze nie wiem, chłopcze. Za mało ją znam, by na to odpowiedzieć. Poznałeś ją przed trzema miesiącami, kiedy pojechałeś do Londynu w sprawie bakelitu. Potem przyjechała tu na weekend, podczas którego rozmawiałem z nią zaledwie dwa razy. Nie, kłamię, trzy razy. I potem co zrobiłeś? Oświadczyłeś mi, że się żenisz i wykorzystasz swój urlop na miesiąc miodowy. A teraz pytasz, jak mi

się podoba. A czy tobie się podoba?

- Czy mi się podoba? - powtórzył Joe ze śmiechem.
- Odpowiedz mi, lubisz ją?
- Ojczy, nie bądź dzieckiem. Czemu zadajesz takie głupie pytania?

- To wcale nie są głupie pytania. I ty też nie jesteś głupi. Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Jest wielka różnica między lubieniem a kochaniem. Och, nie wątpię, że ją kochasz. Weszła ci w krew. Widziałem to. Teraz jednak musisz zadać sobie pytanie, czy ją lubisz. Lubienie bowiem jest w małżeństwie o wiele ważniejsze od kochania, chłopcze. Przekonasz się o tym. Ale do diabła z tym - powiedział z westchnieniem. - Teraz powinniśmy się zastanowić, jak zapełnimy nasze magazyny, jeśli strajkujący dobiorą się do naszych ludzi. Więc idź pogadać z Geordiem.

- Dobrze - powiedział ze śmiechem. - Ale będziesz musiał się zająć moją żoną.

Otworzył drzwi i w tym momencie dobiegł go cichy głos ojca.

- Joe.
- Tak?
- Nie popełnij tego samego błędu co ja, chłopcze. Bez względu na to, co się zdarzy.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym Joe zamknął drzwi i ruszył ku schodom. Tu zatrzymał się i stał przez chwilę ze spuszczoną głową, zagryzając wargę. Nie popełnij tego samego błędu co ja. Na Boga, nigdy! Bez względu na to, co się zdarzy.

Rozdział 2

Dobrze, kochanie, ale obiecaj mi, że jutro wieczorem zabierzesz mnie do Newcastle na przedstawienie i na tańce. O tak, wybierzmy się gdzieś potańczyć.

Elly wyciągnęła rękę przez stół i pochwyciła dłoń Joego.

- Dobrze, obiecuję. Przedstawienie albo tańce. Może i jedno, i drugie, jeśli dziś wieczorem zachowasz się taktownie i nie będziesz zadzierać nosa.

- O ile będę w stanie.

- O ile będziesz w stanie. W takim razie poddam cię próbie: przed pójściem na to zebranie wpadniemy do Dana Egana.

- To ten, który bez przerwy mówi, teść Brooksa?

- Teść Davida. - Uniósł palec ostrzegawczo.

- Och, Joe! Nigdy się nie przyzwyczaję do zwracania się do służących po imieniu. I jeszcze jedno: musimy coś zrobić z Ellą. - Pochyliła się w jego stronę i szepnęła: - Nie można mówić do niej Ella, skoro ty uparłeś się nazywać mnie Elly. Kiedy dziś rano mnie zawołałeś, wybiegła z kuchni. Mówiłam ci, to się nie uda. Ona musi zmienić imię. Może się nazywać na przykład Annie albo Jane.

- W takim razie sama będziesz musiała jej to powiedzieć. - Odkroił kawałek sera Stilton, położył go na grzance, po czym dodał: - Wiem jednak, jaka będzie reakcja. Ależ proszę pani, po co zmieniać moje imię? Zawsze wołano na mnie Ella. Niby po co miałabym je zmieniać?

- Nie odważy się.

Przestał jeść i spojrzał na nią z powagą.

- Odważy się. Mówiłem ci, Elly, że to dumni ludzie.

- To służący.

- Mogą nimi być, podobnie jak my wszyscy, każdy na swój sposób. Ale oni nigdy się nie płaszczą.

Wzięła kawałek sera Cheshire i niemal cisnęła go na talerz.

- Skoro płacisz tym ludziom, powinni przestrzegać pewnych zasad.

- Tu nie Londyn czy Huntingdon, lecz północno-wschodnia Anglia.

- Tak, tak, wiem. - Pokiwała energicznie głową. - Tak często mi to powtarzałeś przez ostatni tydzień, że nie mam już co do tego żadnych wątpliwości. To rzeczywiście jest północno-wschodnia Anglia i dla mnie jest bardziej obca niż obcy kraj. Tu nawet mówi się innym językiem.

Wybuchnął śmiechem.

- To prawda. Lecz jeśli się postarasz, wkrótce się go nauczysz. Z ochotą ci pomogą.

- Och, przestań sobie żartować. Spoważniał i przyglądał jej się przez chwilę.

- Czas już na nas - oznajmił. - Oczywiście jeśli nadal chcesz ze mną jechać.

Popatrzyła na niego nie mrugnawszy nawet okiem.

- Tak, pojedę z tobą... za moment.

Sięgnęła po mały dzwoneczek stojący przy jej nakryciu. Wszedł Duffy. Wysoki i szczupły, wyglądał w ciemnym garniturze jak chuda tyczka.

- Proszę przysłać do mnie... Ellę - poleciła.

Popatrzył na nią bez słowa, po czym odwrócił się i wyszedł.

- O mój Boże! - wykrzyknął Joe.

- Co się stało?

I wtedy do jadalni weszła Ella.

Pod wieloma względami przypominała swoją ciotkę Mary, a najbardziej niskim wzrostem i tuszą. Ładna z niej była dziewczyna. Podeszła do stołu i spojrzała na swoją nową panią.

- Pani mnie wzywała?

- Tak. - Głos Elaine był gładki jak aksamit i pełen słodczy. -

Chodzi o... twoje imię.

- Moje imię?

- Tak. Widzisz, trudno się w tym wszystkim połapać, ponieważ mój mąż - tu spojrzała na Joego - upiera się, by skracać moje imię, przez co, jak zapewne zauważyłaś, brzmi podobnie do twojego.

Dlatego w przyszłości będziemy nazywać cię inaczej. Jak byś chciała? Jane, Mary, Annie?

Ella cofnęła się o krok. Spojrzała na Joego, który stał przy kredensie, odwrócony do niej plecami. Następnie przeniosła wzrok na Elaine i rzuciła buntowniczo:

- Mam na imię Ella, proszę pani. Zawsze byłam Ellą i nie wyobrażam sobie, bym mogła nazywać się Mary czy Jane, czy Annie.

Ale gdyby tak miało być, to pan starszy musiałby mi to powiedzieć. A wątpię, czy powie, bo on zawsze mówił do mnie Ella.

Obie kobiety mierzyły się wzrokiem. Pani najwyraźniej nie mogła uwierzyć własnym uszom. Spojrzała na męża, wtedy on rzucił gniewnie:

- Daj spokój, Elly.

Zapadła cisza. W końcu Ella odwróciła się i wyszła.

- Mówiłem ci! - wybuchnął Joe, kiedy drzwi się za nią zamknęły.
- Ostrzegałem. Obralaś złą taktykę. Nic dobrego ci nie przyjdzie z tej słodkiej przemowy. Potrafią przejrzeć twoje intencje. A kiedy się rozzłoszczą, nie uda ci się z nimi porozumieć. Prędzej rozwalisz chiński mur. Wciąż ci to powtarzam.

- Tak, wciąż mi to powtarzasz. Jesteśmy małżeństwem od trzech tygodni, a ty nic innego nie robisz, tylko mówisz mi, co mam robić, by tu przeżyć. A więc może teraz ty mi powiesz, kto w tym domu jest panem, a kto panią? Jeśli jest tylko pan, to pytam: kto nim jest?

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Joe odpowiedział niskim głosem:

- Dopóki ojciec żyje, on jest tu panem. To on zbudował ten dom. Kocha to miejsce, mimo że stało się dla niego więzieniem. Czy odpowiedziałem na twoje pytanie?

- A jaką ty zajmujesz pozycję? Zacisnął zęby i spojrzał na nią z ukosa.

- Jestem jedynie synem i szefem fabryki. Wygląda na to, że tak już pozostanie, bo artretyzm, choć wolno, ale postępuje. Zresztą chcę,

by tak pozostało.

Podszedł do niej, wziął za rękę, delikatnie przyciągnął do siebie i spojrzał głęboko w jasnoszare oczy.

- Nie ma żadnych wątpliwości, kto tu jest panią - powiedział ciepło. Objął ją i dotknął wargami jej czoła. - Postaraj się rozegrać to delikatnie, kochanie. - Jeszcze raz spojrzał jej w oczy i dodał wesoło: - No, a teraz chodźmy do Davida. Nie widziałaś jeszcze jego domu. Poznasz też Hazel. Właśnie wczoraj wieczorem wróciła od matki. Niech zobaczą cię taką, jaką ja cię widzę. Wtedy na pewno cię pokochają. Nie będą ci się mogli oprzeć.

Przytulił ją mocno. Po krótkim wahaniu odpowiedziała na jego uścisk. Zgodę przypieczętowali pocałunkiem. Była to już druga ich kłótnia od czasu jej przyjazdu do tego domu przed pięcioma dniami.

Chatka, jak nazywano domek Davida, stała tuż obok bramy wjazdowej. Została zbudowana przed dwustu laty i początkowo nazywała się Fell Rise, jak wzgórze, na którym stała. Kiedy Mike Remington przed dwudziestoma pięcioma laty urzeczywistnił swoje marzenie, przeniósł nazwę na nowy dom, a oryginalny Fell Rise nazwał Chatką.

Był to ładny dom. Zewnętrzne ściany zdobiły czarne drewniane słupy, a sufity podtrzymywały grube belki, które zachowały się w dobrym stanie, nosząc nieliczne tylko ślady działalności korników. Również meble wytrzymały próbę czasu. Wykonano je przeważnie z czarnego dębu, a obicia z perkalu.

Hazel Egan poślubiła Davida Brooksa przed rokiem, kiedy oboje

mieli po dwadzieścia trzy lata. Ładna, wysoka, o kasztanowych włosach i brązowych oczach dziewczyna nie powinna wychodzić za mąż za mieszańca, choćby nawet był poczciwym facetem. Jej decyzja spotkała się z dezaprobatą zarówno w górniczej wiosce Beulah, jak i w prawie całym Fellburn. W końcu uznano, że musiała to zrobić ze względu na dziecko. Jednak miesiące upływały, a jej brzuch się nie powiększał.

Swą znajomość utrzymywali w wielkiej tajemnicy. W dzieciństwie chodzili do jednej szkoły, a potem, ku powszechnemu zaskoczeniu, a także krytyce ze strony wielu osób, David zdał egzamin do szkoły średniej i ich drogi na pewien czas się rozeszły. Pokochali się, kiedy mieli po piętnaście lat, a gdy skończyli dwadzieścia, wiedzieli, że mogą się nigdy nie pobrać. Ich małżeństwu sprzeciwiał się ojciec Davida, jej rodzice i starsi bracia. Wciąż jednak się kochali i nie tracili nadziei.

Kiedy w 1924 roku zmarł ojciec Davida, jedna przeszkoda na drodze do ich szczęścia zniknęła. Wówczas to Hazel wzięła sprawę w swoje ręce. Na początku 1925 roku wzięli ślub cywilny, który już sam w sobie był czymś nagannym. Lecz nie miało to dla nich żadnego znaczenia. Hazel powiedziała kiedyś matce, że jak się zgasi światło, wszyscy mężczyźni są czarni.

Stała teraz przy oknie, z którego widać było koniec podjazdu, a David obejmował ją ramieniem.

- Czemu uważasz, że jej nie polubię? - zapytała, nie odrywając wzroku od okna.

- Bo zadziera nosa.
- Dlatego ty jej nie lubisz?
- Nie. Nie lubię jej, bo ona mnie nie lubi. Uważa mnie za czarnego.

- Nie bądź niemądry. - Przytuliła się do niego mocniej. - Nie jesteś czarny, jesteś miłym brązowym mężczyzną lecz wcale by mi nie przeszkadzało, gdybyś był czarny jak buty Cherry'ego Blossoma, choć te brązowe też są bardzo ładne.

Zachichotała, lecz on spojrzał na nią z powagą.

- Ja jestem szczęśliwy, a on wpakował się w takie kłopoty -rzekł z niezwykłą łagodnością w głosie.

- O czym ty mówisz? Przecież ona mu się podoba.

- Zaczekaj, póki jej nie poznasz. O, idą tu. Mówił, że wstąpią, ale nie sądziłem, że uda mu się ją namówić.

Odskoczył od okna, pociągając Hazel za sobą, i wskazał na stojącą przy kominku kanapę.

- Usiądę na niej i będę udawał, że czytam gazetę. Kiedy rozlegnie się pukanie, zawołam niedbale: „Proszę”, i okażę zdziwienie na ich widok. A ty będziesz w kuchni robić herbatę... wystawisz głowę przez drzwi i też zdziwisz się na ich widok.

Na chwilę przytulili się do siebie i zachichotali cicho, zaraz jednak David zajął swoje miejsce na kanapie, a Hazel pobiegła do kuchni.

Na odgłos pukania David zawołał niedbale: „Proszę”. Drzwi się otwały i stanął w nich Joe. Zaraz jednak usunął się na bok, by

przepuścić żonę. Na ich widok gospodarz poderwał się z kanapy i powiedział z udanym zaskoczeniem:

- Ojej, nie spodziewałem się pani. Proszę wejść, serdecznie zapraszam. - Po czym odwrócił głowę w stronę kuchni i zawołał: - Hazel!

- Chwileczkę! - odkrzyknęła. - Parzę herbatę.

Zaraz jednak ukazała się w drzwiach saloniku, postąpiła kilka kroków w przód, spojrzała na żonę szefa swego męża, a zarazem ich starego przyjaciela, i natychmiast zrozumiała, co David miał na myśli.

- To jest moja żona Hazel, proszę pani.

- Miło mi panią poznać.

- Mnie również. Zechce pani usiąść?

- Dziękuję.

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał Joe.

- Przed wizytą w siedzibie związku pomyślałem, że zamienię parę słów z Danem - zwrócił się do Davida, po czym spojrzał na Hazel i dodał: - Twój ojciec najlepiej wie, jak się sprawy mają. Nasi ludzie chcieliby przedstawić propozycję, lecz wątpię, czy zostanie przyjęta, jeśli nie zyska poparcia górników. To zrozumiałe, pomyślałem więc, że moglibyśmy wpaść do twojego domu i porozmawiać.

- W piątek wieczór? - wykrzyknęła ze śmiechem. - Wiesz przecież, co się u nas wtedy dzieje. Przychodzi cała rodzina, a potem idą do klubu. - Spojrzała na Elaine i wyjaśniła: - Widzi pani, jest nas jedenaścioro i jak dotąd tylko troje, łącznie ze mną założyło rodziny. Pozostała dwójka to moi bracia, którzy co piątek przychodzą z żonami i

dziećmi. Robi się wówczas dom wariatów. Nie będzie pani mogła dostać się do środka.

- Och, nie jestem taka duża. Z pewnością gdzieś się wcisnę - odpowiedziała Elaine.

Cała czwórka wybuchnęła śmiechem. Gospodarze przyglądali się drobnej figurce siedzącej w fotelu żony Joego. Ubrana była w szarą sięgającą kolan spódnicę, krótki obcisły zakiet leżący na niej płasko niczym szkolny blezer i czerwony słomkowy kapelusz w kształcie toczka, zsunięty na czoło. Jej twarz wydawała się dłuższa od kapelusza. Cerę miała jasną i delikatnie zaróżowioną na policzkach. Nie było jednak widać śladu różu, tak bowiem nakazywała moda. W tej szczupłej twarzy tkwił mały prosty nosek z wąskimi nozdrzami. Uwagę jednak przykuwały niezwykle kształtne usta. Kiedy mówiła, rozsuwała szeroko wargi, odsłaniając piękne białe zęby.

Był to obraz urodziwej, dwudziestojednoletniej młodej kobiety, która ze względu na karnację i szczupłą figurę wyglądała na młodszą, niż była w rzeczywistości. Elaine jednak starała się robić wrażenie kogoś starszego, kto całkowicie nad sobą panuje. Jednym słowem, chciała wyglądać na kobietę doświadczoną.

Spojrzenie, jakie skierowała teraz na męża, można było nazwać zaciekawionym, kryło się jednak w nim zdumienie z powodu sposobu, w jaki zwracał się do swojego szofera-ogrodnika.

- Przepraszam, Davidzie, że będę musiał wyciągnąć cię z domu, ale jeśli zostawię samochód bez opieki, te małe żebraki rozbiorą go na części.

Była nie mniej zaskoczona, słysząc odpowiedź szofera.

- Och, nic nie szkodzi, Joe... proszę pana. Przecież pan wie, że w każdej chwili mogę usiąść za kierownicą.

Ten człowiek znowu miał czelność zwrócić się do jej męża po imieniu. Co będzie dalej? Rozegraj to delikatnie, powiedział Joe. I ten dom - zupełnie nieodpowiedni dla szofera. Był równie duży jak dom jej kuzynki Kathryn. A była przecież utytułowaną damą. Świat wywraca się do góry nogami. Przynajmniej ta jego część.

Była tu od ponad tygodnia i nie spotkała dotąd nikogo znaczącego, nie miała też możliwości porozmawiać z kimś inteligentnym. Wszyscy mówili tylko o strajku. Dlaczego zawracali sobie głowy tymi górnikami? Oni zawsze wywoływali kłopoty, a teraz jeszcze stanął przez nich cały kraj. To ignoranci i barbarzyńcy, nieokrzesani barbarzyńcy. Joemu zaś najwidoczniej sprawiało wielką przyjemność wciąganie jej w ich towarzystwo.

Ta dziewczyna powiedziała, że jej rodzina liczy sobie jedenaście osób. Nic dziwnego, że skorzystała z pierwszej okazji, by się z niej wyrwać. Również możliwość zamieszkania w takim domu była nie do pogardzenia, chociaż wiązało się to z utratą pozycji. Nie podobała jej się ta dziewczyna. Musiała nie mieć honoru, skoro zdecydowała się wyjść za mąż za kolorowego. W dodatku zachowywała się stanowczo zbyt swobodnie i zbyt zuchwale. Była taka jak ta Ella czy Jane, jak się tam będzie nazywać, jeśli tylko uda się jej, Elaine, postawić na swoim, a z pewnością tak.

- Piękny pokój, prawda? - Głos Joego sprowadził ją na ziemię.

- Tak - odparła. - Wspaniały. Przypomina mi dom mojej kuzynki. - Spojrzała na Hazel. - Moją kuzynką jest lady Kathryn Fowley. Kiedyś mieszkała w Pelton Towers, ale potem okoliczności zmusiły ją do zamieszkania w mniejszym domu, który jest bardzo podobny do tego, ale - tu uśmiechnęła się do Hazel - nie tak pięknie umeblowany.

- No cóż, to nie moja zasługa - odpowiedziała Hazel bez uśmiechu. - To pan starszy wszystko tu urządził.

- Ach, rozumiem.

- No to co, idziemy? - Joe podniósł się ze swego miejsca, a David poszedł po kurtkę. - Może pojechałabyś z nami, Hazel? - zapytał i patrząc na Elaine, dodał: - Pomogłabyś pani złagodzić pierwszy szok.

- Nie. Prawdę powiedziawszy to wolałabym zostać. Mam jeszcze sporo pracy. Poza tym nie sędzę, by cokolwiek czy ktokolwiek mógł tu pomóc. To po prostu trzeba przeżyć. Do widzenia pani i dziękuję za odwiedzinę.

- To była dla mnie przyjemność. Do widzenia.

David otworzył przed nią drzwi i Elaine wyszła na wąski brukowany ganek. W ostatniej chwili odwróciła głowę i zobaczyła, że Joe trzyma Hazel za rękę i coś do niej szepcze. Usłyszała tylko: „Do zobaczenia”. Cóż za niestosowna sytuacja, pomyślała, stawiając nogę na porośniętej trawą ścieżce.

Hazel rzeczywiście miała rację. Nic nie mogło złagodzić szoku, wywołanego widokiem rodziny Eganów w ten piątkowy wieczór. Elaine stała w drzwiach małego pokoju, w którym tłoczyli się

mężczyźni, kobiety, młodzieńcy i dziewczęta, i nieprzebrana liczba dzieci w najróżniejszym wieku. Jednak w myślach nie użyła słowa „tłoczyli się”, lecz „roili się”.

- Dobry wieczór, pani Egan. Pozwoli pani przedstawić sobie moją żonę? - powiedział Joe do niskiej starszej kobiety, torującej sobie drogę przez tłum. Wytarła ręce w fartuch i oznajmiła donośnym, męskim w brzmieniu głosem:

- To dla mnie zaszczyt. Jak się pani miewa?

Elaine ujęła wyciągniętą rękę i przywołując na twarz uśmiech, powiedziała:

- Dziękuję, dobrze. A pani?

- Och, jak można się dobrze czuć z takim tłumem? Zatoczyła szeroki łuk krótkim pulchnym ramieniem, które zderzyło się z ramieniem jednego z synów.

- Uważaj, mammo! Żadnych ciosów poniżej szyi! - wykrzyknął, przerywając tym ciszę, która zapadła po wejściu Elaine i Joego.

Wywołał tym chór tłumionych chichotów.

- Słyszysz pani? Żadnego szacunku. Ciągle to samo. Może państwo spoczna.

- Dziękujemy, pani Egan - powiedział Joe - ale wybieramy się na zebranie związku.

- Ach, zebranie. - Kiwnęła głową ze zrozumieniem. - A więc to z Danem chciał się pan zobaczyć. Wyszedł przed półgodziną. Nie mógł się doczekać, by wejść na mównicę i pokrzyczeć sobie. To cały Dan. Ale powiedziałam mu: mniej mielenia ozorem, a więcej machania

kilofem i łopatą, to wszystkim nam się polepszy. No ale lepiej już przestanę, bo oni wszyscy jadą na tym samym wózku. - Wskazała głową na mężczyzn stojących przy drzwiach i dwóch innych siedzących przy stole, z których jeden trzymał dziecko na kolanach. - Oni wszyscy myślą podobnie. W końcu to przesada kazać im więcej pracować za mniejsze pieniądze. Ale co to są mniejsze pieniądze? Od czasu naszego ślubu nie widziałam na oczy jego wypłaty. Dostaję swoją część i to wszystko. Dwoje dzieci czy dziesięcioro, wciąż tyle samo. - Tu spojrzała na Elaine i powiedziała nieco łagodniejszym tonem: - Pewnie dla kogoś, kto przyjechał z Londynu, to wszystko wydaje się dziwne. Prości z nas ludzie, ale serca mamy na właściwym miejscu. Jedno można o nas powiedzieć, i to nie tylko tu, ale jak kraj długi i szeroki: dochowujemy wiary tym, którzy i nam jej dochowują, prawda, panie Joe?

- Prawda, pani Egan, szczerą prawdą.

- Skoro pan tak twierdzi, to czemu nie jest pan po naszej stronie, panie Remington? - zapytał jeden z mężczyzn stojących przy drzwiach.

Joe odetchnął głęboko i milczał przez chwilę, podczas gdy młody mężczyzna mierzył go chłodnym wzrokiem.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że większość moich ludzi nie należy do żadnego związku. Może właśnie dlatego, że oni nie musieli pracować tak ciężko jak wy i walczyć o swoje prawa. Nie zmienia to jednak faktu, że chcę, by tak pozostało. Tego też pragnął mój ojciec. Uważamy, że ludzie powinni sami decydować o tym, czy chcą być wolni, czy komuś podlegać.

- Diabła tam! Nie jesteśmy jakimś stadem baranów. Tu nie chodzi o podleganie, lecz o siłę. Nawet Biblia mówi, że gdzie jeden czy dwóch zbierze się w imię moje... a naszą siłą jest związek. W pojedynkę niczego nie zrobimy... Niczego.

- To prawda - podchwyciła trójka innych mężczyzn.

- Pańscy ludzie są jedynymi w mieście, którzy nie przerwali pracy - odezwał się najstarszy w grupie, choć najniższy wzrostem, chudy, kościsty mężczyzna. - Zapamiętamy to sobie. I coś mi się wydaje, że niektórzy z nich zmieniają zdanie. A czyja to będzie wina?

- Na twoim miejscu nie głosowałbym za tym. - W głosie Joego zabrzmiała groźba. - Mogłoby się okazać, że porwaliście się na coś, co przekracza wasze siły. Przyszedłem tu, by zobaczyć się z twoim ojcem i powiedzieć, że George Bailey chciałby coś zaproponować w imieniu mojego stada baranów, jak ich nazwałeś. Wątpię, czy gdyby role się odwróciły, podjęlibyście decyzję, by oddawać strajkującym zarobek z jednego dnia w tygodniu przez cały miesiąc. Drugą propozycją jest tygodniowy strajk manifestacyjny na znak solidarności z wami. Oświadczam tu i teraz, że jestem stanowczo przeciwny tej drugiej propozycji.

Zapanowała cisza. Słysząc było jedynie trzask palącego się pod kuchnią ognia i nierówne oddechy zebranych.

Joe skinął głową pani Egan, po czym wziął Elaine pod ramię i ruszył w stronę drzwi.

Wyszli z rozgrzanej kuchni na ulicę, gdzie powietrze było dużo chłodniejsze. Samochód czekał na nich na jakimś pustym placu

przytykającym do rzędu małych domków. Ulica wybrukowana była kocimi łbami i Elaine z trudem dawała sobie radę w butach na wysokich obcasach. Joe wciąż trzymał ją pod ramię. Wyglądał na rozgniewanego i miał wszelkie powody, by tak się czuć. Miała nadzieję, że scena, której była świadkiem w tym okropnym pomieszczeniu, pełnym nieokrzesanych ignorantów, w końcu mu udowodni, że traci tylko czas.

Z rozmów Joego z ojcem, które przypadkiem usłyszała, domyśliła się, że ich sympatia, acz niechętnie, skłania się ku górniczej społeczności. Mogłaby to zrozumieć, gdyby pan starszy, jak w myślach nazywała swego teścia, pochodził z górniczej rodziny, ale przecież jego przodkowie byli cieślami, a wcześniej kołodziejami.

Pomimo że żyli teraz na poziomie klasy średniej, nie należeli do niej. Nie znali nikogo znaczącego, nawet ze świata interesu. Przyjaźnili się jedynie z rodziną Leveyów. Marcusem, jego żoną Leną i córką Doris. On był doradcą prawnym w Fellburn, a obecnie wyjechał do Devon na pogrzeb swego ojca. Lecz któż to jest doradca prawny? Był jeszcze lekarz, ale najzupełniej zwyczajny.

Kiedy dotarli do rzędu domków, wpadła na nich grupa chłopców, która wydała jej się hordą barbarzyńców i która zdenerwowała oboje.

Pięciu chłopców kopało blaszaną puszkę. Kiedy potoczyła się do stóp Joego, ten odkopał ją w ich stronę, jednak bez cienia uśmiechu na twarzy, jakby był nieobecny duchem.

Wokół samochodu kręciły się dzieci, które na ich widok zamilkły. Kiedy David włączył silnik, jedno z nich krzyknęło:

- Czarny sknera, nie da się przejechać starym gratem! Kiedy samochód ruszył, śpiewkę podjęła reszta dzieci, powtarzając za prowadzącym:

- Czarny sknera, nie da się przejechać starym gratem!

- Jedziemy do Lodge? - zapytał David, udając, że tego nie słyszy. Nie powiedział słowa na temat ich wizyty, domyślając się z wyrazu twarzy Joego, co zaszło w domu teścia.

- Tak - padła zwięzła odpowiedź.

Lodge było brzydkim murowanym budynkiem. Zbudowano go z przeznaczeniem na kaplicę, lecz kiedy na przedmieściu wzniesiono większą, i jeszcze brzydszą, popadł w ruinę.

W chwili gdy samochód zatrzymał się przed wejściem, z prowadzących doń schodów zbiegł George Bailey.

- Przepraszam za spóźnienie, Geordie - zwrócił się do niego Joe.

- To nawet lepiej, proszę pana.

- Co się stało?

Kiedy Joe pochylił się, by pomóc wysiąść Elaine, Bailey powiedział:

- Na pańskim miejscu nie pozwoliłbym żonie wejść do środka.

Sprawy mogą przybrać zły obrót. Egan jest teraz przy głosie i czeka tylko na pretekst, by wzniecić ogień. Ten człowiek to podżegacz.

- Rozmawiałeś z nim?

- A jakże. Przedstawiłem mu propozycje, na co odpowiedział, że to resztki z pańskiego stołu. Jeśli chodzi o strajk, to według niego powinniśmy dołączyć do innych. Na propozycję oddawania zarobków z

jednej dniówki przez miesiąc odpowiedział, że obejdzie się, bo jeszcze przed upływem miesiąca będą górą. Jeszcze się o czymś dowiedziałem, proszę pana. Rozmawiałem z Bembowem, okręgowym sekretarzem, wie pan, od Hammonda. On twierdzi, że zaczyna się coś przebąkiwać o wycofaniu się ze strajku transportowców, kolejarzy i pracowników przemysłu ciężkiego. Nie spodziewali się takiego napływu ochotników. Byli oficerowie obsługują pociągi z mlekiem, a studenci ciężarówki. To tak jakby cała śmietanka towarzyska chciała udowodnić, że nie ma nic nadzwyczajnego w pracy. On mówi, że wystarczy tylko pozwolić, a znajdą się dziesiątki gotowych zjechać do kopalń, taka jest niechęć do górników.

- Czy Egan przedstawił już naszą propozycję zebrany?
 - A jakże, ale w taki sposób, że usłyszał to, co chciał. To znaczy to samo, co mi powiedział: że to resztki z pańskiego stołu.
 - Zostań. - Joe dał znak Elaine, by nie wysiadała z samochodu. - Zamknij drzwi, Davidzie. Jeśli zaczną wychodzić i zrobi się niebezpiecznie, jedź do domu. Wrócę sam.
 - Pójdę z tobą - zaprotestowała Elaine.
 - Nie - padła krótka odpowiedź. Cofnęła się więc na siedzenie, kipiąc z oburzenia i zastanawiając się, o czym będzie rozmawiać z tym ciemnoskórym indywiduum siedzącym za kierownicą. Nie odezwie się słowem, nie ma przecież obowiązku podtrzymywać z nim rozmowy.
- Joe wszedł na salę z Baileyem i stanął tuż przy drzwiach. Było pełno ludzi, a w powietrzu unosił się zapach potu i brudnych ubrań. Dan Egan stał na podwyższeniu. Wyglądał, jakby nogi miał na

sprężynach, bo mówiąc robił krok w prawo, potem w lewo, a potem w przód i w tył. Wymachiwał przy tym ręką i szarpał głową. Głos miał cienki, lecz ostry i przenikliwy.

- Krew górników jest tania - wołał. - Bo nie jest czerwona jak innych, ale czarna i niebieska. Czarna od pyłu, a niebieska od razów, jakie spadają nam na plecy.

Przez salę przetoczył się szmer uznania, niczym fala po kamienistej plaży.

- Wiecie, czego powinniśmy się domagać prócz godziwych zarobków? Powinniśmy zażądać, aby panowie z rządu i z Izby Lordów zjechali na dół, a ich żony spędziły dzień w naszych kuchniach, wstały o trzeciej nad ranem jak nasze kobiety i zmywały, gotowały, szorowały, prały robocze ubrania i szorowały nam plecy.

- Wskazał ręką na wielkiego górnika siedzącego z przodu i ryknął:

- Co byś powiedział na to, by lady Golightly umyła ci grzbiet, Peter?

Ryknęli śmiechem, lecz Dan Egan zaraz podniósł rękę.

- Tak, śmiejmy się! - krzyknął. - Ale to gorzki śmiech i niedługo będzie jeszcze bardziej gorzki. Słuchajcie, ludzie, ja mówię tylko to, co leży na sercu każdego z was. Wygramy, choćby żołądki miały nam się przykleić do kości.

- Brawo! Brawo!

Cała sala rozbrzmiała aplauzem.

Dan ponownie uniósł rękę i wycelował palcem w przód.

- Nie dajmy się zepchnąć z tej drogi i nie dajmy się oszukać tym, którzy mówią, że są z nami. Według mnie to tylko pic na wodę, choć i za to jesteśmy wdzięczni i nie zapomnimy im tego. - Tu zniżył głos i powtórzył: - Nie zapomnimy, że stali z boku. Mogę wybaczyć ochotnikom, policji, nawet temu cholernemu wojsku, jeśli się zwróci przeciw nam, ale nigdy tym drańskim pracusiom. Łamistrajk to brudne słowo, dla mnie najczarniejsze z czarnych. To smoła, która dla każdego przyzwoitego robotnika jest jak smród. Kiedy spotkam takiego bydlaka, zmierzę go wzrokiem, pociągnę nosem i wydmucham smarki.

Joe odwrócił się gwałtownie i wyszedł z sali, a za nim George Bailey.

- To był próżny trud.

- Zgadzam się z panem. Moim zdaniem tacy ludzie jak Egan robią więcej szkody niż dobrego.

- Moim również. Ale dla niego to walka o życie, podobnie jak dla innych. Jestem w stanie to zrozumieć. Kiedy jednak zaczyna wygłaszać te swoje mowy, mam ochotę czymś w niego cisnąć. Jego synowie są tacy jak on. Ustawili szlaban: oni po jednej, a my po drugiej stronie. Wszyscy, którzy z nimi trzymają, to ludzie rozsądni. Cała reszta to właściciele kopalń, politycy i nie zrzeszeni w związkach.

Ruszyli przed siebie wolnym krokiem. Żaden z nich nie zauważył, że samochód zniknął. Kiedy doszli do końca ulicy, George Bailey powiedział:

- Czeka pana długa droga.

- Nie szkodzi. Wieczór jest ładny.

Joe spojrział w niebo. Słońce już zaszło i łagodna szarość spowiła miasto. Panowała niczym nie zmacona cisza. Kopalnie, fabryki i basen portowy wydawały się uśpione.

- Mam wrażenie, jakby czas nagle się zatrzymał - powiedział, wciąż patrząc w niebo. - W domu wieczorami często otwierałem okna obserwatorium, by posłuchać szumu. Przypominało to ściąganie komuś koldry z twarzy, by się przekonać, czy oddycha. Teraz jednak nic nie słyhać. Miasto jest jak umarłe. - Westchnął. - Obawiam się, że wiele się jeszcze wydarzy, zanim ponownie usłyszymy ten szum.

- Ja też się tego obawiam, proszę pana. Boję się o naszych ludzi. Twarz Joego się zachmurzyła.

- Niech tylko czegoś spróbują, a zobaczą, czym to grozi. Nie zawaham się wezwać policji na pomoc. Mam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Ja także, panie Joe. Jeśli nasi ludzie będą mieli równe szanse, sami sobie poradzą. Tylko w takich jak ta sytuacjach jest zwykle czterech na jednego albo i więcej.

- Zgadza się. No cóż, trzeba mieć nadzieję, że do tego nie dojdzie. Czas już na mnie. Do zobaczenia rano, Geordie. Dobranoc.

- Dobranoc, panie Joe. Proszę przekazać wyrazy uszanowania panu starszemu. Jak on się czuje?

- Bez zmian.

- Szkoda, wielka szkoda. Dobranoc panu.

- Dobranoc.

Rozeszli się w przeciwnych kierunkach. Joe ruszył na przełaj

przez pole, przeskoczył niski kamienny murek, wspiął się na wzgórze, zszedł z niego z drugiej strony i w ten sposób znalazł się na głównej drodze, którą wyjeżdżało się z miasta.

Ruszył miarowym krokiem. Niepokoiło go wiele spraw, ale szczególnie jedna. Elaine uznała Eganów, ich sposób życia, słowem wszystko, za odpychające. Należała do innego świata i nie chciała zaakceptować nowego środowiska.

Dlaczego on się w niej zakochał? Zadawał sobie to pytanie, od chwili kiedy po raz pierwszy ją zobaczył. Nie potrafił określić, co go tak w niej pociągało. Wygląda na to, że pozostanie pod jej urokiem do końca swoich dni. Czy zachwycił się jej twarzą, ustami, oczyma... a może tym zadzieraniem nosa? Początkowo nawet go to bawiło. Później jednak zauważył, że w podobny sposób traktuje innych. W domu jej wuja w Londynie i u kuzynki w Huntingdonshire takie zachowanie nie raziło. Wszyscy jej znajomi tak się zachowywali, choć nie śmierzeli groszem. Podejrzewał, że jej wuj, Turnbull Hughes-Burton, nie jada równie dobrze jak niektórzy jego pracownicy. Tymczasem, podobnie jak inni, chował głowę w piasek i udawał, że nic się nie zmieniło.

Lady Kathryn Fowley była jedyną osobą, która potrafiła stawić czoło faktom. Radziła sobie, sama uprawiając ogród.

Była jeszcze Betty, jego nowa szwagierka. Lecz Betty jakoś nie bardzo pasowała do rodziny. Trudno mu było uwierzyć, że jest siostrą Elly. Nie chodziło tylko o to, że była od niej o sześć lat starsza, lecz o jej wygląd. Była zupełnie innym typem człowieka. Przyszło mu na myśl, że Elly od lat ją wykorzystuje, ale też Betty pozwalała się

wykorzystywać. Najwyraźniej to lubiła. Była niezwykle pogodną osobką. Powiedziała mu, że w czasie wojny pracowała w zaopatrzeniu i jeździła wojskowymi ciężarówkami; bez trudu uwierzył.

Szkoda, że Elly nie ma choć części energii Betty. Zaraz jednak pomyślał, że zakochał się przecież w takiej właśnie Elly i nigdy nie mógłby się zakochać w Betty. Uśmiechnął się. Biedna Betty.

Kiedy był w połowie drogi do domu i mijał właśnie posiadłość Mentonów, dostrzegł zbliżającego się starego Rollsa. To David jechał po niego.

- Cześć, Davidzie. Nie trzeba było po mnie jechać.
- Pomyślałem, że ktoś jeszcze mógłby cię zaczepić. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć ciemną nocą.

Roześmiali się i Joe wsiadł do samochodu.

- Mielście jakieś kłopoty? - zapytał, kiedy David cofał wóz do krawędzi trawnika, manewrując energicznie kierownicą.

- Nie, żadnych - odpowiedział. - Tylko pani, twoja żona, oświadczyła, że chce wrócić do domu. - Wykręcił i ruszył w kierunku domu.

- Nie lubisz jej, prawda? - zapytał Joe po pewnym czasie.

- Nie chodzi o to, czy ją lubię, czy nie - odpowiedział David, nie spuszczać wzroku z drogi. - Problem w tym, że to ona mnie nie lubi. Czuje do mnie niechęć.

- Bzdura.

- To nie żadna bzdura i dobrze o tym wiesz. Dla niej jestem czarnym, który ożenił się z białą kobietą i na dodatek mieszka w

przyzwoitym domu. A najgorsze i niepojęte jest to, że mój pan traktuje mnie jak równego sobie. Rozmawia ze mną jak z ludzką istotą. Nie można traktować tak służących. Tego się nie robi w wyższych sferach.

- Przestań, Davidzie.

W odpowiedzi zatrzymał gwałtownie samochód, zacisnął dłonie na kierownicy i spuścił głowę.

- Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, Joe. Wszyscy znaleźliśmy się w nowej sytuacji. Ty osobiście jesteś za to odpowiedzialny. Nie można jej winić za takie zachowanie. Nie możesz oczekiwać od niej zrozumienia. Jeśli chcesz, by wszystko dobrze się układało, musisz pogodzić się z tym, że ja jestem szoferem i ogrodnikiem, a ty moim panem. I rada na przyszłość: rozmawiaj ze mną bardziej protekcyjnie.

- Przestań pleść bzdury! Nawet gdybym był w stanie to zrobić, to i tak nie zrobię. Ani dla niej, ani dla nikogo innego. I dobrze o tym wiesz.

David uniósł głowę i odchylił się na siedzenie. Joe siedział w podobnej pozycji.

- Sytuacja nie do pozazdroszczenia, co? Joe pokiwał głową.
- Rzeczywiście nie do pozazdroszczenia. I tak już pozostanie.
- W takim razie czeka cię trudny okres.
- Poradzę sobie, nie obawiaj się.
- Co pan starszy o niej myśli? - zapytał David stłumionym

głosem.

- Nie bardzo wie, co ma o niej myśleć, ale rozmawia z nią, a ona

z nim. Chyba lubi do niego przychodzić.

- To dobrze wróży, choć wydaje się nieco dziwne.
- Daj spokój, Davidzie.
- Przepraszam. - Obrócił się na siedzeniu i ścisnął Joego za kolano. - Nie będę ci sprawiał kłopotów. Dostosuję się.

W zapadającym zmroku popatrzyli na siebie, uśmiechnęli się niepewnie, po czym David włączył silnik i ruszył w stronę domu.

Rozdział 3

Naczelna Rada odwołała strajk powszechny 12 maja 1926 roku. Przez dziewięć dni świat pracujący wspierał górników, później jednak zostawił ich samym sobie. Tymczasem tygodnie zmieniały się w miesiące. To właśnie Mary Duffy powiedziała Elli, stojąc z ponurą miną przy kuchennym stole.

- Są sami i pewnie jeszcze długo będą sami, więc ciesz się, panienko, że masz pełny brzuch. Miałabyś na co narzekać, gdybyś była jedną z nich. Trudno tam teraz zobaczyć grubą kobietę. Jesteś dla niej Jane i nie ma o czym gadać. Powinnaś się z tym pogodzić.

- Mam na imię Ella.
- Wszyscy o tym wiemy, dziewczyno, ale pan starszy na to przystał, więc nie ma o czym gadać.
- Rozmiękczyła go.

- Nieprawda. On wie, co robi. Nie chce w domu awantur. A jeśli osiągnie to, wyrażając zgodę, by nazywać cię Jane, to jestem za tym.

- Mogłabym plunąć jej w twarz za każdym razem, kiedy mówi do mnie Jane.

- Dość tego. - Mary odwróciła się od pieca, podeszła wolno do stołu i wycelowała palec w stronę siostrzenicy. - Posłuchaj, panienko. Nie będziemy tak rozmawiać. Bez względu na to, co o niej myślisz, masz trzymać język za zębami. Ona wkrótce się domyśli, że chcesz plunąć jej w twarz, jeśli już się nie domyśliła, więc rusz głową i pohamuj swój język. Zapamiętaj, co ci teraz powiem: pan Joe jest miły, ale kiedy się dowie, że byłaś dla niej nieuprzejma, pokaże ci, gdzie jest twoje miejsce. On przymyka oczy na wiele spraw, ale nie dałabym złamanego szeląga za to, że cię nie wyrzuci, kiedy się dowie, że się jej stawiasz.

- Wziął moją stronę, sama słyszałam.

- Tak, tak, mówiłaś, ale na twoim miejscu nie kusiłabym losu. Nie masz pojęcia, na jakim świecie żyjesz. Niczego ci dotąd nie brakowało. Miałaś wszystko podane na talerzu. Nie zapominaj, gdzie jest twoje miejsce. Jesteśmy tu służącymi.

- Och, wciąż mi o tym przypominasz, ciociu Mary - syknęła gniewnie Ella. - Ciągle tylko słyszę: nie zapominaj, że jesteś służącą. A ja nienawidzę być służącą. W końcu kim oni są? Tata mi mówił, że mój dziadek pracował z jego dziadkiem i panem starszym. Pan starszy zaczynał w warsztacie stolarskim, a nazywa siebie inżynierem. Był robotnikiem bez żadnego wykształcenia. Ale jeśli to, co mówią jest

prawdą to pewnych rzeczy nie musiał się uczyć i wystarczy przejść kilka jardów, by się o tym przekonać. I gdyby wtedy nie miał pieniędzy...

- Zamknij gębę! W tej chwili zamknij gębę, dziewczyno! Jeżeli jeszcze raz usłyszę, że o tym gadasz, sama pójde do pani. Powiem jej, że twoja matka jest chora i musisz się nią opiekować. Nienawidzisz być służącą ale jest coś, czego nienawidzisz jeszcze bardziej: spania we czwórkę w łóżku. A teraz weź te jedwabie. - Wskazała na czarną jedwabną bieliznę leżącą na stole. - Wypierz je, wysusz w ręczniku i uprasuj. Tylko szybko. Jeżeli usłyszę dziś od ciebie jeszcze jedno słowo, uszy ci powyrywam.

Tylko spróbuj - mówił wyraz twarzy Elli. Odwróciła się gniewnie na pięcie, chwyciła jedwabną bieliznę i wyszła, trzasnąwszy drzwiami, do pralni mieszczącej się po drugiej stronie podwórza.

Mary oparła się o krzesło, ciężko oddychając. Po chwili drzwi do kuchni otworzyły się i wszedł jej mąż.

- Ta dziewczyna znowu rozrabia - oznajmiła Mary. - Któregoś dnia coś chlapnie i to będzie jej koniec. Że też zawsze człowiek musi się czymś martwić.

- To ci jeszcze coś powiem. - Duffy postawił na stole tacę ze srebrną zastawą do herbaty. - A właściwie dwie rzeczy. Ona zażądała, aby w każdy piątek rano przedstawiać jej wszystkie rachunki.

- Dostaje przecież księgę rachunkową.

- A jakże. Tylko że chce teraz mieć wyszczególnione wszystkie wydatki. Dokładnie tak powiedziała: „wy-szcze-gól-nio-ne”. Wszystko,

co kupimy, musi mieć swoje pokrycie. Pewnie coś zważała. Musiała zobaczyć dzieciaki wychodzące z torbami.

- O mój Boże! Ale przecież pan starszy na pewno nie ma nic przeciwko temu. A pan Joe sam by im dawał.

- Możliwe, ale nie zapominaj, że jest teraz żonaty.

- Trudno o tym zapomnieć - mruknęła Mary, niepomna tego, co powiedziała Elli. - Odkąd się zjawiała w tym domu, nie ma chwili spokoju. A co to za druga sprawa?

- Przylapała Davida, jak dawał Danowi Eganowi i jeszcze komuś pomidory i ziemniaki. Zdaje się, że nie tylko położy temu kres, ale usadzi Davida na właściwym miejscu. W każdym razie się stara. Nieźle się teraz o to kłóca.

- Pan Joe i ona?

- A jakże.

- Myślisz, że pan Joe ulegnie?

- Poczekamy, zobaczymy. Sytuacja jest niewesoła. Można powiedzieć, że pan Joe znalazł się między młotem a kowadłem.

Tak właśnie myślał Joe, siedząc na górze w saloniku i trzymając swoją żonę za rękę. Nie mógł odmówić jej słuszności. Skoro była panią tego domu, do niej należało prowadzenie rachunków. Zajmowała się tym, odkąd skończyła osiemnaście lat. Prowadzenie ksiąg rachunkowych było jedyną rzeczą którą umiała robić, a z tych rachunków wynikało, że są okradani. Nie tylko w domu, ale poza nim, dodała z naciskiem.

- Po co zaprzątasz sobie główkę takimi drobiazgami? -zapytał,

pieszcząc jej palce. - Wiem, że zamawiają więcej, niż powinni, ale w dobrym celu. Tam we wsi ludzie głodują, a zwłaszcza kobiety. Oddają swoją część dzieciom.

- To wszystko bardzo pięknie, Joe, ale to nie twoja sprawa. Władze i opieka społeczna się nimi zajmą, nie będą więc głodować. Wydawane są zupy i...

Wstał gwałtownie i podszedł do okna, za którym ziemia omdlewała w popołudniowej spiekocie. Nie sposób było podlać wszystkich trawników i słońce je wysuszyło. Panowało piękne lato. Szybko dojrzewały owoce i warzywa. W szklarniach obrodziły pomidory. Jabłonie i grusze uginały się pod ciężarem owoców. Było mnóstwo truskawek, agrestu, malin i czarnych porzeczek. Półki w piwnicy zapełniały słoiki z konfiturami i dżemami. Codziennie podawano owoce do posiłków, lunch składał się z trzech dań, a kolacja z czterech.

Podczas tych sutych posiłków nie mógł przestać myśleć o Fellburn i jego mieszkańcach. Ona jednak przekonywała go, że nie będą głodować. Czy kiedykolwiek ich zrozumie? Czy kiedykolwiek się przystosuje?

Jakoś dogadała się z ojcem, a także z Marcusem i Leną Leveyami. Marcus uważał ją za zabawną, Lena za piękną, a Doris, ich córka, wprost ją uwielbiała. To dziwne, ale jedynie w kuchni nie mogła się dogadać. I oczywiście w Chatce. Nienawidziła Davida i Hazel, szczególnie jednak Davida. Mógł wszystko znieść, nawet nienawiść do ojca, byleby polubiła Davida.

- David otrzymał moje pozwolenie na dawanie wszelkich nadwyżek warzyw i owoców górnikom - powiedział szorstko, nie odwracając twarzy od okna. - Mówiłem ci już, że nie masz prawa się w to wtrącać.

Posłyszał, że zerwała się z sofy, a z tonu głosu mógł sobie wyobrazić wyraz jej twarzy.

- A ja mówiłam ci, że się z tym nie zgadzam, zwłaszcza w takiej ilości. W dodatku daje temu Eganowi, który zaraz przehandluje to za alkohol.

Odwrócił się w jej stronę.

- Wyobraź sobie, że Dan Egan nie pije - niemal krzyknął. - Może to cię zdziwi, ale jest on człowiekiem o wysokiej moralności. Ma niewyparzoną gębę, ale nie miele jęczorem bez powodu. Wszystko, co Dan Egan dostaje z mojego ogrodu, jest przynoszone do miejscowego klubu i rozdzielane.

- Powinieneś być górnikiem.

- Może i tak.

- Ten dżentelmen w przedziale miał rację. Zaliczasz się do jednej klasy, ale należysz do drugiej.

- Nie mam ochoty z tobą walczyć.

- Zdaje się, że od tygodni nic innego nie robimy. Bez przerwy mi się sprzeciwiasz. Dlaczego nie pozwolisz mi zająć należnego mi miejsca w tym domu? Twój ojciec bardziej szanuje moje życzenia niż ty. Ty nigdy byś nie pozwolił na zmianę imienia tej dziewczyny, on tak. On to rozumie. On nie płaszczy się w kuchni. Wybacz, że to

mówię, ale ty nie masz pojęcia o tym, co jest właściwe, i jakie zajmujesz miejsce w towarzystwie. Nie rozumiesz ludzi. Nigdy nie doceniałeś mojej inteligencji. Na tańcach u Polly Rawlston zobaczyłeś we mnie wesołą dziewczynę tańczącą charlestona, która potrafi prowadzić błyskotliwą rozmowę, brzdąkać na pianinie, paplać po francusku i...

- Elly, posuwasz się za daleko.

- No i proszę, kiedy zaczynam mówić o czymś ważnym, na przykład o mojej inteligencji, twierdzisz, że posuwam się za daleko. Jak widzę, tutejsi mężczyźni wciąż traktują swoje żony jak niewolnice. Najwyraźniej nie wiedzą, że kobiety też mają prawo głosu. Mąż może robić, co chce, i chodzić, dokąd chce, a obowiązkiem żony jest wychowywać tuzin dzieci, tak jak w domu Eganów, gotować i służyć swojemu panu i władcy.

Zatrzymała się gwałtownie i spojrzała zaskoczona, bo Joe wybuchnął serdecznym śmiechem.

- Cieszę się, że cię rozbawiłam! - krzyknęła rozzłoszczona. - Choć osobiście nie widzę w tym nic śmiesznego.

- Nie? - Otarł palcem oczy, podszedł do niej, objął delikatnie i powiedział: - To wspaniałe, nadzwyczajne. W końcu wzięłaś ich stronę, przynajmniej kobiet.

Przez chwilę patrzyła na niego chłodno.

- Nie zrozumiałeś mnie - odparła. - Widzisz rzeczy takimi, jakimi chcesz je widzieć. Ja tylko przedstawiłam oczywisty fakt. W rzeczywistości gardzę nimi, bo nie mają dość oleju w głowie,by

zmienić swoje życie. Kobiety muszą wiedzieć, co je czeka, wychodząc za takich mężczyzn.

Zsunął wolno rękę z jej ramion. Krew odpłynęła mu z twarzy, lecz głos brzmiał spokojnie.

- Nigdy nie poślubiłabyś biedaka, prawda, Elly?

To pytanie wywołało rumieniec na jej bladej twarzy. Przez chwilę wydawało się, że straciła mowę.

- Ja... ja nie wyszłam za ciebie dla pieniędzy. Poza tym nie jesteś prawdziwym bogaczem.

- Nie jestem prawdziwym bogaczem, ale jestem, jak to określasz, dobrze sytuowany, i to na tyle dobrze, by rozdawać owoce i warzywa z mojego ogrodu. A na przyszłość byłbym wdzięczny, Elly, gdybyś nie wtrącała się w sprawy Davida. To nie należy do twoich obowiązków.

Wyraz niechęci na jej twarzy zmienił się w palący gniew.

- David! David! - krzyknęła. - Ciągłe ten David. Ten człowiek jest przyczyną niezgody między nami. Dlaczego się go nie pozbędziesz? Każdy inny by to zrobił. Jeżeli służący, w dodatku mieszaniec, denerwuje żonę pana, należy się go pozbyć. A ty co robisz? Ty stajesz po jego stronie. Kim on jest, że się tak o niego troszczysz? Wiem, co zrobię. Pójdę na górę do twojego ojca. Mówiłeś, że wciąż jest tu gospodarzem. Zrozumie mój punkt widzenia, podobnie jak to było z tą dziewczyną z kuchni. Przekonamy się, czy pan David Brooks jest ważniejszy ode mnie.

Nie zdążyła nawet krzyknąć, tak nagle została pchnięta na sofę.

- Ani mi się waży chodzić tam i prosić, by David został

zwolniony - powiedział Joe, stojąc nad nią. - Nie wolno ci nawet wymienić jego imienia. Rozumiesz?

Złapał ją za rąbek sukienki, a ona instynktownie chwyciła go za nadgarstki. Oczy miała szeroko otwarte, wargi rozchylone, a język nerwowo przesuwał się w górę i w dół. Twarz, wyrażająca teraz szok i zdumienie, wydawała się jeszcze dłuższa.

- Mój ojciec dość już wycierpiał z powodu mojej matki. W jego wieku i przy tym stanie zdrowia nie pozwolę ani tobie, ani komukolwiek go niepokoić. On... on bardzo lubi Davida jak... jak my wszyscy. Jeśli spróbujesz porozmawiać o jego zwolnieniu, to...

Przełknął ślinę i zaniknął na moment oczy, po czym puścił Elaine. Przez jakiś czas patrzyli na siebie w milczeniu.

- Przepraszam - powiedział cicho, po czym odwrócił się i pospiesznie wyszedł z pokoju.

Ona tymczasem leżała bez ruchu i wpatrywała się w drzwi.

Joe splukał twarz zimną wodą i poszedł na górę. Zanim otworzył drzwi do pokoju ojca, przeczesał palcami mokre włosy i rozluźnił kołnierzyk koszuli.

Mike właśnie wychodził z pracowni. Szedł lekko pochylony, powłócząc nogami. W milczeniu usiadł na swoim stałym miejscu przy oknie.

- O co poszło? - zapytał cicho.

- Nie rozumiem?

- Oj, chłopcze, nie jestem głuchy - rzucił szorstko Mike. -

Pamiętaj, że wasze pokoje są tuż pod moimi. - Wskazał ręką na

podłogę.

- Mieliśmy małą sprzeczkę.
- Raczej cholernie dużą. O co poszło? - W jego głosie brzmiała troska.

Joe podszedł do okna i usiadł na szerokim parapecie. Przez chwilę spoglądał na ogród.

- Mógłbym powiedzieć, że to przez ten upał.
- Ale nie powiesz.
- Nie, nie powiem.
- Źle się między wami układa? Joe popatrzył na ojca.
- Chyba mówimy różnymi językami.
- A niech to! Pewnie się tego nie spodziewałeś, co? Pamiętasz, co ci mówiłem? Nie zrób tego samego błędu co ja. Znaczy to, że powinieneś robić to, co uważasz za stosowne.

- Myślałem, że tak właśnie robię.
- A ona tego nie kupiła?
- Na to wygląda.
- O co poszło tym razem?
- Och, o wszystko i o nic.

Mike pochylił się lekko, oparł dłońmi o poręcz fotela, wstał z trudem i podszedł do sekretarzyka stojącego w rogu pokoju. Wyjął z niego butelkę i dwa kieliszki.

- Czy wprowadziłeś ją w sprawę? - zapytał niemal szeptem.
- Oczywiście że nie. I nie zamierzam.
- A jeśli zrobi to ktoś inny?

- To niemożliwe. Kto mógłby to zrobić? Zresztą byłaby to tylko plotka.

- Tak, plotka. - Mike odwrócił się w stronę syna. - Podejdz tu. Myślę, że kieliszek dobrze ci zrobi.

Podał mu szklaneczkę z czystą whisky, uniósł w górę swoją, przyjrzał się jej zawartości, po czym opróżnił jednym haustem, wstrząsając się lekko.

- To było cholernie głupie pytanie - stwierdził po chwili.

- To nie trzeba było go zadawać.

- Wiesz, co mi pewnego dnia powiedziała? - zagadnął Mike, kiedy usiadł ponownie w fotelu.

- Co takiego?

- Zapytałem, co myśli o powiększeniu rodziny, a ona odpowiedziała, że oboje uznaliście, iż takie irytujące głupstwa... to są jej własne słowa, choć wypowiedziane ze śmiechem... nie będą wam przeszkadzać przez co najmniej dwa, trzy lata. To prawda?

- Nie.

Mike przyjrzał się Joemu, który opróżnił swoją szklaneczkę, i powtórzył:

- Nie?

- Powiedziałem już, że nie.

- Jak mam to rozumieć?

- No cóż, myślę, że ona pragnie być za coś odpowiedzialna.

Chce czymś kierować, czymś rządzić, pomyślałem więc, że najlepszą rzeczą... - Urwał, wydał wargi, pokiwał głową i dokończył: - Najlepszą

rzeczą będzie stworzyć dla niej małą armię, i to tak szybko, jak się da.

Mike wybuchnął gromkim, serdecznym śmiechem. Odrzucił głowę w tył, a jedną ręką trzymał się za brzuch. Joe zaśmiał się również, lecz jego śmiech przypominał raczej chichot, którego powodem nie było samozadowolenie, lecz przyjemność, jaką sprawił swym oświadczeniem ojcu.

W końcu Mike otarł twarz dużą kolorową chustką.

- No, muszę uznać twoją wyższość - powiedział wesoło. - Sprytny z ciebie gość. Czy to już się stało?

- Nie wiem. Jeszcze za wcześnie, by o tym mówić.

- Tak czy inaczej jedno jest pewne: masz łeb nie od parady, chłopcze.

Joe patrząc na ojca, zrozumiał, że swym przyznaniem się do podstępu sprawił mu większą radość, niż gdyby po prostu przyszedł i powiedział, że Elly spodziewa się dziecka. Zrozumiał też jeszcze jedno: że ojciec jej nie lubi, podobnie jak ci z kuchni i z Chatki.

- No, czas na mnie - powiedział. - Ach, byłbym zapomniał ci powiedzieć, że wizyta w Londynie przyniosła owoce. Dziś rano otrzymaliśmy zamówienie na tysiąc obudów do radioodbiorników. Z tego jedna trzecia ma być z ozdobnym ornamentem.

- Wspaniale!

- Do zobaczenia.

- Do zobaczenia, chłopcze. Chyba powinienem położyć tu gruby dywan - dodał, kiedy Joe był już przy drzwiach. - Bardzo się przyda, kiedy wyjdzie na jaw twój podstęp.

Joe w odpowiedzi machnął tylko głową. Schodząc po schodach pomyślał, że dywan nie wystarczy, i tak będzie słyszeć krzyki Elaine.

Rozdział 4

Tymczasem Elaine nawet nie podniosła głosu, kiedy odkryła, że jest w ciąży. Zbyt była zaskoczona i oszołomiona. Początkowo nawet nie przyjmowała do wiadomości zmian, jakie zaszły w jej ciele. Miesięczny cykl zawsze miała nieregularny, toteż zupełnie się tym nie przejmowała.

Po raz pierwszy mdłości ogarnęły ją w niedzielę rano i zrzuciła je na karb pieczonej kaczki, którą zjadła poprzedniego wieczoru podczas przyjęcia w Newcastle. Do tego doszła jeszcze pokaźna liczba koktajli i to na pewno rozregulowało żołądek. Przeleżała w łóżku do południa, a Joe siedział przy niej przez jakiś czas, trzymając za rękę i głaszcząc po wilgotnym czole. Ona zaś mówiła o przyszłości i o zbliżającej się jesieni.

Czy nie mogliby pojechać do miasta i spędzić kilku tygodni z wujem Turnbullem? Bardzo by się z tego ucieszył, bo zapłaciliby mu za pobyt. To dla niego dość krępujące, ale na nic innego nie może sobie pozwolić. Tyle się dzieje w mieście jesienią. Gdyby jeszcze wyciągnęli ze wsi kuzynkę Kathryn, to jej nazwisko otworzyłoby przed nimi wiele drzwi.

Zacisnęła palce wokół jego nadgarstka i dodała:

- Potrafisz być taki zabawny, jeśli zechcesz. Wczoraj wieczorem wszystkich rozśmieszyłeś. Byłeś bardzo dowcipny, wiesz? Nie zabawny, ale dowcipny.

- Czyżby? - zapytał obojętnym tonem. - Nie wiedziałem, że jest jakaś różnica.

Klepnęła go po ramieniu.

- Nie bądź niemądry. No więc, co myślisz o wyjeździe do miasta?

- Zobaczymy - odparł, wstając. Uniosła się na poduszkach.

- Joe, chcę usłyszeć odpowiedź.

- I chcesz, żeby brzmiała: „Tak”.

- Proszę cię.

- Przykro mi, Elly, ale nie mogę obiecywać czegoś, czego mógłbym nie dotrzymać. Muszę pilnować interesu, a sytuacja jest niepewna. Przecież wiesz. Nasi ludzie są narażeni na najrozmaitsze zniewagi i napaści. Opowiadałem ci o tych niemiłych zdarzeniach w mieście. A to dlatego, że nie przyłączyli się do strajku. Wszyscy jakoś zapomnieli, że przez całe tygodnie oddawali swoją dniówkę.

- Masz przecież dyrektora i personel.

- Tak, ale to ja za wszystko odpowiadam i muszę być na miejscu.

- I ja także? - Usiadła gwałtownie na łóżku i machnęła głową tak mocno, że zafalowały jej błyszczące, krótko przycięte włosy. - Mam tego dość, słyszysz?! Mam dość. Nie mam tu z kim porozmawiać.

- Nie bądź niemądra.

- Nie mów mi, że jestem niemądra. Zamiast tego podaj przykład choć jednej inteligentnej osoby, z którą mogłabym porozmawiać.

Stanął przy toalecie, wziął do ręki grzebień, przeczesał nim włosy i spoglądając na jej odbicie w lustrze, powiedział:

- Mój ojciec może nie ma odpowiedniego akcentu, do którego przywykłaś, lecz ze świecą trzeba by szukać równie inteligentnego jak on człowieka. Najwyraźniej nie zauważyłaś, że jest bardzo odczytany.

- Dobrze już, dobrze, ale zapominasz o jednym. Twój ojciec jest stary, a ja potrzebuję kogoś w moim wieku i z mojej sfe...

Odwrócił się i spojrzał na nią w milczeniu. Potem wolno podszedł do łóżka i popatrzył na jej spuszczoną głowę. Utkwiła wzrok w polakierowanych paznokciach i zapewne spodziewała się tyrady na temat sfery. Tymczasem uniósł jej brodę do góry i spojrzał w oczy.

- Dlaczego więc nie zaprosisz tu którejś z twoich przyjaciółek?

- Naprawdę tak myślisz? - Uśmiechnęła się niepewnie.

- Naturalnie. Dlaczego nie?

- A... a twój ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu?

- Absolutnie nie. Z chęcią zobaczy nową twarz. Co byś powiedziała na twojego wuja?

- Wuj Turnbull? - Pokręciła przecząco głową i roześmiała się. - Pamiętaj, że ma to być ktoś odpowiedni dla mnie. Wuj potrafi być strasznie nudny.

- A lady Kathryn?

- Och, nie wiem. Jest dobrą towarzyszką, jeśli potrafisz sprawić, by usiadła na miejscu. Jak znam Kathryn, to cały czas spędzałaby w

ogrodzie.

- A twoje szkolne przyjaciółki? Wzruszyła ramionami.

- Większość z nich wyszła za mąż. Moja najlepsza przyjaciółka Anna poślubiła w zeszłym roku amerykańskiego farmera i od tego czasu napisała tylko raz i to pewnie siedząc na koniu.

Roześmieli się głośno.

- Jest jeszcze Betty - powiedziała po namyśle.

- A tak, Betty. Zupełnie o niej zapomniałem. Ale ona chyba gdzieś pracuje.

- Tak, ale przyjedzie, jeśli powiem, że jej potrzebuję. Betty należy do osób, które uwielbiają być potrzebne. Powiedziałam jej kiedyś, że jest urodzoną towarzyszką życia dla jakiejś starszej pani, zawsze pogodną i pełną dobrej woli. Kiedyś czułam się przy niej gorsza, dopóki nie zdałam sobie sprawy, że wszystkie swoje dobre cechy otrzymała jako rekompensatę za brak urody.

- Jesteś okrutna. Według mnie ma miłą twarz. W ogóle wydaje się miłą osobą.

- Owszem, jest miła, ale trudno nie zauważyć, jaka z niej wielka, niezgrabna kobieta.

- W porównaniu z tobą rzeczywiście może się tak wydawać, ale nie zauważyłem, by była szczególnie wielka.

- Och, tu nie chodzi o jej wygląd. Nie mieszkałeś z nią, więc nie wiesz. Jest niezdarna i często tłucze różne rzeczy.

- Jeśli to jej jedyna wada, to nie narobi tu wiele szkód. W domu są tylko dwa cenne przedmioty z porcelany, a szkło sunderlandzkie

możemy schować do kredensu.

Wybuchnęli śmiechem.

- No, dlaczego do niej nie napiszesz? - zapytał.

Oparła się o poduszki i popatrzyła na niego w zamyśleniu.

- Och, nie wiem. Ona bywa czasami nie do zniesienia. Jeszcze zaczekam. Na razie zadowolę się tobą. Ale coś ci powiem. - Chwyliła go za rękę. - Jeśli nie weźmiesz urlopu jesienią, sama pojedę do Londynu. Nie byłabym w stanie znieść tutejszej monotonii przez całą zimę.

- Dobrze już, dobrze - powiedział. - Jedź i baw się świetnie.

Puściła jego rękę i spojrzała mu w oczy. Uśmiechnął się, po czym odwrócił i wyszedł z pokoju. Leżała przez chwilę bez ruchu, a potem wyduła wargi, pokręciła głową i wykrzyknęła:

- No, no!

Nudności wróciły w poniedziałek rano.

- Nie, to niemożliwe! - jęknęła. - Nie mógł mi tego zrobić. Kiedy jednak powtórzyły się we wtorek, wyszła z łazienki do sypialni i zaczęła na Joego, który ubierał się w garderobie. Na widok wyrazu jej twarzy przerwał zapinanie kamizelki.

- Co się stało? - zapytał cicho.

- Jesteś świnią - powiedziała świszczącym szeptem.

- Coś ty powiedziała? - Podszedł do niej wolno.

- Słyszałeś. Doskonale wiesz, co zrobiłeś. A przecież przyrzekłeś. - Z trudem wymawiała słowa. - Zrobiłeś to specjalnie.

- O czym ty mówisz?

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Jestem przez ciebie w ciąży.
Patrzyła, jak twarz rozjaśnia mu się uśmiechem.
- W ciąży? - powtórzył szeptem, po czym spoważniał i machnął ręką, jakby odganiał muchę. - Na pewno się mylisz.
- Chciałabym się mylić, ale nie. Nie miałabym nic przeciwko temu, dałeś mi jednak słowo...
- I dotrzymałem. Sama przecież wiesz. - Odwrócił się i przeszedł przez pokój. - Ja... nie wiem, kiedy to się mogło stać. Chyba tego wieczoru, gdy wróciliśmy od Leveyów. Mieliśmy wtedy porządnie w czubie.
- Tak, tak, pamiętam - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Ale nie byłam aż tak pijana, by nie wiedzieć, co się święci. Oszukałeś mnie. Nienawidzę cię, słyszysz? Nienawidzę! Co więcej, nie chcę mieć dziecka. Usunę je.
- Co zrobisz?! - W jednej chwili znalazł się przy niej. Opadła na łóżko przestraszona wyrazem jego twarzy. Szczęki miał zaciśnięte, a oczy płonęły gniewem. - Nie waż się tego mówić!
- Odsunęła się od niego i uniosła hardo głowę.
- Będę tak mówić i zrobię to. Nie mam zamiaru wiązać sobie teraz życia. Mówiłam ci o tym jeszcze przed ślubem i co wówczas powiedziałeś? Że pragniesz tylko mnie.
- Wiem, co powiedziałem, ale stało się i tak zostanie. To dziecko będzie częścią ciebie.
- Nie, bo do tego nie dopuszczę.
- Posłuchaj - powiedział, pochylając się nad nią. - Nie chcę się z

tobą klócić, nie w chwili, która powinna nas połączyć, ale jeśli spełnisz swą groźbę, możesz nigdy tu nie wracać. Ja nie żartuję. Wyrzucę cię, nawet jeśli sprawa miałaby się skończyć w sądzie. Urodzisz to dziecko. Czy chcesz tego, czy nie. Boże! - Wyprostował się, zmierzył ją wzrokiem i pokręcił głową. - Nie mogę w to uwierzyć. Skoro wiem, co o tym myślisz, powiem ci, co ja myślę. Tak, użyłem podstępu, bo bardzo chciałem mieć dziecko. Nie myślałem tylko o sobie, lecz także o tobie. Miałem nadzieję, że macierzyństwo zrobi z ciebie kobietę, zmieni twój głupi, podszyty egoizmem stosunek do świata. Myślałem w swojej ignorancji, że po krótkiej chwili buntu obejmiesz mnie i powiesz: „Czy to nie cudowne?” Tak się nie stało. No cóż, oboje wiemy, na czym stoimy. Powiedziałaś, że mnie nienawidzisz. W tej chwili mogę ci odpłacić tym samym, lecz mam nadzieję, że to się zmieni.

Odwrócił się i ciężkim krokiem wyszedł z sypialni. Wyglądał teraz jak stary, ciężko doświadczony przez los człowiek.

Część druga

Rozdział 5

Beatrice Hughes-Burton przyjechała do Remingtonów na początku listopada. Elaine była w czwartym miesiącu ciąży i najwyraźniej pogodziła się ze swoim stanem, bez większego entuzjazmu, lecz też bez jawnej wrogości.

Od owego pamiętnego wtorkowego ranka, kiedy Joe porządnie ją przestraszył, do czego w głębi ducha się przyznawała, wiele spraw przemyślała. Nie obawiała się, że mógłby ją pobić, obawiała się, że rzeczywiście wyrzuciliby ją z domu. Zdażyła już poznać go na tyle, by wiedzieć, że nie cofnąłby się przed tym, gdyby usunęła ciążę. Jednego była pewna: nie potrafiłaby żyć bez wygod, a myśl o ponownym znalezieniu się w grupce niezamężnych kobiet, z piętnem separacji, była nie do zniesienia. Zbyt wielka panowała tam konkurencja, zbyt dużo było młodych wdów i rozczarowanych młodych mężatek, a zbyt mało mężczyzn. Ci, którzy pozostali, nie mieli do zaoferowania nic prócz miłości w zaciszu niewielkiego mieszkania na trzecim piętrze w Bloomsbury. Pozwoliła się więc Joemu udobruchać z powodu tego nagłego przykrego wydarzenia.

Uznała również za wskazane zmienić swoją opinię o ludziach,

wśród których przyszło jej żyć. Przekonała się, że mąż niczym nie różni się od swego ojca i obaj wywodzą się z klasy robotniczej. Tak naprawdę to nigdy tej klasy nie opuścili. W pewnym sensie był to dla nich powód do dumy. Nawet wykształcenie Joego miało dość kruche podstawy i zdarzały się chwile, kiedy nie starał się tego ukrywać, z dumą posługując się miejscowym dialektem. Wynikało to z głębokiego poczucia niższości. W średniej czy wyższej klasie trzeba się urodzić, by do niej należeć. Choć jego matka była damą, jak dano Elaine do zrozumienia, on sam nie wykazywał żadnych oznak człowieka z wyższych sfer. Wprost przeciwnie, znajdował przyjemność w brataniu się ze służbą. Na przykład z tym wstrętnym człowiekiem mieszkającym w Chatce. Jakże nienawidziła tego mężczyzny. Za każdym razem kiedy widziała Joego z nim, rósł w niej gniew. W ich wzajemnym stosunku wyczuwało się coś nienaturalnego. Odnosiła wrażenie, jakby Joe robił wszystko, by go sobie zjednać. Nie żeby się go bał, nie, nie, ale traktował go z wielkim szacunkiem, jak bardzo bliskiego, ukochanego przyjaciela.

I jeszcze żona tego człowieka. Ta kreatura, córka Egana. Zbyt się spoufalala z Joem i on z nią. Wczoraj widziała, jak położył jej rękę na ramieniu. Szła wtedy wolno podjazdem w stronę samochodu. Musiała wykonywać takie trywialne czynności, by wypełnić jakoś czas i zwalczyć uczucie wielkiej nudy. Właśnie minęła zakręt i dostrzegła stojący w bramie samochód oraz Joego idącego z tą dziewczyną w stronę Chatki. Oboje głośno się śmiali. Dziewczyna miała na sobie wyjściowe ubranie, co dowodziło, że właśnie razem skądś wrócili.

Elaine odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę domu, postanawiając, że porozmawia z nim na ten temat. Kiedy jednak dotarła do drzwi, zdała sobie sprawę z tego, że właściwie nie wie, co i jak ma mu powiedzieć. Prawdopodobnie po prostu podwiózł tę dziewczynę. Tylko dlaczego odprowadzał ją do Chatki? Mógłby jej wtedy na to odpowiedzieć: „Dlaczego nie? Nie mogłem jej przecież zostawić samej”. Ostatnio często zachowywał się nonszalancko i po prostu z niej żartował.

Zanim usłyszała jego wesołe pogwizdywanie, postanowiła, że pominie tę sprawę milczeniem i zachowa się jak dama.

Dziś jednak nie myślała ani o dziewczynie, ani o jej kolorowym mężu. Czuła się szczęśliwa i podekscytowana, albowiem właśnie dziś miała przyjechać Betty. Och, jakże się za nią stęskniła. Nareszcie będzie mogła porozmawiać z kimś ze swojej sfery.

To dziwne, ale do tej pory nigdy nie myślała o siostrze jako o kimś z tej samej sfery ani też z tego samego pokolenia. Było między nimi sześć lat różnicy, a wojenna służba sprawiła, że Betty stała się bardziej pospolita i gadatliwa. Była jednak jej siostrą i mówiła tym samym językiem. Obie obracały się w tym samym środowisku. Co więcej, Betty była wspaniałą, niezwykle wyrozumiałą pielęgniarką. To cudownie, że przyjeżdża.

Oparła ręce na toaletce i zaśmiała się cicho. Dobry Boże! Pewnie za chwilę wyrosną jej skrzydła. Chyba naprawdę się nudzę. W końcu Betty to tylko Betty, zawsze będzie tylko Betty...

- Jesteś gotowa?

Spojrzała w lustro na stojącego w drzwiach Joego i wkładając kapelusz, skinęła twierdząco głową.

- Włożę tylko płaszcz.

Joe pomógł jej się ubrać, po czym opatulił mocno futrzanym kołnierzem.

- Ubierz się ciepło, bo wiatr niemal ścina z nóg. - Pochylił się, pocałował ją w usta i przesunął palcem wzdłuż linii jej warg. - Masz najpiękniejsze usta na świecie.

- Czy tylko usta? - Spojrzała na niego nieśmiało. Przechylił głowę na bok, jakby się zastanawiał.

- Nie. Ale to najlepsza twoja część, może z wyjątkiem tego. - Delikatnie poklepał ją po brzuchu.

- Ach ty! - Odwróciła się od niego.

- I ty, i ono... albo one - powiedział ze śmiechem, wychodząc za nią z pokoju.

Kiedy szli korytarzem, objął ją i mruknął:

- Czyż, to nie byłoby wspaniale, gdyby było ich więcej? Dwoje albo troje?

Kiedy odepchnęła go od siebie, wybuchnął śmiechem, który rozbrzmiał w całym domu, od kuchni aż po strych. Mike słysząc go, pokiwał głową i powiedział do siebie:

- To dobrze.

Kiedy przyjechali na dworzec, pociąg stał już na stacji.

Dostrzegli Betty na samym końcu peronu, zajętą rozmową.

Elaine machnęła niecierpliwie głową, lecz po chwili powiedziała

ze śmiechem:

- Wygląda na to, że Betty poznała kogoś w pociągu. Beatrice Burton odwróciła się w ich stronę z radosnym, szerokim uśmiechem, kiedy do niej podeszli.

- Och, witaj, Joe. Witaj, Elaine. - Pochyliła się i ucałowała siostrę. Następnie wyciągnęła rękę do Joego. - Miło cię znów widzieć, Joe. - Po czym odwróciła się do osoby, z którą rozmawiała. - To jest pani Ambers.

- Miło mi poznać panią. - Joe skłonił się kobiecie w starszym wieku, która wyglądała niczym dama z epoki wiktoriańskiej. Miała na sobie długi płaszcz, obszerną suknię zebraną w wąski pasek w talii, z górą ozdobioną długim rzędem guziczków. Szyję otaczał futrzany szal, który wyglądał, jakby zrobiono go z licznych ogonków. Głowę zdobił filcowy kapelusz z ogromnym rondem, spod którego wyglądała żywa twarz.

- Mnie również miło pana poznać, panie Remington - odpowiedziała donośnym głosem. - Jest pan szwagrem panny Burton, prawda? A to... - tu spojrzała na Elaine - musi być pani siostra. Coś podobnego, żadnego podobieństwa. Żadnego. Cha, cha! Tak to bywa. Ciekawa jestem, czy Hammond na mnie czeka. Czy zechciałaby pani to sprawdzić, panno Hughes-Burton? Przyjechał zapewne powozem, nie samochodem. Sarah nie ufa samochodom. Jest strasznie staroświecka.

- Tak, tak, oczywiście, już idę.

W tym momencie Joe przytrzymał ją za ramię.

- Zostaw to mnie - powiedział. Po czym zwrócił się do pani

Ambers. - Dokąd pani jedzie?

- Do dworu, oczywiście. Do dworu Mentonów.

- Ach tak. - Nie okazał zdziwienia, w przeciwieństwie do Elaine, która gapiła się na to stare czupiradło, myśląc gniewnie: To cała Betty. Tylko ona mogła spotkać kuzynkę lady Menton. Przypomniała sobie teraz, co łączy Ambersów z Mentonami. To straszycie to była lady Mary Ambers - podobnie jak Mentonowie płaściła się w pieniądzech i podobnie jak oni była zbyt stara, by się nimi cieszyć.

Podeszły do punktu kontroli biletowej.

- Mam nadzieję, że miała pani przyjemną podróż? - zapytała Elaine łaskawie.

- Podróże nigdy nie są przyjemne, lecz ta, dzięki pani siostrze, była udana. - Lady Ambers machnęła energicznie głową w stronę Betty.

- Ja również mogę to samo powiedzieć - pospieszyła Betty z zapewnieniem.

- Dziękuję, bardzo dziękuję. Rzadko można spotkać inteligentną rozmówczynię, która nie jest sufrażystką. Bo pani nie jest sufrażystką, prawda?

- Nie, nie jestem.

- To dobrze.

Joe czekał na nie za barierką, a za nim, w odpowiedniej odległości, David. Tuż przed Davidem stał ubrany w elegancką liberię mężczyzna w średnim wieku. Na jego widok lady Ambers krzyknęła głośno:

- Ach, tu jesteś, Hammond. Świetnie. Mężczyzna skłonił się z szacunkiem.

- Milady.

W tym momencie nastąpiło lekkie zamieszanie, bo milady nie mogła znaleźć biletu. Musiała usunąć się na bok, by przepuścić innych pasażerów, i zaczęła przeszukiwać torbę podróżną, a potem torebkę. W końcu Betty szepnęła jej do ucha:

- Zdaje się, że włożyła go pani do rękawiczki.

- Och tak, naturalnie. Dobry Boże, pewnie pomyślałaś, że całkiem zgrzybiałam - powiedziała głośnym szeptem, wywołując tym rozbawienie wśród pasażerów.

Wyszli przed dworzec. David z bagażem Betty skierował się do samochodu, a Hammond w stronę miejsca, gdzie stał błyszczący, stary powóz.

Otworzył szeroko drzwi, czekając, aż jego pasażerka wsiądzie. Lady Ambers postawiła nogę na stopniu, lecz cofnęła ją z powrotem na chodnik i spojrzała w stronę wsiadającej właśnie do samochodu Betty.

- Panno Burton! Panno Burton! - krzyknęła. - Musi pani przyjechać do mnie na herbatę. Słyszysz pani? Musi pani przyjechać na herbatę!

- Och, dziękuję bardzo. Przyjadę. Dziękuję. Do widzenia. Już w samochodzie Joe zachichotał wesoło.

- Cóż za towarzystwo sobie znalazłaś. Ciekaw jestem, kim ona jest dla Mentonów?

- To ich kuzynka. Joe spojrzał na Betty.

- Naprawdę?
- To jest lady Mary Ambers - wyjaśniła Elaine.
- Lady Mary Ambers. - Joe znaczył każde słowo kiwnięciem głowy. - Proszę, proszę. Ta ekscentryczka. Słyszałem o niej. Zdaje się, że objechała cały świat.

Tu odwrócił się do Betty i zapytał:

- Jak jej się to udaje, skoro nawet nie pamięta, gdzie schowała bilet?
- Znalazłaby go albo ktoś by jej pomógł. Należy do ludzi, którzy zawsze dają sobie radę... Nie wiedziałam, że to lady Mary. To miłe z jej strony, że się z tym nie obnosi. Powiedziała, że nazywa się Ambers.
- Wygląda, jakby miała nie po kolei w głowie - mruknęła Elaine. Betty spojrzała na nią z ukosa.
- Nieprawda. Ktoś, kto przeżył trzech mężów, nie może być szalony.
- Była trzy razy zameżna? - zdziwił się Joe.
- Tak, i podobno wszyscy mężowie ją uwielbiali - powiedziała Betty.
- Chciałaś powiedzieć, że to ona tak twierdzi - sprostowała Elaine.

Betty znów spojrzała na nią krzywo, po czym pokręciła głową.

- Nawet o nich nie wspomniała. Miałam już kiedyś okazję ją poznać. Nie sądzę jednak, by mnie pamiętała. Ja też wówczas nie wiedziałam, kim ona jest. To było na jakimś przyjęciu dobroczynnym, które urządziła Lena Bradshaw. Lena mówiła o niej: „Stara Mary”.

- Zostałaś zaproszona na herbatę, a to podwójny zaszczyt
-powiedział Joe, po czym dodał: - Będziesz pierwszą osobą z Fell Rise,
która przekroczy próg Menton Hall.

- Och, wcale tam nie pójde. Ona powiedziała to tylko przez
grzeczność.

- Nie bądź głupia! Oczywiście że pójdziesz - oświadczyła Elaine.
Betty przyglądała się przez chwilę siostrze.

- Wyślę tam ciebie.

Po pełnej napięcia ciszy, jaka nastąpiła po jej słowach, Joe
wykrzyknął:

- Zapomniałem przedstawić cię Davidowi, Betty. Betty, David.

Betty pochyliła się w stronę opuszczonej szyby oddzielającej je
od szoferki.

- Witaj, Davidzie - powiedziała grzecznie, na co równie
grzecznie odpowiedział.

- Miło mi panią poznać.

Elaine zacisnęła powieki i wsunęła się głębiej w siedzenie. Coś
podobnego! - pomyślała gniewnie, uderzając nerwowo językiem o
podniebienie. On jest niemożliwy. Niemożliwy. Przedstawić Betty
szoferowi! Jej siostra mogła wprawdzie wyglądać na kosmopolitkę, ale
co sobie pomyśli o kimś, kto przedstawia swoją szwagierkę szoferowi,
w dodatku kolorowemu?

Rozdział 6

Betty była w domu Remingtonów dopiero tydzień, a według słów Mike'a zdążyła się do niego dopasować jak rękawiczka. Sama Betty poczuła się w nim jak u siebie. Podobał jej się dom i ogród, a także serwowane jedzenie. Zresztą po kuchni kuzynki Kathryn - przez ostatnich sześć miesięcy - każdy by je polubił. Polubiła również wszystkich domowników, a w szczególności Mike'a. Jego szczerość była dla niej źródłem nieustającej wesołości. Oczywiście Joe również zyskał jej sympatię.

Uznała, że Elaine miała wielkie szczęście. Ale Elaine zawsze miała wielkie szczęście. Udawało jej się wszystko, cokolwiek sobie zaplanowała, tak jak zaplanowała sobie przyjazd siostry tutaj. Betty musiała jednak przyznać, że nie żałowała tego. Miała już bowiem dość przenoszenia się z miejsca na miejsce, dość czekania na stare damy i głośnego czytania. A przede wszystkim miała już dość protekcjonalności

Doszła do wniosku, że najgorsi pod tym względem są krewni, oczywiście z wyjątkiem Elaine. Betty nie pamiętała, żeby jej siostra kiedykolwiek była równie miła i wdzięczna. Prawdę powiedziawszy, to nigdy nie istniała między nimi nić sympatii, lecz teraz wszystko uległo zmianie.

Wkrótce zrozumiała, dlaczego siostra tak diametralnie zmieniała swój stosunek do niej. Elaine czuła się wśród tych ludzi samotna i zagubiona. Jak sama powiedziała, nie mówili jej językiem, ona zaś nie

była w stanie zrozumieć ich języka.

Szczególnie bolała nad tym, że znajomi Joego nie pochodzili ze sfery, w której ona się wychowała.

Betty wiele razy zastanawiała się, czy siostra kocha swego męża. Nie mogła go kochać, kiedy wychodziła za niego. Nie należała do osób, które zakochują się od pierwszego wejrzenia. W dodatku była jeszcze ta historia z Lionelem Harrisem. Lepiej jednak, że wyszła za Joego niż za Lionela Harrisa - czy majora Lionela Harrisa, jak kazał się tytułować.

Betty zawsze wcześniej wstawała. Kiedy tego sobotniego ranka schodziła na dół, zegar wskazywał wpół do ósmej. Słoneczne promienie przenikały przez okna witrażowe, rzucając na schody szerokie smugi. Postanowiła jeszcze przed śniadaniem przejść się po ogrodzie i właśnie zmierzała ku frontowym drzwiom, kiedy z jadalni wyszła Ella, niosąc w ręku miedziane wiadro na węgiel. Zatrzymała się na widok Betty.

- Och, to panienka. Wcześniej panienka dziś wstała.
- Zawsze tak wstaję, Jane.
- Rozpaliłam już w jadalni. Jeśli panienka chce, zaraz przyniosę śniadanie.

- Nie, nie, dziękuję. Zjem o zwykłej porze. Mam ochotę przejść się po ogrodzie.

- Jak panienka sobie życzy. Poranek jest piękny, choć chłodny.
- Rzeczywiście piękny. Piękną mamy jesień. Nie można jednak oczekiwać, by taka pogoda się utrzymała.

- To prawda. A kiedy zaczną wiać wiatry i spadnie śnieg, to na śmierć można zamarznąć.

- Z pewnością. No, pójdę już. - Uśmiechnęła się do Elli i otworzyła drzwi.

Służąca podeszła do jednego z okien w hallu i patrzyła, jak Betty idzie w stronę tarasu, zaraz jednak odwróciła się i ruszyła w stronę kuchni.

- Ta panna wyszła na spacer po ogrodzie. Jaka ona miła, prawda?

- Tak. - Kiwnęła głową Mary. - Nie grzeszy urodą, ale poczciwa z niej dziewczyna.

- Wolę ją od kogoś, kogo nie wymienię.

- No, dość już tego. Wypij herbatę i zabieraj się do roboty. Ale, ale, co powiedziałaś? Poszła na spacer do ogrodu?

Spojrzały na siebie, myśląc o tym samym.

Betty dotarła do jeziora. Zamiast jednak spojrzeć na wodę, uniosła twarz ku niebu i wciągnęła głęboko powietrze w płuca. Poczowała się jak po dobrym winie. Było jej cudownie lekko. To dziwne, pomyślała, ruszając dalej. Nie lubiła ogrodu kuzynki Kathryn, a ten od razu pokochała. Kathryn harowała u siebie jak wół, cały dzień kopiąc i pieląc. Tu wszystko było schludne i zadbane. Można było spacerować i znajdować w tym przyjemność.

Przeszła przez bramę w kształcie łuku w ligustrowym żywopłocie i skręciła w lewo. Nie знаła jeszcze tej ścieżki prowadzącej od warzywnika i szklarni ku wąskiemu pasowi drzew.

Tuż za nim przebiegała granica posiadłości. Płot był niski, o

wysokości zaledwie trzech, i pół stopy, zrobiony z połączonych drutem palików. Ścieżka urywała się przy płocie, a na prawo od niej rosła kępa krzewów głogu i jeżyn, które miejscami wybijały ponad płot.

Właśnie miała zawrócić, kiedy dostrzegła wystający z zarośli tobolek. Nie wyglądał, jakby leżał tu od dawna. Podeszła bliżej, rozsunęła gałęzie i jej oczom ukazał się do połowy wypełniony worek, zakrecony na końcu dla przykrycia zawartości. Pochyliła się i zajrzała do środka. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła zawinięty w papier chleb, brązową torbę, marchew, cebule i ziemniaki. Wyprostowała się, popatrzyła na boki, po czym zajrzała do brązowej torby. Zawierała paszteciki z kiełbaskami, ciasto z rodzynkami i zawinięty w pergaminowy papier wieprzowy kotlet.

Odłożyła torbę na miejsce, doprowadziła worek do poprzedniego stanu i wróciła na ścieżkę.

- No, no.

Weszła między drzewa i oparła się o pień. Teren opadał tu łagodnie w dół, a w oddali majaczyło ciemne skupisko domów we wsi, z górującą nad nimi wieżą szybową, a jeszcze dalej miejskie zabudowania. Zastanawiała się, co ma teraz zrobić. Ktoś z domowników najwyraźniej pomagał rodzinom we wsi. Z tego, co wiedziała, ta pomoc bardzo im była potrzebna. Ale czy to uczciwe? Przecież marnotrawiono tu pieniądze Joego lub jego ojca. Nie, to nie jest właściwe słowo, a „kradzież” również nie pasuje.

Rozmyślenia przerwał jej szelest kroków po suchych liściach. Przywarła do pnia. Tuż obok niej przeszły dwie osoby. Rozpoznała w

nich mieszańca szofera i jego żonę. Każde niosło worek. Zauważyła, że postawili je nie w zaroślach, lecz na widoku, tuż przy płocie.

Zobaczyła, że kobieta wskazuje ręką na wspinające się po wzgórzu postacie.

Co robić? - zastanawiała się w panice. Jeśli się ruszy, David i jego żona usłyszą ją, bo pod stopami miała dywan z suchych liści. Kiedy pozostanie na swoim miejscu, dostrzegą ją zbliżający się mężczyźni.

Niestety już ją spostrzegli, kaszlnęła więc ostrzegawczo. Dla Davida i Hazel musiało to zabrzmieć jak wystrzał z karabinu. Odwrócili się gwałtownie i przez kilka sekund cała trójka mierzyła się wzrokiem. Tymczasem mężczyźni doszli do płotu i znieruchomieli.

Zmusiła się, by zrobić krok w przód.

- Wszystko w porządku, róbcie swoje - wydusiła z trudem. Zabrzmiało to jak wojskowa komenda. „W porządku, kapralu, róbcie swoje”.

David odetchnął głęboko i podjął natychmiastową decyzję. Odwrócił się, chwycił worki i podał je czekającym mężczyznom.

Wtedy wystąpił starszy z nich, o pociągłej twarzy, w czarnej czapce na głowie, skinął jej głową i mruknął:

- Bóg zapłać, panienko.

Patrzyła, jak pospiesznie schodzą ze wzgórza. Wkrótce znikli w kępie krzewów, by ponownie się ukazać. Tym razem pchali przed sobą taczki. Zrozumiała, że ukryli w nich worki.

Nie zauważyła, że David i Hazel podeszli do niej, i dopiero na

dźwięk głosu Davida odwróciła głowę.

- On wie, panienko. Pan Joe... wie o tym.
- W takim razie wszystko w porządku. - Uśmiechnęła się.
- Ale... ale pani nie.

Nie zdziwiło jej to. Nie spodziewała się, że Elaine będzie pełnić rolę matki miłosierdzia, bo dla niej byli to ludzie trędowaci.

Zauważyła, że siostra ich nie lubi, nie tylko ze względu na pochodzenie, ale głównie z powodu sympatii, jaką okazywał im Joe. Szczególnie zaś nie cierpiała tego ciemnego mężczyzny i jego żony.

- Nie martwcie się, nic jej nie powiem. Skoro jej mąż o tym wie, to... to róbcie, co wam polecił.

Spostrzegła, że uśmiechnęli się do siebie ciepło. Obudziło to w niej uczucie, którego zawsze się obawiała, a które otwierało drzwi do zamkniętego pokoju w jej świadomości, przeraźliwie pustego i tchnącego samotnością.

- Oni przeżywają teraz ciężkie chwile - powiedział David. - Chodzi przede wszystkim o dzieci. A weekendy zwykle są najgorsze. Nie mogą się doczekać niedzielnego posiłku, więc robimy to w każdą sobotę. Mary... to znaczy pani Duffy, zbiera resztki z domu, a pan Joe pozwolił mi brać owoce i warzywa z ogrodu. Mimo to i tak musiałem obciąć im racje, bo nie sądziliśmy, że strajk tak długo potrwa.

- Jak myślisz, ile jeszcze?

- Och, tego nikt nie wie, panienko. Jeśli teraz się poddadzą, przegrają. To taka wojna. Jedno jest pewne: nie zrezygnują ze względu na siebie ani też ze względu na żony. To dzieciaki zmuszą ich do

przerwania strajku.

- Ale chyba nie pozostawiono ich samym sobie? Są chyba instytucje, które im pomagają? - Nie powiedziała „bezpłatne jadłodajnie”, bo zabrzmiałoby to jak protekcyjnalna dobroczynność.

- A tak - odparł z westchnieniem David. - Robią, co mogą, lecz to nie wystarczy, by zaspokoić wszelkie potrzeby. Tu nie chodzi tylko o jedzenie, panienko, ale o dumę. Jeśli człowiek musi żebrać o jedzenie lub stać po nie w długiej kolejce, to czuje się niegodnie. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać. Wszyscy jesteśmy ludźmi, bez względu na rodzaj pracy i... i kolor skóry.

Był wyższy od żony, teraz jednak wydawał się rosnąć, a ona wzięła go za rękę i odezwała się po raz pierwszy.

- Davidzie, panienka pewnie nie chce tego słuchać.

- Ależ chcę. Zgadzam się z twoim mężem.

Betty uśmiechnęła się do Hazel, a Hazel do niej; to, co dziewczyna teraz powiedziała Betty, zdziwiło tę ostatnią i zawstydziło. Hazel powtórzyła bowiem to, co powiedział wczoraj Mike.

- Cieszę się, że panienka przyjechała, i mam nadzieję, że zostanie panienka na dłużej.

- Dziękuję. Ja... cieszę się, że tu jestem.

Uśmiechnęła się do nich i ruszyła w kierunku domu. David i Hazel poszli za nią. Przy szklarni, gdzie ścieżka się rozdzielała, skręcili w bok.

- Wielkie nieba! - zawołała Betty ze zdziwieniem. - To przecież brama. Nie wiedziałam, że ta ścieżka do niej prowadzi. I widać stąd

wasz dom.

- Może weszłaby panienka na chwilę i wypła filiżankę herbaty?

Popatrzyła na nich, po czym uśmiechnęła się szeroko.

- Bardzo chętnie, dziękuję. - Zmarszczyła brwi i dodała konspiracyjnym szeptem: - Pewnie nie macie już pasztecików?

David i Hazel spojrzeli na siebie i po chwili wszyscy troje wybuchnęli głośnym śmiechem, który rozbrzmiał w mroźnym powietrzu.

Kiedy echo ich śmiechu dotarło do domu, Ella uniosła głowę znad wiadra z popiołem i pomyślała: Ciekawe, z czego się śmieją.

Śmiech wpadł również przez otwarte okno do pokoju Mike'a, który siedział na łóżku wsparty na poduszkach i czekał niecierpliwie na śniadanie. Popatrzył na okno i pomyślał: Śmiech o tej porze? Z czego można się o tej porze śmiać?

Posłyszał go również Joe, idący przez hall do jadalni. Zatrzymał się, podszedł do frontowych drzwi i otworzył je. Któż to się śmieje o ósmej rano? Dawno już nie słyszał tu śmiechu. Chyba od czasów, kiedy latem kąpali się z Davidem w jeziorze. Zamknął cicho drzwi. Te dni minęły i nigdy nie wróca.

Elaine usłyszała śmiech, gdy nalewała poranną herbatę do filiżanki. Natychmiast przypomniał jej się śmiech, który zawsze działał jej na nerwy. Śmiech Betty. Prostacki śmiech. Niektórzy mówią „gardłowy”. Ale przecież Betty nie mogła być tak rano na dworze. Spojrzała w stronę okna. Nie, nie. Zresztą z czego mogłaby się śmiać w ogrodzie? To pewnie któryś z tych łobuziaków ze wsi, węszących, co

by tu ukraść...

Kiedy Betty wbiegła do jadalni, Joe kończył już śniadanie. Przeprosiła za spóźnienie zarówno jego, jak i Elle, która właśnie wniosła dzbanek z gorącą herbatą.

- Byłam na spacerze w ogrodzie - wyjaśniła.
- Poszłaś na spacer do ogrodu? - zapytał wolno Joe.
- Tak. - Usiadła i uniosła pokrywkę z półmiska z bekonem.
- Nie za wcześnie na spacerowanie po ogrodzie?
- To najlepsza pora.

Wzięła dwa kawałki bekonu, parówkę i grzanekę. Joe wytarł usta w serwetkę.

- W której części ogrodu spacerowałaś? - zapytał ostrożnie. - Chyba nie po całym?

- Doskonały bekon, Jane - powiedziała, patrząc na Elle, która stała przy kredensie jakby wrosła w ziemię. - Na południu nie ma takiego bekonu. Nazywacie go, zdaje się, zielonym bekonem, prawda?... Macie tu dobre pastwiska. - Spuściła wzrok na talerz, po czym spojrzała na Joego.

- Tak, rzeczywiście dobre.
- Dotarłam dziś rano do samego płotu... Te parówki też są świetne. - Ponownie przeniosła wzrok na Elle.
- Czy spotkałaś kogoś po drodze? - padło ostrożne pytanie.
- O tak. - Przysunęła sobie srebrny dzbanek. - Chyba wypiję dziś kawę zamiast herbaty - powiedziała, po czym dodała: - Wpadłam na Davida i Hazel i... - Urwała, odstawiła dzbanek i zmrużyła oczy. -

Zabawne, ale nie dosłyszałam nazwisk tych mężczyzn.

Joe i Ella wymienili szybkie spojrzenia. Po krótkim wahaniu Joe odłożył serwetkę na stół i powiedział:

- Betty.
- Tak, Joe? Chcesz coś powiedzieć?

Oblizwał wargi, ponownie spojrzał na Ellę i dał jej znak, by wyszła z pokoju. Udała, że nie rozumie. Przełknął więc ślinę i milczał, bo nie mógł powiedzieć przy Elli: Na miłość boską, tylko nie mów nic Elaine! Okazało się jednak, że nie musi nic mówić, bo Betty go w tym wyreńczyła.

- Zazwyczaj piję rano herbatę - wyjaśniła. - Ale wypiałam już dziś dwie filiżanki u Davida i Hazel i zjadłam ostatniego... - tu spojrzała wymownie na Ellę - pasztecika.

Joe parsknął stłumionym śmiechem, Betty niepowstrzymanym, Ella zaś histerycznym, który słychać było jeszcze w hallu.

- Co się dziś w tym domu dzieje? - zdziwił się Mike, siedzący na łóżku w swoim pokoju.

Elaine, słysząc ten śmiech, aż sapnęła z oburzenia.

- Znowu ta dziewczyna - mruknęła. - Pewnie Joe albo Betty z nią żartują. To już przechodzi ludzkie pojęcie. Czy to możliwe, żeby Joe rozśmieszył Jane do tego stopnia, by tak się zapomniała? Przecież on doskonale wie, co ona sądzi o spoufalaniu się ze służbą. Nie denerwowałby jej w obecnej sytuacji. Nie, to z pewnością Betty ją sprowokowała. To ona ma zwyczaj spoufalać się ze służbą, a właściwie z każdym stojącym niżej od niej. Zawsze lepiej się czuła w

towarzystwie ludzi nie ze swojej sfery. Musi ją przywołać do porządku. Nie pozwoli, by coś takiego działo się w tym domu...

Nie, nie. Nie może tego zrobić. Betty jest jej potrzebna. I to nie tylko teraz, lecz przez kilka najbliższych miesięcy, aż do rozwiązania. A potem, kiedy urodzi się dziecko, będzie jej jeszcze bardziej potrzebować... Musi więc postępować bardzo rozważnie. W przeciwnym razie Betty gotowa spakować walizki i wyjechać.

Elaine poczuła ukłucie zazdrości. Ach, żeby tak ona mogła spakować walizki i wyjechać... z pieniędzmi, które zapewnią wygodny byt. Powiedzieć „żegnaj!” temu domowi i wszystkim jego mieszkańcom. O tak, temu domowi i wszystkim jego mieszkańcom.

RS

Rozdział 7

Chyba nie zamierzasz przyjąć tego zaproszenia?

- Przeciwnie, zamierzam.

- Po takim liście? - Elaine wskazała na kartkę papieru, którą Betty trzymała w ręku.

- Nie byłaby sobą, gdyby napisała inaczej - powiedziała Betty ze śmiechem. - „Proszę przyjść na herbatę w środę o trzeciej... Tylko pani. Tu jest jak na biegunie północnym; proszę się ciepło ubrać. Pamiętaj mnie pani? Poznałyśmy się w pociągu. Sarah pewnie nie będzie się chciała z panią widzieć, ale proszę się tym nie przejmować. Mary Ambers". Cała ona.

- Co miała na myśli, pisząc: tylko ty? Sądziła, że ja też będę chciała przyjść?

- Nie, oczywiście że nie.

- Więc dlaczego tak napisała?

- Nie wiem, Elaine. - Betty złożyła list i schowała go do kieszeni.

- To ekscentryczna starsza pani - dodała.

- Zaproszono cię z łaski. Powinnaś odmówić. Przecież napisała, że lady Menton nie będzie się chciała z tobą widzieć.

- Nie mam serca odmówić, Elaine. Najwyraźniej czuje się tam bardzo samotna.

- Nonsens. Z pewnością się nudzi i chce cię wykorzystać.

- Bardzo możliwe. - Betty podeszła do drzwi i kładąc rękę na klamce, dodała: - Większość ludzi robi podobnie.

- Betty! Betty! - zawołała za nią Elaine.

Udała, że nie słyszy, i poszła do swego pokoju. Jane rozpałała w nim na kominku, bo dzień był wyjątkowo chłodny. Za dziesięć dni będzie Boże Narodzenie. Nigdy nie czekała na Boże Narodzenie, bo ogarniał ją wtedy smutek. Nie wiedziała dlaczego, lecz już jako dziecko czuła się wówczas smutna. Gwiazdkowe prezenty nie łagodziły tego uczucia. Nie mogła pojąć dlaczego. Było ono w niej głęboko zakorzenione. Teraz martwiły ją jeszcze inne sprawy, o których nie mogła porozmawiać z Elaine. Gorąco współczuła górnikom z miasteczka i tym wszystkim, którzy musieli wrócić do pracy na warunkach gorszych od tych, jakie mieli przed strajkiem. Trzymali się przez siedem długich miesięcy i teraz, jak powiedział wczoraj Joe, byli jak żołnierze, którzy poddali się bezlitosnemu wrogowi i przepełnia ich gorzycz i nienawiść.

Kilka tygodni temu, przejeżdżając przez Fellburn, widziała, jaką ta nienawiść przybiera formę. Miejscowi górnicy starli się z policją, która usiłowała ochronić górników przybyłych z innego miasta z zamiarem podjęcia pracy w tutejszej kopalni. Powietrze wypełniały wściekłe przekleństwa, mieszające się z okrzykami: „Łamistrajki! Świnie! Dranie! Złodzieje! Zabierają chleb naszym dzieciakom!”, i tym podobne obelgi. Widziała również krew płynącą po wykrzywionych gniewem twarzach.

Miesiąc temu wybito wszystkie okna w jednym ze skrzydeł fabryki Joego, a dwóch jego robotników zostało pobitych. Nie-sprawiedliwość zmienia ludzi w bestie. Doskonale ujął to Mike,

mówiąc, że potulne kociaki zmieniły się w tygrysy.

Teraz kiedy było już po wszystkim, wieś i miasto ogarnęła jeszcze większa rozpacz niż w czasie trudnych miesięcy strajkowych. Betty przyrównywała tę sytuację do okupowanego terytorium. To prawda, że wśród górników było wielu nieokrzesanych ludzi, ale jak można zachowywać się w sposób cywilizowany, gdy jest się zmuszonym pracować w takich warunkach, za tak nędzną zapłatę?

Czasami żałowała, że tu przyjechała. Z wyjątkiem okresu wojny większość swego życia spędziła wśród ludzi zamożnych.

Tu czuła się jak służąca, choć była na tym samym poziomie co jej chlebodawczyni. Ten dom zaskoczył ją dziwną atmosferą. Polubiła ją jednak, a także tych, co ją tworzyli. Nie tylko Joego i Mike'a, również Davida i Hazel, którzy prowadzili swoją cichą wojnę z uprzedzeniami rasowymi. I Ellę, zmuszoną do zmiany imienia, by sprawić przyjemność Elaine. Wreszcie Mary i Duffy'ego. Niepokoiło ją, że w ich towarzystwie czuje się o wiele swobodniej niż w towarzystwie własnej siostry.

Elaine zawsze była drażliwa, a małżeństwo tego nie zmieniło. Ostatnio Betty bardzo często łapała się na tym, że stara się grać rolę poczciwiny zamiast wygarnąć Elaine, co naprawdę o niej myśli. Musiała jednak pamiętać, że siostra jest w szóstym miesiącu ciąży i bez przerwy czuje się źle, a w każdym razie tak twierdzi. Usiadła w fotelu, wyciągnęła stopy w stronę ognia i zwymyślała siebie w duchu. Nie może oskarżać Elaine o to, że udaje chorą, bo czasami naprawdę źle wygląda.

Żeby już było po świętach, żeby wreszcie miała coś konkretnego do roboty, prócz uspokajania Elaine, układania kwiatów i dziergania na drutach. Jedynymi jaśniejszymi chwilami były te spędzane na pogawędkach ze starszym panem albo rozmowy z Joem. Bardzo lubiła Joego. Uważała go za wspaniałego mężczyznę. Elaine jednak nie potrafiła go docenić.

Kładąc kres rozmyślaniom, wstała z fotela i poszła na górę do Mike'a. Salonik był pusty, zapukała więc do sypialni. W tym momencie usłyszała, jak woła z obserwatorium.

- Tutaj jestem. Kto tam?
- To ja, Mike.
- Chodź na górę, dziewczyno.

Weszła po stromych schodach. Mike siedział w wysokim fotelu z kocem na kolanach. Obok stał piecyk olejowy.

- Co, na Boga, cię tu przyciągnęło?
- Widok, dziewczyno, jak zawsze widok. W taki jasny dzień jest na co popatrzeć. Sama zobacz. - Wskazał ręką na szerokie okno. - Widać wszystko aż do rzeki, a nawet statki na niej. - Podał jej lornetkę.

- Nadzwyczajny widok - przyznała.
- Tak. Mój staruszek wiedział, co robi, budując to pomieszczenie.
- Rzeczywiście. Ale nie powinieneś wchodzić sam po tych schodach - powiedziała. - To niebezpieczne.
- Nic mi nie będzie. - Machnął ręką lekceważąco.
- Któregoś dnia spadniesz.

- Bardzo możliwe, bardzo możliwe. I będzie to szybki koniec.
- Nie bądź niemądry.
- Nie jestem niemądry. - Spojrzał na nią z powagą. - Chciałbym ci zadać pytanie. Co byś wybrała na moim miejscu, szybki koniec czy przyglądanie się, jak twoje kości się wykrzywiają?

- Nie wiem - odparła, patrząc mu w oczy. - Musiałabym znaleźć się na twoim miejscu. Wiem tylko, że twoje odejście byłoby dla wielu wielką stratą.

- Tak sądzisz? - Zaśmiał się, rozbawiony jej słowami, po czym pokręcił głową i powiedział: - Miła z ciebie dziewczyna. Ale wiesz co? Starczyłoby mi palców jednej ręki, by policzyć przyjaciół, których miałem. Prawdziwych przyjaciół. Nie jestem w tym odosobniony. Pokaż mi człowieka, który twierdzi, że ma więcej niż pięciu przyjaciół, a będzie to największy kłamca na świecie. Mężczyzna może mieć mnóstwo znajomych. Tak często mówi się: „To jest mój przyjaciel”. Ale to nieprawda. Prawdziwi przyjaciele trafiają się równie rzadko jak pierwiastek, którego poszukiwała madame Curie. Czytałem o niej niedawno. To wspaniała kobieta. Prawie oszalała z rozpaczy, kiedy zmarł jej mąż. To też rzadko się zdarza, to coś, co sprawia, że kobieta odchodzi od zmysłów, gdy traci męża.

- Teraz to jesteś cyniczny.
- Wcale nie. Jeśli kobieta jest młoda, łatwo sobie z tym poradzi. Jeśli ma pod pięćdziesiątkę, stroi się i szuka sobie drugiego męża. Jeśli ma powyżej pięćdziesiątki, podejmuje pracę gospodyni domowej i czeka na kandydata.

Wybuchnął tak zaraźliwym śmiechem, że nie mogła mu się oprzeć.

- Jesteś okropny, Mike - powiedziała, wycierając oczy. - Ale działasz jak lekarstwo.

- Jak sól gorzka czy ziele piołunu? Klepnęła go w ramię i usiadła w fotelu.

- Zostałam zaproszona w środę na herbatę - oznajmiła.

- Tak? Do kogo?

- Do Menton Hall.

Odwrócił głowę tak gwałtownie, że aż skrzywił się z bólu.

- Nie żartujesz?

- Nie żartuję, Mike.

- A niech to diabli! Lady Menton cię zaprosiła?

- Nie. To ta pani, o której ci opowiadałam, ta ekscentryczka, lady Mary Ambers.

- Ach ta, którą poznałaś w pociągu?

- Tak. Oto zaproszenie.

Wyciągnęła z kieszeni list i podała mu go.

- Niech to diabli! - wykrzyknął znowu. - Widziałem wiele zaproszeń, ale to przebija wszystkie. Musi z niej być niezły raróg.

- To prawda. Nie mogę się doczekać ponownego z nią spotkania.

- Czy... czy Elaine wie o tym?

- Tak. Powiedziałam jej.

- I jak to przyjęła?

Spojrzał jej w oczy, a ona zawahała się przez chwilę, nim

odpowiedziała.

- Radziła, bym nie przyjmowała zaproszenia.
- No tak. Pewnie byłoby inaczej, gdyby i ją zaproszono. Jedź, dziewczyno, ale wpieryw posłuchaj. Jeżeli rozmowa zejdzie na ten dom i mnie, z pewnością nie będziesz chciała tu wrócić, bo nie cieszę się u nich dobrą opinią, tak jak przede mną mój ojciec. Nie, nie, on nic złego nie zrobił, tylko po prostu miał gorsze nazwisko, rozumiesz? - Pokręcił głową. - Do licha! Nie będę mógł się doczekać, aż wrócisz i opowiesz mi o wszystkim. Ale pamiętaj, nie daj im się zgnębić. Zresztą pewnie nie będą nawet próbowali - dodał po chwili. - Nie należysz do tych, co potrafią się odgryźć.

- Och, jeszcze mnie nie znasz.
- Doprawdy? Chyba znam. Już po kilku dniach wiedziałem o tobie wszystko. Znam się na ludziach, Betty, i... - Tu uśmiechnął się złośliwie i mruknął: - Wiem nawet, co starasz się ukryć.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Masz temperament, ale potrafisz nad nim panować. Są w tobie dwie Betty: jedna pod spodem, a druga na zewnątrz.

Przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu, po czym odwróciła wzrok.

- Jesteś zbyt spostrzegawczy, Mike. To niedobrze.
- Och, dziewczyno... - Prawie uniósł się z fotela i pochwycił jej dłoń. - Nie chciałem cię urazić. Za nic na świecie. Chciałem tylko ci powiedzieć, że wiem, co w sobie kryjesz. Jesteś tak cholernie miła dla wszystkich, że każdy przyjmuje to za rzecz naturalną. Jesteś jak

balsam, który wszystko łagodzi. Jesteś dobrym i serdecznym człowiekiem. Na zewnątrz. A tam w środku ukrywasz prawdziwą kobiecość.

Patrzyli sobie w oczy; on ścisnął ją za rękę, a ona podtrzymała go za ramię. W końcu pociągnęła nosem i zamrugła oczami.

- Już czas, byś zszedł z tych schodów - powiedziała dziarskim tonem.

Po chwili wahania stanął obok niej i zaśmiał się cicho.

- Jestem trochę przygarbiony, ale i tak przewyższam cię wzrostem.

Ponownie spojrzeli sobie w oczy, lecz tym razem Betty nic nie odpowiedziała. Zrozumiała ukryte w jego słowach znaczenie. Pomimo swej choroby nadal był mężczyzną. W nim również tkwiły dwie osobowości.

Przestań się sprzeczać, Betty. Zajedziesz na miejsce z fasonem.

- Ale to niecała mila, Joe. Poza tym nie wiem, jak długo tam zostanę.

- Nawet jeśli zostałabyś do jutra rana, David i tak będzie na ciebie czekać.

- To nedorzecznosc. Drogi są suche, a ja lubię spacerować. Przecież wiesz. A jeśli nie wrócę przed piątą? Jak dostaniesz się do domu?

- Pozwól, że ja się będę o to martwił. Choć raz zrób, co ci się mówi.

- Zabawne.

- Prawda? - Joe spojrzął na nią przez stół i powiedział szybko: -

Jesteś na każde zawołanie. Nie masz ani minuty dla siebie.

- Skąd wiesz? Nie ma cię przez cały dzień.
 - Mam swoich szpiegów.
 - Och, nie wątpię.
 - Ale to sympatyczni szpiegzy.
 - W to też nie wątpię. Uśmiechnęli się do siebie.
 - Cieszę się, że tu jesteś, Betty - powiedział cicho. - Odkąd przyjechałaś, Elaine zmieniła się na lepsze. Ma teraz kogoś, z kim może porozmawiać. Zostaniesz do urodzenia dziecka?
 - Jeśli będzie tego chciała.
 - Na pewno. Wszyscy chcemy, a zwłaszcza ojciec. Odniosłaś tam na górze wielki sukces.
 - Och, daj spokój. - Klepnęła go po rękę dużą, szeroką dłonią. - Czuję się, jakbym dostała awans.
 - Można to i tak nazwać.
 - Nonsens. Jeśli zaś chodzi o samochód...
 - Koniec dyskusji. Będzie czekał na ciebie za pięć trzecia i David zawiezie cię na miejsce.
 - Nie myślałeś, żeby mu kupić uniform?
 - Dobry pomysł. Nie wpadłem na to. - Spojrzał na zegarek. porównał godzinę z tą na marmurowym zegarze stojącym na kominku i oznajmił: - Czas na mnie. Do widzenia, Betty.
 - Do widzenia, Joe. I dziękuję za samochód.
- Odwrócił się jeszcze, uśmiechnął, po czym uniósł dumnie głowę i powiedział:

- Pokażemy im.

Wstała od stołu i podeszła do okna wychodzącego na podjazd. Po pięciu minutach zobaczyła, jak Joe schodzi po schodach. Zatrzymał się na chwilę, spojrział w niebo, naciągnął na czoło filcowy kapelusz, podniósł kołnierz palta i wsiadł do samochodu. Patrzyła za nim, póki nie zniknął jej z oczu. Wtedy odwróciła się i zagryzła wargę.

Punktualnie o trzeciej David zatrzymał Rollsa przy szerokich stopniach z kamienną balustradą, prowadzących do eleganckich frontowych drzwi. Pomógł Betty wysiąść, wszedł po schodach na szeroki ganek, pociągnął za żelazną rączkę przy drzwiach i zaczekał, aż się otworzą. Wtedy skłonił się lekko i wrócił do samochodu.

Lokaj nie miał na sobie liberii, lecz czarny garnitur, spod którego widać było kołnierzyk i krawat. Na widok Betty zapytał wyniośle:

- Panna Hughes-Burton?

- Tak.

- Proszę za mną.

- Dziękuję. - To jedno jej słowo sprawiło, że lokaj pochylił głowę.

Ruszyła za nim przez mały korytarz wyłożony kafelkami, które przywodziły na myśl sklep rzeźnicki. Weszli do głównego hallu, wyłożonego od podłogi aż po sufit ciemnym drewnem. Przygnębiające wrażenie potęgowały jeszcze zwierzęce głowy, w większości z rogami, szczelnie wypełniające ściany, z wyjątkiem okien, drzwi i schodów. Podłogę przykrywały perskie dywany, miejscami tak wytarte, że prześwitywała przez nie klepka.

Następnie znaleźli się w małym korytarzu, na którego końcu lokaj przystanął, zapukał dwa razy do drzwi i zaanonsował:

- Panna Hughes-Burton.

- Ach, jesteście wreszcie. Czy wiesz, że twoja odpowiedź przyszła dopiero dziś o jedenastej? Podejź bliżej i usiądź. Wyglądasz na zmarzniętą. Ta część Anglii jest najgorsza. Zdejmij palto, w przeciwnym razie nie będzie z niego żadnego pożytku, kiedy wyjdiesz na zewnątrz... Przynieś herbatę, Rogers, i nie żałuj ciastek.

Betty przeszła przez długi salon i usiadła na wskazanym miejscu, dyskretnie się rozglądając. Pokój trochę przypominał hall, z tą tylko różnicą, że był od niego jaśniejszy. Tu również mnóstwo miejsca zajmowały trofea myśliwskie, przedmioty z chińskiej porcelany i meble. W chińskich szafkach stały rzędami srebrne filiżanki, a na małych stolikach przedmioty z kości słoniowej i chińskie figurki. Jedynym rodzimym akcentem była olbrzymia kanapa z Chesterfield, niegdyś piękna, wyściełana zielonym aksamitem i ozdobiona złotymi frędzlami. Nadal jednak robiła wrażenie niezwykle wygodnej.

- Jak się pani miewa? - Betty zapytała gospodyni.

- Jestem znudzona... śmiertelnie znudzona - powiedziała starsza pani, otulając się dużym wełnianym szalem. - Już dawno bym wyjechała, ale James jest umierający i Sarah chce, abym została do końca. Nie mam pojęcia dlaczego. Walczymy ze sobą jak pies z kotem. Ona jest nudna. Kompletne pustogłowie. - Stuknęła się w czoło, a Betty nie pozostało nic innego jak milczeć i śmiać się w duchu, dziwiąc się jednocześnie, jak można być tak bezceremonialną i niepomną czasów,

w których przyszło lady Ambers żyć. Świadczyła o tym suknia, jeszcze bardziej staroświecka od tej, w której podróżowała. Miała ona bowiem mnóstwo zachodzących na siebie falban. Betty nie widziała góry, bo przykrywał ją szal, za to mankiety miały długość co najmniej sześciu cali i zapinały się na wiele perłowych guziczków.

- Jak tam sobie radzisz? - Starsza pani machnęła potarganą siwą głową w stronę drzwi do salonu.

- Och, wspaniale.

- Twoja siostra dobrze cię traktuje?

- O tak, bardzo dobrze.

- Zabawna rodzina. Tak twierdzi Sarah.

- W jakim sensie? - zapytała oschle Betty.

- Och, słyszało się to i owo, najczęściej plotki. Jego ojciec to prosty człowiek, prawda?

- To człowiek o niezwykłej inteligencji.

- Inteligentny? Doprawdy? No, no! Nieczęsto można spotkać inteligentnych prostych mężczyzn. Wolę prostych mężczyzn. Są ciekawszy od uprzejmych i dobrze wychowanych. Ci ostatni nie mają charakteru. Dwóch moich mężów było prostymi ludźmi, dwóch pierwszych. No, nareszcie - oznajmiła na widok wjeżdżającego do pokoju wózka.

Kiedy służący podprowadził go do kanapy, wzięła jedną z przygotowanych kanapek i zajrzała do środka.

- Ogórek. Dostaję od niego niestrawności. Nie mogliście przygotować czegoś innego? - Obrzuciła lokaja surowym wzrokiem.

- Pod spodem są z jajkiem i pomidorem, jaśnie pani -wyjaśnił potulnie.

- W takim razie w porządku. Możesz odejść. Panna Burton naleje herbatę. Jesteś przyzwyczajona do nalewania herbaty, prawda?

- Tak - przyznała Betty z bladym uśmiechem.

- A więc zajmij się tym. W ustach mi wyszło. Na lunch była pieczona szynka. Strasznie słona.

Betty wzięła ciężki srebrny dzbanek i nalała herbaty do filiżanek z cienkiej porcelany.

- Dziękuję, moja droga. Jak to miło wypić herbatę w czyimś towarzystwie. Brakuje mi kogoś do rozmowy. Weź kanapkę. Pod spodem są z jajkiem. Słyszałaś, co powiedział.

- Wezmę tę z ogórkiem.

- Proszę bardzo. To twój żołądek.

Betty zdążyła wypić łyk herbaty, kiedy gospodyni zawołała nagle:

- To musi być okropne powtarzać ciągle: „Tak, proszę pani” i „Nie, proszę pani”. Nie chodzi mi o lokajów i kamerdynerów. Nie, nie. Oni są do tego przyzwyczajeni, tak jak my do przyjmowania ich usług. Ale mam na myśli osoby takie jak ty, inteligentne, subtelne kobiety, które muszą biegać za starymi sukami. A są takie, wiem coś o tym. Pamiętam, że opowiadałaś mi w pociągu o pani Boulton-Westbrook. Jeśli traktowała cię jak swoją siostrę, to szczerze mi ciebie żal. Jej siostra całymi latami się nią opiekowała, a ta traktowała ją jak popychadło. Kiedy się rozchorowała, wysłano ją do domu, nie takiego

dla znerwicowanych dam, lecz prowadzonego przez radę miejską. Wiesz, o czym mówię... hmm, pewnie nie wiesz, ale zapewniam cię, że to straszne miejsce. Kiedyś sama otwierałam taki dom. Powiedziałam wówczas burmistrzowi, że wolałabym go zamknąć. Okropne miejsce; ściany pomalowane na zielono i drewniane krzesła. Nigdy nikomu bym tego nie życzyła. Nie miałam dotąd towarzyski, zresztą nie spotkałam nikogo, z kim chciałabym zamieszkać, w każdym razie żadnej kobiety. Myślę jednak, że najwyższy czas, bym sobie kogoś znalazła. Od czasu naszego spotkania w pociągu wiele o tym myślałam. Bardzo cię lubię, wiesz? - Pochyliła się i dotknęła ramienia Betty małym srebrnym nożykiem. - Masz miłą twarz, życzliwe usposobienie, lecz nie pozwoliłabyś sobie wejść na głowę, prawda?

Uśmiechnęła się, a Betty odstawiła swoją filiżankę na barek i kiwnęła głową w milczeniu. Z trudem powstrzymywała się, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem. A jednak się roześmiała, bo starsza pani powiedziała:

- Masz ochotę się roześmiać? Proszę bardzo. Przyjemnie jest słuchać, jak ktoś się śmieje. Kiedyś potrafiłam rozśmieszać ludzi. Często zapraszano mnie na przyjęcia. Byłam duszą towarzystwa, ale...

Urwała, odłożyła do połowy zjedzoną kanapkę na talerzyk, odchyliła głowę na oparcie kanapy, otworzyła szeroko usta, wypchnęła językiem sztuczną szczękę i wyjęła spod niej coś, co mogło być kawałkiem chleba czy jajka, po czym wytarła palec w chusteczkę i wróciła do przerwanej wataki.

- Ale teraz nie ma już z czego się śmiać, zwłaszcza w tym domu.

Sarah i James zestarzelili się przed czasem. On nie ma jeszcze osiemdziesięciu lat, a zmienił się w dziecienniałego starca. Sarah ma dopiero siedemdziesiąt pięć, a zachowuje się, jakby dochodziła setki. Dlatego właśnie - tu utkwiała wzrok w Betty - chciałabym, byś została moją damą do towarzystwa.

Betty patrzyła w milczeniu na tę kobietę, która wszędzie była, wszystko widziała - w każdym razie tak twierdziła - a teraz czuła się stara, zmęczona i samotna.

- Byłabym dobra dla ciebie. Nie zajmowałabyś się domem. Masz jakieś własne pieniądze? To znaczy jakiś dochód?

- Nie.

- Żadnego?

- Żadnego. Tylko to, co zarobię.

- W takim razie zabezpieczyłabym cię. Tak, tak. Zrobiłabym zapis. Co ty na to?

Cóż mogła powiedzieć? Jeszcze przed chwilą miała ochotę wybuchnąć niepowstrzymanym śmiechem, teraz jednak była na granicy łez. Z trudem przełknęła ślinę.

- Jestem niezwykle wdzięczna za pani propozycję, lady Ambers - powiedziała stłumionym głosem. - W innych okolicznościach z ochotą bym ją przyjęła, ale widzi pani, moja siostra spodziewa się dziecka. Obiecałam jej, że zostanę do rozwiązania i później też przez jakiś czas.

- Jakiś czas? To znaczy ile?

- Jeszcze nie wiem, ale... ale gdyby pani propozycja była nadal aktualna, to z radością do niej wrócę.

- Naprawdę?
- Tak. I jeszcze raz dziękuję.
- Miła z ciebie dziewczyna.

Betty spuściła głowę, zamrugła powiekami i uśmiechnęła się.

- Staram się, jak mogę.

Starsza pani wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Weź ciasteczko.
- Dziękuję.
- Wiesz co?

Betty czekała na dalszy ciąg.

- Kiedy jechałam z tobą tym pociągiem, pomyślałam, że moje podróże się skończyły, a mam dopiero sześćdziesiąt siedem lat. - Umilkła, jakby czekając na reakcję Betty odnośnie do swojego wieku. Lecz Betty nawet okiem nie mrugnęła. - Myślałam, że będę zmuszona spędzić resztę moich dni, patrząc, jak James się ślini i słuchając jęków Sarah. Już po trzech tygodniach pobytu w tym domu miałam dość. Czy widziałaś coś równie nudnego jak ten dom? Wtedy James się rozchorował, a ja pewnie będę zmuszona tkwić tu aż do jego śmierci, a potem wrócę do hotelu. Mieszkam w hotelach, bo nie mam domu, ale... - Przesunęła się na brzeg kanapy i dotknęła kościstymi palcami kolana Betty. - Jeśli zamieszkasz ze mną, kupię dom. Będziemy miały dom, ty i ja. Mam mnóstwo pieniędzy, z którymi nie wiem, co robić. Teraz jednak będę wiedziała.

Z tym już Betty nie potrafiła sobie poradzić, w każdym razie nie za pomocą słów. Patrzyła, jak starsza pani odchyła się na oparcie

kanapy i spogląda w górę zamyślona.

- Życie jest dziwne, prawda? George powiedział mi kiedyś: „Znajdziesz sobie kogoś, Mary, kto cię pokocha i zaopiekuje się tobą. Nie umrzesz samotnie”. Kto by pomyślał, że spotkam tego kogoś w pociągu, w drodze z Londynu do Newcastle. Czy wierzysz w przeznaczenie?

- Tak, do pewnego stopnia. - W głosie Betty dało się słyszeć lekkie drzenie. - Ja... ja sądzę, że nasze życie zostało od początku zaplanowane. Nie rozumiem jednak, dlaczego drogi niektórych są takie wyboiste.

Patrzyły sobie przez chwilę w oczy, po czym wzrok starszej pani powędrował ku sufitowi. W końcu Betty spojrzała na zegarek i powiedziała cicho:

- Proszę mi wybaczyć, lady Ambers, ale muszę już iść. Szofer na mnie czeka, a musi jeszcze o piątej pojechać po mojego szwagra do fabryki.

- Ach tak. - Lady Ambers wstała wolno z kanapy i wyciągając rękę, powiedziała: - Dałaś mi słowo. Umowa stoi?

- Umowa stoi. Ale... ale proszę pamiętać, że zostanę z moją siostrą tak długo, jak będę jej potrzebna.

- Do chwili urodzenia dziecka?

- Tak.

- W takim razie zapomnijmy o tytułach. Mów mi po imieniu.

Czy myślisz, że będę mogła cię odwiedzić? - zapytała, nie wypuszczając ręki Betty ze swojej.

- Och tak - odparła Betty z uśmiechem. - Będzie pani mile widziana.

- W takim razie przyjadę, kiedy nie będę mogła już tu wytrzymać. Czy mam ci wcześniej dać znać?

- Nie, nie ma takiej potrzeby. Proszę po prostu przyjechać, jeśli będzie pani źle.

- A twoja siostra nie będzie miała nic przeciwko temu?

- Na pewno nie.

- Prawdę powiedziawszy, to nie bardzo przypadła mi do gustu.

Zresztą nie przyjadę do niej, lecz do ciebie. Pociągnij za dzwonek. -

Wskazała na gruby sznur wiszący przy kominku.

- Do widzenia, lady Mary - powiedziała Betty, kiedy spełniła jej polecenie. - Było mi bardzo miło.

- Cieszę się, że tak myślisz, dziecko. Dzięki temu czuję, że zostało mi jeszcze trochę życia. Przyjemnie spędziłyśmy czas, prawda?

- Tak, i dziękuję. Do widzenia.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął lokaj.

- Odprowadź pannę Burton do samochodu, Rogers, i dopilnuj, by dobrze się okryła - poleciła lady Ambers grzmiącym głosem.

- Tak, jaśnie pani.

Idąc za lokajem, Betty spostrzegła zdecydowaną zmianę w zachowaniu służącego.

David nie pozwolił lokajowi okryć kolan Betty kocem i sam to zrobił. Kiedy minęli bramę, zapytał na tyle głośno, by mogła go usłyszeć przez zasuniętą szybę:

- Mam nadzieję, że wizyta się udała? Betty pochyliła się i otworzyła okno.

- Tak, bardzo. Powiedziała, że przyjedzie do nas z rewizytą.

- Nie do wiary!

- To samo sobie pomyślałam. - Cofnęła się na siedzenie i powtórzyła: - Nie do wiary! - Jednocześnie też pomyślała: Biedna kobieta. Biedna samotna kobieta.

Czy przystałaby na jej propozycję? Z wielką chęcią. Lady Mary obiecała, że ją zabezpieczy. Czy ktokolwiek obiecał jej coś takiego? Nikt. Ostatnią pensję otrzymała od pani Boulton-Westbrook, a od zakończenia wojny, to znaczy od ośmiu lat, opiekowała się jedynie kuzynami i ciotkami. Tak, z radością zostałaby opiekunką lady Ambers... Mary. Nie, lady Mary. Tak będzie lepiej.

Zapis? Nie bądź śmieszna. Po prostu chce cię zwabić. To wszystko kutwy, ci Mentonowie, Ambersowie i cała reszta. Znani są ze skąpstwa. A ty jej uwierzyłaś?

- Tak, uwierzyłam. Zresztą nie rozumiem, czemu się tak gorączkujesz? Przecież nie wybieram się tam jutro. Mówiłam już, że zostanę tak długo, jak będziesz chciała.

- A ją będziesz trzymać w rezerwie?

- Coś chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Betty z oburzeniem w głosie.

- To, co słyszysz. Jeśli się pokłócimy albo powiem coś nie tak, wówczas oznajmisz, że odchodzisz do tego starego babska.

- Ona nie jest starym babskiem.

- A kim niby? Jest ekscentrycznym starym worem ze szmatami.
- Ona jest damą... prawdziwą damą. Jest bezpośrednia i uczciwa.
- Skąd to możesz wiedzieć? Nie bądź naiwna, Betty. Spotkałaś ją w pociągu, zaprosiła cię raz na herbatę, i już stała się uosobieniem cnót.

Betty spojrzała na nią z wyrzutem.

- No proszę, powiedz, że masz mnie dość! - krzyknęła Elaine. -
Proszę bardzo, możesz sobie iść.

- I tak zrobię.

Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

- Betty, przepraszam! - zawołała za nią Elaine. - Nie zwracaj na to uwagi. Ja... ja po prostu się boję, że mnie zostawisz.

- I tak się stanie.

- Nie złość się na mnie.

- Nie złoścę się - powiedziała łagodniejszym tonem. - Zejdź na dół. Lada chwila wróci Joe. I przestań się martwić. Nic się nie zmieni. Aha, zapomniałam ci powiedzieć, że ona ma zamiar złożyć nam wizytę.

Elaine otworzyła usta ze zdziwienia. Betty wyszła z pokoju i idąc do siebie, pomyślała, że powinna być zadowolona, skoro tak jej tu potrzebują. Lecz cóż z tego, że cały świat cię potrzebuje, skoro ten jeden jedyny nie zwraca na ciebie uwagi?

Och, po co tu przyjeżdżała? Wiodłaby nieciekawe, pełne trudów życie, ale serce miałyby spokojne.

Rozdział 8

Była dziewiąta wieczór 26 kwietnia 1927 roku, a Elaine wciąż nie mogła urodzić. Pierwsze bóle zaczęły się o piątej po południu poprzedniego dnia; wezwany natychmiast lekarz oznajmił z uśmiechem, że czeka ją jeszcze długa droga i może to potrwać do rana.

Zjawił się ponownie o dziewiątej rano i po zbadaniu rodzącej powiedział, że trzeba jeszcze trochę poczekać. Ale wszystko jest w najlepszym porządku. Przy pierwszym dziecku często tak bywa. Obiecał wpaść w południe.

Joe zatrudnił pielęgniarkę, którą Elaine od pierwszej chwili znienawidziła. Nie dość że zmieniła sypialnię w szpital, to jeszcze wydawała rozkazy i spodziewała się, że będą wykonywane.

- Postaraj się jeszcze trochę - powtarzała co chwilę. - Dziecku trzeba pomóc. Nie wiedziałaś o tym, co? No dalej, rozluźnij się.

Kiedy do słów dodała praktyczną pomoc, Elaine krzyknęła, zresztą nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich kilku godzin.

- Wyjdź stąd! - wydyszała. - Joe! Ja chcę Betty! Joe! Joe! Joe wpadł do pokoju i spojrzał w stronę łóżka, przy którym stała pielęgniarka, oddychając równie ciężko jak Elaine, lecz wciąż nie tracąc zimnej krwi.

- Wszystko jest w porządku - powiedziała, machnąwszy energicznie ręką. - Tylko żona sprawia trochę kłopotów.

Joe podszedł szybko do łóżka, a Elaine wyciągnęła do niego rękę. Pochwycił jej dłonie, po czym spojrzał pytająco na pielęgniarkę.

- Nie rozumiem.
- Ona... nie chce mnie słuchać. Jest spięta, nie chce się rozluźnić.

W ten sposób przedłuża tylko męczarnię.

- Właśnie, męczę się jak potępieniec. - Wybuchnęła płaczem. -

Och Joe! Joe!

- Uspokój się, kochanie. Wkrótce będzie po wszystkim.
- Odpraw ją, Joe. Odpraw ją. Ja chcę Betty.
- Zaraz przyjdzie. Poszła tylko coś zjeść.
- Betty! Betty! Ja chcę Betty! - jęczała Elaine, rzucając głową na

boki.

- Dobrze, już dobrze. Pójdę po nią. Tymczasem, kochanie, spróbuj... spróbuj robić to, o co prosi pielęgniarka. Spróbuj się rozluźnić, a wtedy wszystko pójdzie dobrze.

- Nic nie pójdzie dobrze. Ja umrę, Joe. Nie zniosę tego, słyszysz? Nie zniosę.

Spojrzała na niego żałośnie, a on otarł jej łzy z policzków i odsunął kosmyk włosów ze spoconego czoła. I zaraz chwycił ją mocno za rękę, bo uniosła kolana i krzyknęła rozdzierająco.

Pielęgniarka natychmiast go odepchnęła. Nie protestował i spieszenie wyszedł z pokoju. Na korytarzu oparł się plecami o ścianę i ukrył twarz w dłoniach. Nigdy więcej. Nigdy więcej nie dopuści, by tak cierpiała. Jeżeli teraz umrze, on nigdy sobie tego nie wybaczy. Ale ona nie może umrzeć. Dziecko też nie. Bardzo pragnął tego dziecka. Wszystko jedno, chłopca albo dziewczynki, lecz nie za taką cenę.

Zbiegł na dół po schodach i wpadł do jadalni. Na jego widok

Betty wstała od stołu i wytarła usta.

- Zaczęło się? - spytała.
- Nie, nie. - Pokręcił przecząco głową. - Chce, żebyś do niej przyszła. Nie może znieść tej pielęgniarki. Ja zresztą też. Ile to jeszcze potrwa, Betty?

- Nie wiem, Joe. Jeśli nic się nie zmieni, doktor zabierze ją do szpitala.

- Co? - Uniósł gwałtownie głowę. - Kiedy to powiedział?
- Tuż przed twoim przyjściem.
- Co on może zrobić jej tam, czego nie może tu?
- Myślę, że bierze pod uwagę cesarskie cięcie.
- Cesarskie cięcie? - powtórzył zaskoczony.
- To zupełnie bezpieczne. Wyjaśnił mi wszystko.
- O mój Boże, Betty.
Uścisnęła mu dłonie, dodając tym gestem otuchy.
- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Lekarz nie wyglądał na zaniepokojonego. Twierdzi, że to często się zdarza.
- Często się zdarza?

Przechylił na bok głowę. W zeszłym tygodniu skończył dwadzieścia siedem lat, lecz teraz wyglądał na czterdzieści. Twarz mu zszarzała, zmarszczki na czole się pogłębiły, a oczy pociemniały i zapadły się. Silna dotąd sylwetka straciła zdrowy wygląd. Te zmiany nie zaszły w nim jednak w ciągu ostatnich dwóch dni. To trwało już od trzech miesięcy, od czasu kiedy sprawy w sypialni przestały się układać.

Prawda, że napady złego humoru Elaine świętego mogły złamać, a Joe nie był przecież świętym. Był uparty i konsekwentny, zwłaszcza jeśli chodziło o zasady, a te zasady wiązały się przede wszystkim ze sprawą Davida i problemami górników, a w szczególności z rodziną Eganów ze względu na ich pokrewieństwo z Hazel. Czasami zastanawiała Betty ta nadmierna troska Joego o dobrobyt Davida i Hazel i patrzyła na tę kwestię oczami Elaine, a nawet podzielała jej opinię.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze - powiedziała, klepiąc go po rękę. - Jutro o tej porze ogłuchniesz od krzyku dziecka.

- Oby tak się stało, Betty - odpowiedział, krzywiąc się nieznacznie. - Zdążyłaś coś zjeść?

- Tak, tak, już skończyłam.

- Nie było cię na górze zaledwie dziesięć minut. Musisz być zmęczona.

- Och, nie martw się o mnie, jestem silna jak tur. A teraz zrób sobie mocnego drinka i idź do ojca. Jest równie zdenerwowany jak ty. Omal nie zszedł dziś rano na dół, ale go powstrzymałam. W przeciwnym razie pewnie sforsowałby drzwi do pokoju Elaine. Wyobrażam sobie, co by na to powiedziała ta sztywna pielęgniarka. Zrób, jak ci radzę, idź do ojca i trzymaj kciuki.

Biegając po schodach na górę, usłyszała krzyk Elaine, a kiedy otworzyła drzwi do sypialni, musiała się powstrzymać, by nie zatkać sobie uszu.

- No już, uspokój się, kochanie.

- Och, Betty, ja chyba umrę.
- Nie pleć głupstw, nie umrzesz.
- Ty nie masz o tym pojęcia - wydyszała Elaine. - Nie wiesz, jak to jest. Nigdy... nigdy więcej, słyszysz?

- Tak, kochanie, tak.
- Każę mu przysiąc, że nigdy więcej. O...och! O wpół do ósmej przyszedł doktor.

- No, jest pewien postęp - oznajmił z zadowoleniem. Odwrócił się do pielęgniarki. - Bardzo dobrze. Nastąpił postęp.

- Jak... jak długo jeszcze? Poklepał Elaine po policzku.
- Wszystko zależy od pani, moja droga. Proszę się starać. Jestem z pani bardzo zadowolony. Dzielna dziewczyna.

- Och, zamknij się pan!

Doktor uniósł nieznacznie brwi i zerknął na pielęgniarkę. Pokręciła lekko głową, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?”

Betty stała przy drzwiach do garderoby i chociaż nie dała żadnego znaku doktorowi, ten podszedł do niej.

- Zaczęło się? - zapytała szeptem.
- Są pewne oznaki - odpowiedział równie cicho.
- Nie będzie musiała iść do szpitala?
- Nie, nie sędzę, by to było konieczne. Gdyby tylko bardziej się postarała, wszystko poszłoby szybciej.

- Ona bardzo cierpi. Uśmiechnął się lekko.
- Tak to już bywa przy porodzie, moja droga.
- Betty! Och! Betty!

Podeszła do łóżka i chwyciła Elaine za rękę.

- Spokojnie, kochanie. Już wkrótce będzie po wszystkim.
- Na... naprawdę?
- Tak. A teraz spróbuj się rozluźnić i kiedy poczujesz ból, złap mnie mocno i będziemy razem przeć.
- Razem... przeć. Ty nie masz pojęcia, jak to jest.
- Trochę mam.
- O...och!
- No... a teraz przyj!

W tym momencie pielęgniarka brutalnie odepchnęła ją na bok. Ku jej, a także własnemu zaskoczeniu Betty spojrzała na nią gniewnie i krzyknęła:

- Zostaw mnie! Zajmij się swoimi sprawami.
- Właśnie to robię - odparła pielęgniarka po chwili ciszy.
- Słabo się starasz, Elaine. O właśnie, tak, mocniej, jeszcze mocniej. Tak, teraz dobrze.

Elaine napięła się z całych sił, po czym opadła na łóżko, omal nie pociągając za sobą Betty. Jej długie paznokcie wpiły się w nadgarstki siostry.

Dopiero dwie minuty przed północą syn Joego wyszedł wreszcie na świat, ogłaszając swoje niezadowolenie głośnym krzykiem. Doktor z podwiniętymi rękawami koszuli, pielęgniarka z włosami w nieładzie i Betty, wyczerpana niemal tak samo jak Elaine, mogli wreszcie odetchnąć z ulgą. Na krzyk dziecka w drzwiach sypialni stanął Joe. Twarz mu promieniała, oczy płonęły radością. Doktor położył dziecko

na ciepłym ręczniku i krzyknął w stronę młodego ojca:

- Za chwilę, za chwilę! Betty wzięła dziecko na rękę.
- To chłopiec, śliczny chłopiec - powiedziała. - Idź... idź powiedzieć ojcu. - Machnęła głową w stronę sufitu.

Joe stał jak wrośnięty w ziemię, spoglądając w stronę łóżka, nad którym pochylali się pielęgniarzka i doktor.

- Idź - powtórzyła Betty. - Z nią wszystko w porządku.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, spojrzała na pomarszczoną twarzyczkę otuloną ręcznikiem. Główkę pokrywały ciemne włoski, oczy błyszczały, a mała szczeka pracowicie się poruszała. Żywa istotka. Taka śliczna...

Poczuła nagły ból w sercu, za którym kryły się nie spełnione nadzieje, tęsknota i... zazdrość.

Rozdział 9

Elaine wolno wracała do zdrowia. Przeleżała w łóżku prawie miesiąc i wbrew opinii lekarzy pamięć o tym, przez co przeszła, wciąż była żywa. Już na drugi dzień oświadczyła, że raczej się zabije, niż po raz drugi czegoś takiego doświadczy.

Joe zapewniał ją, że nie musi się martwić, że to się już nigdy nie powtórzy, lecz kiedy swą groźbę powtarzała co dzień, zaczęła go w końcu ogarniać irytacja. W dodatku dziecko bez przerwy płakało, czego powód upatrywał w sztucznym pokarmie, bo Elaine kategorycznie odmówiła karmienia piersią.

Tydzień po porodzie, ku zadowoleniu wszystkich, odeszła wreszcie pielęgniarka i od tej chwili opieka nad dzieckiem i Elaine spadła na barki Betty.

Zatrudniono nową pokojówkę. Siedemnastoletnią Nellie McIntyre. Miała pomagać Betty.

Pokój gościnny na wprost sypialni Elaine zamieniono w przytulny pokój dla dziecka, który miał jedną wadę: nie był dość daleko, by nie dochodził zeń płacz do pana Martina Remingtona.

Tego jednak ranka dziecko zachowywało się wyjątkowo spokojnie i gaworzyło, leżąc w ramionach matki.

- Czyż nie jest śliczny? - Elaine spojrzała na Betty, a siostra uśmiechnęła się i odpowiedziała:

- Cudowny.

- Gdyby tylko mógł pozostać taki jak teraz.
- Nie wyrósłby wtedy na chłopca.
- Wolałabym dziewczynkę.
- Naprawdę? - zdziwiła się Betty. - Myślałam, że chcesz mieć chłopca.

- Nie, to Joe chciał. Choć szczerze mówiąc, było mi wszystko jedno. Chciałam tylko, żeby to wszystko już się skończyło. Boże! Gdybym wiedziała...

- No, no, o czym wczoraj mówiłyśmy? Miałaś do tego nie wracać.

- Łatwo ci mówić, ty nie musiałaś przez to przechodzić.

- I o tym też mówiłyśmy... Teraz czujesz się już lepiej i za dzień lub dwa zejdziesz na dół. Założę się, że jeszcze przed końcem miesiąca będziesz ciągnęła Joego na tańce. Więc nie mówmy już o tym, przez co przeszłaś.

- Jesteś okrutna.

- Tak, jestem okrutna.

- Och nie. Znowu zaczynasz. - Elaine skrzywiła się, bo dziecko zaczęło się kręcić i rozkrzyczało donośnie.

- Zabierz go, Betty. Bębenki mi w uszach popękają. Betty wzięła małego na ręce i zaczęła kołysać.

- Cicho, cicho, no co ci jest?

Tak długo chodziła z nim po pokoju, aż w końcu się uspokoił.

- No i po co te łzy? - strofowała go cicho. - Po prostu chcesz, by się tobą zajmowano, tak? Śmieję się, śmieję. Wiesz, że mówię prawdę.

- Zanieś go do dzieciennego pokoju, Betty.
- Przecież wiesz, co będzie. Elaine westchnęła w odpowiedzi.
- Zabiorę go na górę - powiedziała Betty.
- Tylko nie bądź tam za długo. I nie pozwól Mike'owi zbliżyć się do niego z tą ohydną fajką. Któregoś dnia ubranka małego śmierdziały dymem.

- Wymyślasz sobie. To od ciebie czuć papierosami.

Betty ruszyła z dzieckiem do drzwi. Przed wyjściem odwróciła głowę i popatrzyła na leżącą w fotelu przy oknie Elaine.

- Może wyszłabyś dziś po południu do ogrodu. Dobrze ci to zrobi. Słońce tak ładnie świeci.

- Dziś po południu? Ledwie poruszam nogami. Jesteś okrutna, Betty. Dopiero przed dwoma dniami wstałam z łóżka.

Betty zamknęła drzwi i weszła po schodach na górę. Kiedy pchnęła drzwi do saloniku Mike'a, okazał się pusty.

- Dzień dobry, Mike! - zawołała. - Gość do ciebie przyszedł. Siedział w swojej pracowni.

- Nie wprowadzę go w te trociny i wióry.

- A któż cię o to prosi? - zapytał, podchodząc do niej wolno.

Pogładził dziecko po rączkach. Kiedy mały złapał go za palec, Mike uśmiechnął się z zadowoleniem i zapytał: - Zawsze to robi. Czy innym też?

- Nie - skłamała. - Mnie nigdy tego nie robi.

- No, no. Z każdym dniem staje się coraz większy, prawda? -

Podszedł wolno do skórzanego fotela stojącego przy oknie, usiadł w

nim i wyciągnął rękę. - Pozwól mi go potrzymać.

Usiadła w fotelu na wprost i słuchała, jak Mike przemawia do dziecka.

- Jak się masz, młody człowieczku? Wyróżniesz na wspaniałego mężczyznę. I wiesz co? Jak tylko zaczniesz chodzić, pójdziemy do tamtego pokoju. - Wskazał głową na warsztat. - Nauczę cię strugać drewno, nim jeszcze zaczniesz mówić. Gdybym miał tu coś do gadania, byłbyś taki jak twój pradziadek, a przynajmniej pod niektórymi względami. - Spojrzał spod oka na Betty, uśmiechnął się i dodał: - Niezły był z niego numer. Kiedy miał tyle lat co ja, trafiał w butelkę, uganiał się za dziewczynami albo uciekał przed moją matką. Gdyby go złapała, byłoby z nim krucho. - Roześmiał się, po czym zapytał: - Widziałaś kiedyś kogoś tak zwariowanego na punkcie dziecka jak nasz Joe?

- O tak.

- Naprawdę?

- Właśnie takiego kogoś mam przed sobą. Nie spuszczał z niej przez chwilę wzroku.

- Chcę ci coś powiedzieć. Kiedy po raz pierwszy go tu przyniosłaś, pomyślałem sobie, że to ty powinnaś być jego matką.

- Och, Mike. - Wstała z fotela i odwróciła się do okna. - Nie powinieneś mówić takich rzeczy.

- Dlaczego?

- Bo to boli.

- Nie chciałem sprawić ci bólu. Powtarzam jedynie, że się

marnujesz, dziewczyno. Powinnaś wyjść za mąż i mieć własne dzieci.

- Trzeba mieć po temu okazję.
- W takim razie mogę ci powiedzieć, że po ziemi chodzi pełno

głupców.

- A jeśli nie chcę wychodzić za mąż?
- Gdybyś powiedziała to kotu, wydrapałby ci oczy. Każda

kobieta chce wyjść za mąż.

- Nie, nie każda. - Spojrzała mu prosto w twarz. - Są dziesiątki, setki kobiet, które nie czują takiej potrzeby, podobnie zresztą jak mężczyźni.

- W takim razie to nie są normalni ludzie.
- Z twojego punktu widzenia może i nie są normalni, nie zmienia

to jednak faktu.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś jedną z takich, co nie chcą mieć męża?

Z trudem przełknęła ślinę.

- Nie - odparła. - Nie jestem jedną z takich.
- Więc chcesz wyjść za mąż?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo właśnie rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołała Betty. Do pokoju weszła Elly.

- Lady Ambers przyszła z wizytą i pyta o panienkę - poinformowała głośnym szeptem. Po... powiedziałam, że jest panienka u siebie, lecz panienki tam nie było. Wtedy pani Remington powiedziała, żebym przyprowadziła ją do niej. Jest tam teraz. Pomyślałam, że

powinna panienka wiedzieć.

- Dziękuję, Jane. Zaraz schodzę.

- Lady Ambers! Patrzcie państwo! Nasze akcje idą w górę. To ta stara dama, która chce cię mieć przy sobie?

- Tak.

- Pewnie przyszła po odpowiedź. Co zamierzasz z tym zrobić?

- A jak myślisz?

Wzięła od niego dziecko i ruszyła spiesznie w stronę drzwi.

- Ani się waż! Słyszysz? - zawołał jeszcze za nią. Zeszła prędko po schodach i skierowała się do sypialni.

Przy drzwiach zawahała się na moment, po czym weszła do środka.

Lady Ambers siedziała naprzeciwko Elaine.

- Och, jesteś! - zawołała na widok Betty. - I z dzieckiem na ręku. Do twarzy ci z nim. Czemu mnie nie odwiedziłaś? Pisałam do ciebie. Nie dostałaś mojego listu?

- Dostałam i odpisałam.

- Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Widocznie go nie wysłano. Nikomu nie można dziś ufać. Niech no przyjrę się dziecku.

Wyciągnęła w przód otuloną kołnierzem z norek pomarszczoną szyję.

- Myślę, że to matka powinna go pokazać - powiedziała Betty, kładąc małego na kolanach Elaine.

Ten pełen taktu gest nie zmienił wyrazu twarzy młodej matki. Elaine miała minę obrażonej królowej i nietrudno było się domyślić

dlaczego. Lady Mary każdego potrafiła wyprowadzić z równowagi.

- Wygląda zdrowo. Do kogo jest podobny? - Popatrzyła na Elaine i oznajmiła bez ogródek: - Do ciebie nie. Raczej do ojca. Tak, pamiętam go ze stacji. Bardzo męski osobnik. Tak, bardzo męski. Tacy są najatrakcyjniejsi. Ludziom zbyt przystojnym lub zbyt pięknym czegoś jednak brakuje. Ja lubię prawdziwe indywidualności, takie jak twoja siostra.

Machnęła głową w stronę Betty, która zacisnęła wargi i spuściła głowę. Starsza dama dokończyła myśl:

- Jeśli trzeba żyć z kimś przez długie lata, ładny wygląd może stać się irytujący. Zaczyna niepokoić i przypominać o upływie czasu. Natomiast nie osobowość. Ona czyni życie bogatszym. I wiesz co? - Tu wycelowała palec w pierś Elaine. - To największa zaleta. Trzeba być w życiu artystą. - Z tymi słowami odwróciła się w stronę Betty i zapytała: - Kiedy będziesz gotowa do wyjazdu?

- Lady Mary...

- Nie chcę o niczym słyszeć. Powiedziałaś, że przyjdiesz do mnie, jak tylko urodzi się dziecko.

- Niezupełnie. Powiedziałam, że zostanę tu tak długo, jak będę potrzebna.

- Ona przecież czuje się już dobrze. - Lady Ambers wskazała palcem na Elaine. - Jest wystarczająco dorosła, by zająć się sobą i dzieckiem. Ma też służbę do pomocy. Widziałam mężczyznę i dwie pokojówki, a także tego czarnego szofera. Macie tu tyle samo służby co Sarah.

- Ona nie wyjedzie.

Starsza pani ponownie spojrzała na Elaine.

- Już to mówiłaś. A ja zapytałam, czy ty rządysz jej życiem. Jest niezależna, może iść, dokąd chce. Z tego, co wiem, pójdzie tam, gdzie jest najbardziej potrzebna, a moje potrzeby są większe od twoich. - Tu odwróciła się do Betty. - No i jak będzie?

Betty podeszła do niej wolno.

- Proszę wybaczyć - powiedziała cicho - ale... ale nie mogę jej teraz zostawić.

Popatrzyły sobie w oczy. W spojrzeniu Betty był smutek, a w oczach starszej pani mignęło wzruszenie, lecz jej głos brzmiał jak zawsze stanowczo.

- A więc zostaniesz tu do końca życia?

- Och nie. Mogę odejść...

- Zostanie tu tak długo, jak zechce. Jest moją siostrą i to jest jej dom - oświadczyła Elaine sztywno.

Starsza pani z pomocą Betty wstała z krzesła, zapięła futrzany kołnierz, wygładziła brązowe jedwabne rękawiczki, wstrząsnęła się lekko, niczym kura po kąpieli w piasku, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła z sypialni.

Betty bez słowa podążyła za lady Ambers i kiedy znalazły się na korytarzu, przytrzymała ją za ramię.

- Nie tędy. Schody są z drugiej strony.

Lady Ambers odezwała się dopiero, kiedy zeszły do hallu.

- Twoja siostra to nieprzyjemna osoba. Od początku mi się nie

podobała. Jest samolubną istotą. Widać to po jej drobnej złej twarzy. Znam ten typ ludzi. Poznałam ich dziesiątki. Jesteś głupia, wiesz? A nawet podwójnie głupia, bo dajesz się wykorzystywać. Przyjdzie jednak czas, że wspomnisz moje słowa, młoda damo, i zapragniesz odejść z tego domu i dusznej atmosfery tego pokoju. Ona udaje kogoś innego, ale ją przejrzałam. Czy wiesz, co mi powiedziała? Że to ty bardziej jej potrzebujesz niż ona ciebie. Zanim weszłaś, śpiewała zupełnie inaczej. Wynikało z tego, że robi ci wielką łaskę, a ja odpowiedziałam, że z tego, co wiem, nie należysz do osób, które chętnie przyjmują jakąkolwiek łaskę. Gdybyś była mądra, wyjechałybyśmy stąd jeszcze przed zachodem słońca... Ja wyjeżdżam jutro. James najwyraźniej nie ma zamiaru umierać, a Sarah działa mi na nerwy. Są tacy staroświeccy. No cóż, panienko, będziemy w kontakcie, bo... - Zniżyła głos niemal do szeptu i spojrzała Betty prosto w oczy. - Nie wiem dlaczego, ale jestem przekonana, że ty i ja będziemy jeszcze razem. Coś takiego odczułam tylko raz w życiu i sprawdziło się. - Spuściła głowę, zrobiła dwa kroki w stronę drzwi, po czym przystanęła, spojrzała na Betty i powiedziała cichym, oficjalnym tonem: - Do widzenia, panno Burton.

- Do widzenia, lady Mary - odparła Betty. Odprowadziła ją do drzwi, które otworzył przed nimi Duffy, i na ganek, przed którym stał powóz ze służącym Hammondem. Kiedy powóz zniknął za zakrętem, Betty wróciła do domu. W hallu, jak spod ziemi, wyrosła przed nią Ella.

- Przygotowałam panience tacę z kanapkami w jadalni -

powiedziała.

- Dziękuję, Jane.

Betty weszła do jadalni, usiadła przy stole, wzięła machinalnie kanapkę z talerza i włożyła do ust. Jednak po pierwszym kęsie odłożyła ją pospiesznie. Nie lubiła jeść rano kanapek. To miło ze strony Jane, ale mówiła przecież, że nie przepada za kanapkami.

Poczuła nagle żal i pragnienie, by znaleźć się w powozie obok tej dziwnej, lecz zabawnej, tryskającej życiem, niezwykle mądrej i strasznie nietaktownej starszej pani.

Lady Ambers przepowiedziała, że pewnego dnia będą razem. Zaniepokoiło to Betty, bo w głębi duszy czuła to samo... Potwierdziła to również Elaine, odwracając kota ogonem; powiedziała przecież, że to Betty bardziej jej potrzebuje niż ona Betty. Może i miała rację, bo ponad wszystko Betty pragnęła mieć rodzinę, własne miejsce na świecie i kogoś, do kogo będzie należeć. Z drugiej jednak strony Elaine nie musiała tego tak przedstawiać. Ale ona nigdy nie potrafiła niczego dać, zawsze tylko brała, i to obiema rękami, a kiedy już dawała, to bardzo niechętnie... Czy tak samo postępowała w stosunku do Joego?

Wstała od stołu i już miała wyjść, kiedy zdała sobie sprawę, że nawet nie tknęła kawy. Zrobiłaby przykrość Jane, gdyby niczego nie zjadła i nie wypila. Dokończyła więc kanapkę, zjadła sucharek i popiła kawą. Kiedy wracała na górę, usłyszała płacz dziecka. Po chwili z pokoju wyszła Nellie z małym na rękach.

- Połóż go do łóżeczka. Zaraz przyjdę.

W sypialni siostry popatrzyły na siebie w milczeniu.

- No, powiedz coś! - wybuchnęła Elaine. - Powiedz, co przeze mnie straciłaś.

Betty bez słowa podeszła do komody, wzięła z niej stosik świeżo upranych koszulek i kaftaników i włożyła do jednej z szuflad.

- Nie rozumiem, jak ty ją możesz tolerować - zawołała Elaine. - To potwór, megiera. Jej ubrania śmierdzą starzyzną. To stara wiedźma, w dodatku szalona.

- Ona nie jest szalona. - Betty odwróciła się na pięcie. - Wystarczyłoby, gdybyś miała połowę jej mądrości. I jej ubrania wcale nie śmierdzą starzyzną. Są nieco staromodne, ale bardzo ładne. Ona jest miłą, życzliwą osobą.

- Życzliwą? Nie bądź głupia. Jest równie samolubna jak oni wszyscy.

- No to mamy komplet. Ona przynajmniej płaciłaby mi pensję. Nie musiałabym czekać na kilka funtów wydzielanych, mi przez ciebie w przyływie dobrego humoru.

Nie usłyszała, jak otwierają się drzwi. Nie zwróciła też uwagi, że Elaine patrzy w tamtą stronę. Kiedy się odwróciła i zobaczyła Joego, miała ochotę zapaść się pod ziemię. Przycisnęła dłoń do ust i wybiegła z pokoju.

Joe wolno zamknął drzwi. Nie podszedł jednak do Elaine, lecz przyglądał jej się z daleka.

- Tylko nie zaczynaj! - krzyknęła poirytowanym tonem. - Mam dość jak na jeden ranek. Była tu ta okropna kobieta i chciała ją stąd zabrać. Zdenerwowała mnie i... i kiedy nazwałam ją starą wiedźmą,

Betty pokazała rogi.

Joe przeszedł przez pokój i stanął na wprost niej.

- Nie wiem, o co chodzi - powiedział cicho - ale dotarło do mnie ostatnie zdanie. Mam rozumieć, że przez cały ten czas nic Betty nie dawałaś, dopóki cię o to nie poprosiła?

- Nie, nie. Źle ją zrozumiałeś.

- Więc wyjaśnij mi to.

- Jeśli tylko czegoś potrzebowała, zawsze jej dawałam.

- Ale za każdym razem musiała cię prosić?

- No cóż - machnęła niecierpliwie głową - nie mogę wciąż o tym pamiętać.

- Odkąd Betty tu przyjechała, podwoilem ci pensję. Może przypominasz sobie, jak ci mówiłem, że nie chcę proponować jej zapłaty i że zostawiam to tobie. Jak mogłaś! Jak mogłaś być taka małoduszna!

- Jak śmiesz tak do mnie mówić?! Jak śmiesz sugerować, że jestem małoduszna? Nigdy mi to przez myśl nie przeszło. Ja... powiedziałam jej, że gdyby potrzebowała pieniędzy, to są w szufladzie.

- A ile trzymasz w szufladzie? Dwa funty? Pięć funtów? Co miesiąc sto funtów idzie na twoje prywatne konto. A więc od dzisiaj wrócimy do pięćdziesięciu i dopilnuję, by Betty nie musiała zebrać o to, co jej się należy.

- Joe! Joe!

Zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił. Po policzkach Elaine spływały łzy.

- Nie... nie bądź taki, proszę. Nie mogę tego znieść. To była zwykła bezmyślność z mojej strony. Parę tygodni temu kupiłam jej sukienkę i płaszcz i...

- Już dobrze, dobrze. Przestań płakać.

- Nie mów, że jestem małoduszna.

- Uspokój się już.

- I... i nie pozwól jej odejść. Nie pozwól jej wyjechać.

- Jeśli tylko będę mógł. Ale to zależy od ciebie. To ty możesz ją zatrzymać albo pozwolić odejść.

- Będę się starała. Naprawdę, Joe. Czuję się taka słaba, taka wyczerpana. Ja... nie jestem egoistką. Powiedz, że nie jestem.

- Nie jesteś egoistką. A teraz wytrzymaj oczy.

- Nie uważasz mnie za potwora?

- Nie. Jakże mógłbym? Wiesz, ile dla mnie znaczysz.

- Kocham cię, Joe.

Otoczyła go ramionami, zmuszając, by ukląkł przy niej. Kiedy wtulił głowę w jej piersi, przejechała mu ręką po włosach.

- Umarłabym, gdybyś przestał mnie kochać - wymruczała.

- Więc będziesz żyła bardzo, bardzo długo - szepnął.

Rozdział 10

Z okna salonu Elaine dostrzegła zbliżający się do bramy samochód. Rosnące wzdłuż alei dojazdowej drzewa w pewnej chwili go zasłoniły, wiedziała jednak, że po piętnastu sekundach ponownie się wyłoni. Niestety tak się nie stało. Podobnie było poprzedniego dnia i jeszcze wcześniej.

Ubiegłego dnia Joe spóźnił się piętnaście minut na lunch, tłumacząc, że coś go zatrzymało. Z największym trudem powstrzymała się, by nie zapytać, czy dwa dni wcześniej też coś stanęło mu na przeszkodzie.

Miała już tego dość. Cóż takiego Joe w nich widział? Tym razem chodziło tylko o nią, o tę Hazel. Jej mąż bowiem od poniedziałku przebywał w szpitalu z powodu jakiejś usznej infekcji.

Nie będzie tego dłużej tolerować. Jedna sprawa to chodzić tam otwarcie, a druga - potajemnie. Coś go zatrzymało, akurat.

Wybiegła z pokoju.

- Czy coś się stało? - posłyszała głos Betty, stojącej u szczytu schodów prowadzących na poddasze.

Rzuciła krótkie „nie”, zbiegła na dół po schodach i wkrótce była już na podjeździe. Zobaczyła ich za zakrętem. Szli wolno ścieżką w stronę Chatki. Joe trzymał tę dziewczynę za rękę.

Stanęła w cieniu drzewa na skraju trawnika. Patrzyła, jak jej mąż unosi ręce dziewczyny na wysokość piersi i pochyła się ku niej. Nie

widziała, co robi, bo stał do niej tyłem. Jednak nawet gdyby stali blisko niej, i tak niczego by to nie zmieniło, bo wściekłość przesłaniała jej wzrok. Żeby coś takiego robić tuż pod jej nosem, w ich własnym ogrodzie! Oddała mu wszystko, omal nie umarła przy porodzie. Dziecko ma zaledwie trzy miesiące i co on robi?

Nie zauważyła, jak się rozstali. Oprzytomniała, dopiero kiedy zatrzymał się przy niej samochód.

- Witaj, Elly. Wyszłaś mi na spotkanie? - W głosie Joego brzmiało zdziwienie. - Wsiadaj - dodał, gdy nie ruszyła się z miejsca. - Co się stało?

Ponieważ nawet nie drgnęła, wyskoczył z samochodu i podbiegł do niej.

- O co chodzi? Co się stało, kochanie?

Chciał ją objąć, lecz odepchnęła jego rękę silnym uderzeniem, które przeczyło jej kruchemu wyglądowi.

Nie odsunął się od niej, tylko spuścił głowę i zapytał cicho:

- O co ci chodzi?

- Jak śmiesz tu stać i pytać, o co mi chodzi? Wystarczyły trzy dni, bym cię przejrzała.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, nic nie rozumiejąc, po czym spojrzał w stronę Chatki. Następnie przeniósł wzrok na Elaine i ryknął śmiechem. Jednocześnie otoczył ją ramionami i przytulił do siebie.

- Jesteś zazdrosna - powiedział śpiewnym głosem. - Zazdrosna. Wspaniale! Ona jest zazdrosna!

Zaczęła się szarpać, więc ją puścił. Wciąż jednak nie mógł

opanować wesołości.

- Nie traktuj mnie jak idiotki - rzuciła chrypliwie. - Mogłabym zrozumieć, gdybyś miał romans z kimś z twojej sfery, ale... z żoną tego człowieka?!

Natychmiast spowaźniał. Nie spuszczał z niej wzroku, odwrócił lekko głowę i uniósł ostrzegawczo rękę.

- Uważaj, Elly, bo możesz potem żałować swych słów.

- Chcesz powiedzieć, że mam przewidzenia? Czy to normalne, by pan tak traktował żonę własnego szofera, brał ją za rękę i pieścił?

Westchnął ciężko.

- Tak - odpowiedział. - W tych okolicznościach to normalne.

Właśnie wróciłem ze szpitala od Davida. Dowiedziałem się, że Hazel spodziewa się dziecka. To, co widziałas, to była próba podniesienia jej na duchu i uspokojenia obaw przed tym, co takie dziecko czeka w życiu. Ona boi się, że będzie traktowane tak jak jego ojciec. Martwi się również tym, że jej rodzina wcale się nie cieszy z tego dziecka.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Elaine odetchnęła swobodniej i uniosła w charakterystycznym geście brwi.

- To zupełnie zrozumiałe. Kto by chciał kolejnego kolorowego?

Wciągnęła gwałtownie powietrze i cofnęła się instynktownie, bo Joe uniósł nagle dłoń. Zamierzył się, ale w porę powstrzymał; Elaine tymczasem zrobiła dwa kroki w tył. Poczula za sobą pień drzewa. Błyskawicznie ukryła się za nim, po czym krzyknęła i rzuciła się w stronę domu.

Przed gankiem zwolniła i weszła po schodach, starając się nad

sobą zapanować, na wypadek gdyby spotkała kogoś ze służby. Nikogo jednak nie było, wpadła więc jak burza do swego pokoju, w którym zastała Betty.

- Cóż się stało, na Boga? - Betty chwyciła ją za ramiona i spojrzała w oczy. - Co ci jest? Trzęsiesz się jak osika.

- On... on chciał mnie uderzyć.

- Kto?

- J... Joe.

- Nie bądź niemądra. Przecież nie ma go w domu.

- Za...raz będzie.

- Co się stało?

- Ja... wyszłam mu na spotkanie. On... był z tą dziewczyną z Chatki. Widziałam, jak trzyma ją za rękę, nachyla się ku niej. Kiedy oskarżyłam go o zdradę, powiedział, że ją pocieszał, bo ona spodziewa się dziecka. A... a kiedy powiedziałam, że... - Przełknęła z trudem ślinę i pokręciła głową.

- No, mów. Co takiego powiedziałaś?

- Że... że to będzie kolejny kolorowy.

- Och, Elaine!

- Nie ma o czym mówić.

- Myślę, że jest. Wiesz, jak troszczy się o Davida i jego rodzinę.

- Ale dlaczego? Dlaczego tak się o nich troszczy? Właśnie to chcę wiedzieć.

Łzy spływały jej teraz po policzkach.

- Razem się wychowywali. Joe lituje się nad nim jak nad

pokrzywdzonym człowiekiem.

- Pokrzywdzonym?! On nie jest pokrzywdzony. Joe traktuje go jak równego sobie.

- I nadal będzie.

Na głos Joego Betty odwróciła się gwałtownie. Natomiast Elaine, nie zaszczyciwszy go nawet jednym spojrzeniem, uciekła do sypialni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Bądź dla niej wyrozumiały - powiedziała Betty po chwili ciszy.

- Jestem dla niej zbyt wyrozumiały - mruknął schrypniętym głosem.

- Powiedziała, że chciałaś ją uderzyć. To prawda?

- Tak, to prawda.

Uciekła spojrzeniem w bok, ściągnęła brwi i ruszyła do drzwi.

- Nie rozumiem cię - mruknęła, wychodząc.

Ruszyła w dół korytarzem, kiedy rozległ się gong na kolację.

Jednocześnie zabrzmiał ręczny dzwonek Mike'a. Zawahała się, po czym postanowiła pójść na górę. W tym momencie otworzyły się drzwi do pokoju dzieciennego i stanęła w nich Nellie.

- Och, proszę pani, ten dzwonek obudził dziecko.

- Zajmę się nim - odparła Betty. - Tymczasem daj mu butelkę.

- Ale jeszcze nie czas.

- Nie szkodzi, daj. Zaraz do ciebie przyjdę.

Wbiegła na górę, otworzyła drzwi do saloniku i krzyknęła:

- Och, przestań hałasować, Mike! Obudziłeś dziecko. Trzeba ci będzie zainstalować elektryczny dzwonek. Ten robi zbyt wiele hałasu.

- No, wreszcie przyszedłeś. Co tam się dzieje na dole?
- Nie rozumiem.
- Widziałem, jak biegła podjazdem, a potem wróciła, jakby ją diabeł gonił. A nasz Joe wysiadł z samochodu z twarzą jak gradowa chmura. Co się dzieje?
- Pewnie sam ci to powie.
- Nie powie. Albo tylko częściowo. Jeśli ty mi nie powiesz, o co chodzi, zejdę nad dół i sam się dowiem.

Wzięła głęboki oddech i wyjaśniła:

- Z tego, co wiem, Hazel powiedziała Joemu, że spodziewa się dziecka, a kiedy on powiedział o tym Elaine, ona... wyskoczyła z głupią uwagą.

- Hazel spodziewa się dziecka? - zapytał niskim głosem Mike.

- Tak. Czy coś w tym dziwnego?

Mike wstał z fotela i opierając się na lasce, podszedł do okna.

- Nie - odparł. - Nie ma w tym nic dziwnego. Nic, co mogłoby wywołać taką awanturę. - Odwrócił lekko głowę i zapytał: - Co to była za głupia uwaga?

Milczała dłuższą chwilę.

- Coś w rodzaju, że Hazel urodzi kolorowe dziecko - wyjaśniła.

- Cholerna suka! Bezmyślna kretyńska! - Uderzył laską w podłogę i oparł się jedną ręką o parapet. - Dlaczego, na Boga, musiał się ożenić z taką ograniczoną, próżną, głupią suką?

- Mike, proszę.

- Możesz sobie mówić „Mike”, ile chcesz. Wiem, że to twoja

siostra, ale coś ci powiem: Wolałbym, żeby ożenił się z dziewczyną, bo ta przynajmniej miałaby więcej ludzkich cech,

- Elaine jest jeszcze bardzo młoda - powiedziała Betty oschłym tonem. - I nie zapominaj, że żyje w zupełnie obcym otoczeniu. Nie jest w stanie zadowolić was wszystkich.

- Nie musi nas wszystkich zadowalać, wystarczy, że zadowoli Joego.

- Robi, co może.

- Czyżby? - Odwrócił się w jej stronę. - Coś ci powiem, Betty.

Twoja siostra ma na względzie tylko jedną osobę: samą siebie.

Wszystko, co robi, robi tylko dla siebie. On tego nie dostrzega, bo zaślepiają go uczucie i własne potrzeby. Poza tym jest nią zafascynowany, bo pochodzi z innej sfery. Wiem, co mówię. Takich jak my fascynują kobiety jej pokroju. Jego matka była kropka w kropkę taka jak ona. Tylko że ja oprzytomniałem bardzo szybko, a jego przebudzenie będzie bardzo powolne, bo on nie chce otworzyć oczu. Może to i dobrze, bo jeszcze mógłby się załamać i do końca swoich dni żyć z raną w sercu. Wiesz, jakie małżeństwo mi się podoba?

Małżeństwo na próbę. Już dawno na to wpadłem. Miałem dwadzieścia dwa lata, kiedy po raz pierwszy powiedziałem o tym głośno. Jakiś jegomość w średnim wieku omal się na mnie nie rzucił. Później się dowiedziałem, że jego jedyna córka mieszka z jakimś facetem. „Życzę jej szczęścia”, powiedziałem. Ale pomyśl, Betty. Dzięki temu nie byłoby tylu złamanych serc. Bo któż może wiedzieć, co go czeka, kiedy wiąże się z kimś na całe życie?

- Powinno się wiedzieć - odparła cicho. - Nie jesteśmy przecież dziećmi.

- Ona jest - rzucił ostrym głosem. - Uważa się za podlotka i nigdy nie przestanie, nawet jak będzie stara. Znam ten typ kobiet.

Oczy Betty zwięzły się, a w głosie zabrzmiał ton buntu.

- Skoro więc tak o niej myślisz, dlaczego jesteś taki dla niej miły?

- Czy zawsze musisz trafiać w samo sedno? Masz rację, jestem dwulicowy, ale patrzę na to w ten sposób: Joe ma dość swoich kłopotów. Nie będę mu utrudniać. Myśli, że ją lubię. Niech sobie myśli. Ale musiałem to komuś powiedzieć, a ty najlepiej się do tego nadajesz, bo nie jesteś taka jak ona.

- Mike, ona jest moją siostrą i...

- Och, daj spokój, dziewczyno. Nie rozmawiaj ze mną w ten sposób. Nie mów mi, że masz równie ograniczone spojrzenie na świat jak ona. Ten cały interes z powszechną miłością przyprawia mnie o mdłości. Czyżby wpojono ci, że musisz wszystkich w rodzinie kochać, bo urodziła was ta sama matka i wychowałyście się w tym samym domu? Idioci mają więcej rozumu. Pokaż mi rodzinę, w której wszyscy się kochają, a udowodnię ci, że to rodzina hipokrytów... Idź sobie. - Odwrócił się od niej i machnął ręką. - Idź i graj rolę cichej towarzyszki swojej słodkiej siostruni. Pamiętaj jednak, że nie wolno potępiać innych, kiedy samemu jest się wielkim hipokrytą.

Betty bez słowa wyszła z pokoju. Na korytarzu zatrzymała się, zamknęła oczy i dotknęła palcami czoła. Cicha towarzyszka. On

również trafił w samo sedno. Właśnie tym była - cichą towarzyszką.

Lubiła Mike'a. Nawet bardzo, lecz zbyt często w jego obecności czuła się, jakby bez przerwy poddawał ją próbie. Zaczynała mieć tego dość. To tak jakby żyła na polu walki, w samym środku czterech obozów, jeden - kuchnia, drugi - pierwsze piętro, trzeci - poddasze i wreszcie Chatka. Dziwne, ale ten ostatni obóz, stojący nieco z boku, który wydawał się najszcześniejszy, był przyczyną większości niesnasek.

Nagle zapragnęła być z lady Mary, bo wtedy musiałyby zadowolić tylko jedną osobę. Mogłyby sobie być cichą towarzyszką, bo lady Mary płaciłaby jej za to, by była na każde skinienie, i nie kazałaby traktować tego jako uśmiechu od losu, jak robiła to jej siostra.

Właśnie zeszła na pierwsze piętro, kiedy zobaczyła schodzących na dół Elaine i Joego. Szli przytuleni do siebie, patrząc sobie w oczy. Mike miał rację, to będzie wolne przebudzenie... Może nawet nigdy nie nastąpi.

No cóż, oby tylko ona znalazła w sobie dość siły, by życzyć Joemu, aby nigdy się nie obudził. Czuła jednak, że to nie będzie takie proste. Natura ludzka to skomplikowany twór.

Życie też jest skomplikowane. Nie po raz pierwszy dochodziła do takiego wniosku.

Część trzecia

Rozdział 11

Było Boże Narodzenie 1928 roku. Cały dom jaśniał światłami. W każdym pokoju buzował ogień. Młody Pat Collins, pomagający Davidowi w ogrodzie, ciężko pracował przez cały dzień, nosząc drewno i węgiel do wszystkich kominków, od parteru po drugie piętro.

Hall zdołały girlandy z ostrokrzewu i jemioly, a między dwoma długimi oknami w salonie stała olbrzymia choinka udekorowana świeczkami i bombkami, a wokół niej leżał stos kolorowych paczek.

W całym domu panowała atmosfera podekscytowania.

- Czuję się, jakby to był sylwester, a nie Boże Narodzenie - powiedziała Ella do Mary, wchodząc spieszenie do kuchni.

Mary kończyła właśnie dekorowanie małych ciasteczek i machnęła lekceważąco ręką.

- Mówiłam ci to już w zeszłym roku. To dlatego że ona jest z południa. Tam liczy się Boże Narodzenie, nie Nowy Rok. My uważamy, że Boże Narodzenie jest dla dzieciaków, a Nowy Rok to czas radości.

- Szkoda, że mały nie może jeszcze cieszyć się z choinki. Ależ pięknie ją udekorowała. Nie można powiedzieć. I chyba dostaniemy

prezenty.

- Mówiłam, byś nie wtykała nosa, gdzie nie trzeba, Ella. Miałaś się trzymać z dala od choinki.

Ella popatrzyła na Duffy'ego, który siedział przy kominku z nogami na kracie ochronnej i pykał fajkę.

- Jak myślisz, wuju Jimmy, po co mam oczy? - zapytała ze śmiechem. - A mówiąc o oczach... - Pochyliła się w stronę ciotki i oznajmiła głośnym szeptem: - Dziś wieczorem będą mieli na co patrzeć.

Mary znieruchomiała z ręką w powietrzu.

- O czym ty mówisz?

- Och, o czym ja mówię. Szkoda, że tego nie widziałaś. Kiedy zejdziesz na dół, będzie miała na sobie pelerynę. - Przykryła dłonią usta, spojrzała na wuja i dodała: - Oczy wyszłyby ci na wierzch, gdybyś ją zobaczył, wuju Jimmy.

Duffy wyjął fajkę z ust i zdjął nogi z kraty.

- Dlaczego? - zapytał.

- Chodzi o jej biust. - Ella wskazała palcem na swoje piersi. -

Jest prawie cały na wierzchu.

- Miarkuj się, Ella.

- Ale to prawda, ciociu Mary. Jej suknia ma dekolot do pasa, a piersi sterczą niczym dwie gruszki. Gapiłam się na nie w lustrze, a ona pyta: „Czy coś się stało, Jane?” A ja na to: „Nie, proszę pani”. A kiedy wychodziłam z pokoju, słyszałam, jak powiedziała coś do pana Joego, a potem się roześmiała. Wstrętna baba.

- Mówiłam, żebyś pilnowała języka. Wskoczysz kiedyś z czymś takim i cię usłyszy.

- A niech usłyszy... - Wzięła pęknięte ciastko, włożyła do ust, po czym pokręciła wolno głową. - Nie rozumiem, jak pan Joe może pozwolić, by się tak pokazywała ludziom.

Mary wzięła tacę z ciastkami i podeszła do kredensu. Kiedy mijają męża, wymienili znaczące spojrzenia.

Otworzyły się drzwi i do kuchni weszła Nellie McIntyre.

- Widziałaś ją? - zapytała Ellę ze wzburzeniem w głosie.

- A jakże. I co ty na to?

- Co ja na to? - Nellie potrząsnęła głową tak energicznie że biały czepek zsunął jej się na bok. - Powiem wam, co myślę, i nie mam zamiaru nikogo za to przeproszać, panie Duffy. Myślę, że gdyby pokazała swemu dziecku piersi tak jak będzie je pokazywać dziś wieczorem, to by tak nie płakało.

Zapadła cisza, po czym Ella klepnęła Nellie w ramię i wybuchnęła śmiechem.

- A niech cię! Dobrze powiedziane. Ona ma rację, ciociu Mary. Mary hardo podparła się pod boki.

- Nikt temu nie zaprzecza, ale byłoby mądrzej, gdybyście swoje opinie zatrzymały dla siebie i nie zapominały, że macie dobrą pracę, a wystarczy jedno jej słowo, by ją stracić.

Dziewczęta popatrzyły na siebie, westchnęły i wyszły z kuchni. Jednak w hallu Nellie chwyciła Ellę za rękę i wciągnęła do jadalni.

- Słyszałam, jak panna Betty z nią rozmawiała - wyszeptwała.

- O piersiach?

- Chyba tak, bo powiedziała coś takiego: „To tylko małe przyjęcie, Elaine, a Leveyowie są bardzo konserwatywni”. A wtedy pani powiedziała: „To najwyższy czas, by ich rozruszać, nie sądzisz?” A panna Betty na to: „Tu nie Londyn, Elaine”. A pani: „Masz rację. Oni są tacy... prowincjonalni. Przyprawiają mnie o mdłości. Jeśli sama o siebie nie zadbasz, to umrzesz z nudów”. A panna Betty zapytała: „Czy Joe ją widział?”, a pani odpowiedziała: „Oczywiście że tak”. A panna Betty na to: „Ale nie na tobie. Nie drażnij go, Elaine”. Wtedy pani się roześmiała i powiedziała: „Moje piersi miałyby go drażnić? Co ty o tym możesz wiedzieć, Betty?” Musiałam szybko uciekać, bo panna Betty wyszła z pokoju.

- Nie zabierają jej ze sobą?
- Nie. Przecież ona nigdy z nimi nie wychodzi.
- To prawda. Ale to Wigilia i przyjęcie...
- Ma nową sukienkę.
- Panna Betty?
- Tak, wełnianą, w jasnoróżowym kolorze. Ładnie jej w niej... no, na tyle, na ile to możliwe. Trudno uwierzyć, że są siostrami, co?
- To prawda. Jedna wygląda jak lalka, a druga jak szkapa. Ale wiem, którą bym wolała, gdybym miała wybierać.
- Ja też.

Pokiwały głowami, niczym konspiratorki i wymknęły się ostrożnie z pokoju.

Była dziewiąta wieczór. W domu panowała cisza. Uplęnęła

ponad godzinę, odkąd Joe i Elaine wyszli, weseli i roześmiani. Na odchodnym Joe powiedział: „Szkoda, że z nami nie idziesz”.

Nie uwierzyła mu, ale też i nie uświadomiła, że nikt jej nie zapraszał. Mimo to była mu wdzięczna za te słowa. Poczciwy z niego człowiek. Choć miał wybuchowy charakter i czasami dziwnie się zachowywał, troszczył się jednak o ludzi. Właśnie to współczucie dla drugiego człowieka tak ją zaskakiwało. Mary, Jane i Nellie pojechały odwiedzić swoich krewnych. David podwiózł je nawet samochodem, kiedy wrócił od Eganów, gdzie zostawił Hazel. W domu byli więc tylko Duffy, Mike i dziecko. Nagle zrobiło się dziwnie pusto.

Wzięła z kuchni tacę z kolacją, lecz zamiast zanieść ją do jadalni, poszła do salonu i usiadła przy płonącym kominku. Jadła, przyglądając się choince.

W przyszłym roku Martin będzie już biegał wokół drzewka, bawił się na podłodze pociągami i samochodami i budował domy z klocków. Już go sobie wyobrażała. Kochała to dziecko. Czasami nachodziła ją refleksja, że jest bardziej jej niż Elaine. Jeśli macierzyństwo rozumieć jako troskę i opiekę nad dzieckiem, to z pewnością Martin należał do niej. Nie miała jednak wątpliwości, że Elaine też go kocha, zwłaszcza kiedy był szczęśliwy i uśmiechnięty.

Skończyła jeść, wyciągnęła się w fotelu i rozejrzała po salonie. Ile już świąt spędziła sama? A ile w domach innych ludzi? Ile razy musiała walczyć z ogarniającym ją uczuciem samotności? Mike powiedział, że nie można kochać wszystkich. Miał rację. Naprawdę można kochać tylko jedną osobę. Istniały różne odmiany miłości, lecz

tę, której pragnęła i której potrzebowała, mogła jej dać tylko jedna osoba.

Przypomniała sobie przedostatnie Boże Narodzenie, które spędzała u kuzynki Kathryn. Czuła wtedy głęboką tęsknotę za kimś, komu byłaby potrzebna. Nie myślała jednak o miłości, bo to byłoby niebezpieczne. Ale nadeszła kolejna Wigilia, a jej sytuacja się nie zmieniła.

Wstała z fotela, wolno zbliżyła się do kraty kominka i spojrzała w wiszące z boku owalne lustro w złoconej ramie. Trzeba przyznać, że włosy miała ładne: kasztanowe i gęste, i jak wszystkie gęste włosy miękko się układały. Oczy, brązowe i okrągłe, nie były bardzo duże. Nos prosty, lecz niestety wydatny. Uwagę przyciągały piękne usta o pełnych kształtnych wargach. Twarz miała szeroką, lecz dość proporcjonalną w stosunku do całej potężnej sylwetki. Już jest źle, kiedy się ma pięć stóp i dziewięć cali wzrostu, a kiedy dochodzi do tego wielkie ciało, to stanowczo zbyt wiele. Mimo to nie była gruba. Nie. Dawno postanowiła, że do tego nie dopuści. Uważała, co je, i bardzo rzadko piła alkohol.

I jeszcze jej imię: Beatrice. Też było ciężkie i pasowało do jej ciężkiej sylwetki. Ale skrócono je do Betty, a Betty brzmiało dziewczęco, a ona nigdy nie była dziewczęcą.

Zamknęła oczy, odwróciła się od lustra, zabrała tacę i wyszła z pokoju. Kiedy pchnęła pośladkami pokryte zielonym rypsem drzwi kuchni, zobaczyła, że Duffy usnął w fotelu przy kominku. Postawiła więc cicho tacę na stoliku przy drzwiach i równie cicho się wycofała.

Potem poszła do pokoju dzieciennego.

Mały spał spokojnie w łóżeczku. Skopał kołderkę i pulchne nóżki leżały na wierzchu. Jedną rączkę miał zaciśniętą w piąstkę i przytuloną do policzka. Pochyliła się i delikatnie poprawiła kołderkę, po czym dotknęła wargami czoła. Zawsze kiedy to robiła, czuła w sercu ból.

Dołożyła do ognia na kominku, ustawiła kratę ochronną i poszła do swego pokoju. Był bardzo wygodny, miał wszystko, czego potrzebowała. Zapragnęła nagle usiąść przy kominku, zaczekać na powrót dziewcząt, a potem położyć się spać. Ale był przecież Mike. Siedział sam na górze i pewnie na nią czekał. Jest Wigilia, a w takim dniu nikt nie powinien być sam.

Wyjęła grzebień z rozdzielonych przedziałkiem włosów. Zawsze tak się czesała, sądząc, że w ten sposób wizualnie skróci twarz. Następnie sięgnęła do szuflady po czystą chusteczkę, skropiła ją kilkoma kroplami perfum, wsunęła pod rękaw sukni i weszła po schodach na poddasze.

- Myślałem, że nigdy nie przyjdiesz.
- Miałam coś do roboty.
- Ale oni wyszli półtorej godziny temu.
- Tak, wiem. - Uniosła brwi i skinęła głową. - Ale czasami muszę się umyć, przebrać, popatrzeć na siebie i pomyśleć.

Zaśmiał się cicho.

- Chodź tu i usiądź. - Obrzucił ją spojrzeniem, wydał wargi i pokiwał głową. - Podoba mi się ta sukienka, podkreśla figurę. Masz niezłą figurę, wiesz?

- Niczym wielbłąd... Przynajmniej tak sądzą inne wielbłądy.

- Cha! Cha! Cha! - wybuchnął głośnym piskliwym śmiechem. - Świetnie się przy tobie czuję, wiesz, Betty? Zawsze dobrze na mnie działasz. Potrafisz śmiać się z siebie, a to bezcenna zaleta.

- Zawsze lubiłam żartować.

- Tak, tak. Chodź tu i popatrz. - Wskazał na okno. - Spójrz na to niebo. Widzisz gwiazdy? Czyż to nie jest wspaniały widok? Kiedyś taki widok przerażał mnie. Teraz już nie, bo wiem, że pewnego dnia będę gdzieś tam wysoko.

- Nie przypuszczałam, że wierzysz w Boga.

- A kto tu mówi o Bogu? Bóg nie ma z tym nic wspólnego. - Popukał palcem w szybę. - W każdym razie nie ten, którego ty i inni uważacie za Boga.

- Skąd wiesz, kogo ja uważam za Boga?

- Nie wiem. Zresztą będziemy musieli o tym kiedyś porozmawiać... Dlaczego nie poszłaś z nimi na przyjęcie?

- Bo nie zostałam zaproszona.

- Leveyowie wszystkich zaprosili. To dobrzy ludzie i miła rodzina. Przecież ich poznałaś.

- Tak, poznałam. Powiedzieli, żebym do nich wpadała, ale... to tylko taka grzecznościowa formułka...

- Nie tutaj. Jeśli ktoś ci mówi, żebyś wpadła, to tak myśli naprawdę... Zagramy partyjkę?

- Tak, oczywiście.

Przyniosła mały stolik, po czym uniosła blat i wyjęła spod niego

talię kart. Następnie usiadła i zaczęła je tasować.

- Czy zejdiesz jutro na dół?
- Tak, chyba będę musiał. Świąteczny obiad i tak dalej...

Mnóstwo pustej gadaniny.

- Powinieneś częściej schodzić na dół. Zbyt długo jesteś sam.
- A po co miałbym schodzić? Co mógłbym zobaczyć z okien

salonu czy jadalni? Gdybym mieszkał na pierwszym piętrze, widziałbym jedynie część ogrodu i podjazd. Nie, tu jest moje miejsce teraz i na zawsze.

- Nie bądź niemądry.
- Niemądry? Nie myśl, że użalam się nad sobą. Tu jest mój świat. Mam dwie pracownice, łazienkę, sypialnię i to. - Powiódł ręką wokół salonu. - Czego mi jeszcze trzeba?

- Zbyt często jesteś tu sam.

Rozdała karty. On wziął swoje, popatrzył na nie i powiedział:

- Jeśli nie potrafisz znieść własnego towarzystwa, ciężko ci znieść towarzystwo kogoś drugiego.

- Zrezygnowałeś ze wszystkiego. Usunąłeś się w cień. Jak długo nie byłeś w fabryce?

Myślał chwilę.

- Dwa i pół, trzy lata.
- Już cię przestała interesować?
- I tak, i nie.
- Co to znaczy?
- Mówiąc szczerze, chciałem oddać Joemu kierownictwo i

zobaczyć, co potrafi. Nie chciałem go w niczym krępować. Gdybym tam był, nie mógłbym się powstrzymać, by nie powiedzieć na przykład: „Zawsze tak się robiło i dalej tak będzie”, czy coś w tym rodzaju. Wchodziłbym mu w drogę, starając się pokazać, kto jest prawdziwym szefem. A kiedy mnie tam nie ma, nie stracę twarzy, jeśli jego pomysły okażą się lepsze od moich.

- Dziwny z ciebie gość - powiedziała Betty, naśladując jego sposób mówienia.

- Już mi to mówiono, dziewczyno. Nim zaczniemy, przynieś tu tę tacę. - Wskazał na kredens. - Jest Wigilia, trzeba więc ją jakoś uczcić.

Było wpół do dwunastej. Przez ostatnie dwie godziny schodziła trzy razy na dół. Dwa razy, by zająrzeć do dziecka, a trzeci, kiedy usłyszała, że wróciły dziewczęta. Zeszła wtedy do kuchni i powiedziała z uśmiechem:

- Wesołych świąt.

- Wesołych świąt, panno Betty - odpowiedzieli chórem. Pośmiali się chwilę, po czym Betty wyszła dziwnie szczęśliwa.

Teraz Mike i ona siedzieli przy kominku.

- Wiesz - zachichotała cicho - chyba się upiłam.

- Tak trzymaj, dziewczyno. Mamy przed sobą długą drogę, a butelki opróżnione tylko do połowy.

Wskazał na stół, gdzie stały trzy butelki - z porto, whisky i z dżinem.

- Podobno nie należy mieszać alkoholi, ale przyjemnie czuć się

na rauszu. Nigdy jeszcze tego nie doświadczyłam. W tej chwili mogłabym każdego polubić... każdego.

- Przecież ty zawsze wszystkich lubisz, Betty.

- Och nie. - Pokręciła głową. - Sam powiedziałaś, że jestem hipokrytką. To prawda. Jestem dwulicowa.

- Nie, Betty. Jesteś najuczciwszą kobietą, jaką w życiu spotkałem.

- Mylisz się, Mike. Naprawdę jestem dwulicowa, bo czasami mam ochotę wierzgnąć i powiedzieć Elaine, co o niej myślę. Nie robię tego jednak. Mówię: „Tak, Elaine” i „Nie, Elaine”, i „Masz rację, Elaine”.

- To nie dwulicowość, dziewczyno, to dyplomacja.

- Tak, chyba masz rację. - Westchnęła i kiwnęła głową. - Tak, to dyplomacja. Będę musiała o tym pamiętać w przyszłości. Nie zmienia to jednak faktu, że jestem dwulicowa. - Położyła ręce na kolanach i utkwiała w nich wzrok. - Jestem dwulicowa, bo gram rolę poczciwej Betty, a w środku jestem zupełnie inna. Zazdroszczę Elaine. Wiesz, Mike? Zazdroszczę jej, bo ma Joego... i Martina... i ten duży dom. Ona zawsze dostawała to, czego chciała, i... i powinnam się z tego cieszyć. Mówię sobie, że powinnam się cieszyć, ale tak nie jest. Pochylił się, położył jej rękę na kolanie i spojrzał w oczy.

- Marnujesz się, dziewczyno. Powinnaś wyjść za mąż.

- Wiem o tym, Mike, lecz kto mnie zechce? - Zaśmiała się nerwowo.

- Każdy, kto nie jest głupcem. Wiesz co? - Ścisnął jej kolano tak

mocno, jak pozwalały na to zdeformowane palce. - Gdybym nie miał tak poskręcane go ciała i byłbym o dziesięć lat młodszy, sam bym ci się oświadczył.

Wybuchnęła śmiechem.

- A ty wiesz co? Gdybym była o dziesięć lat starsza i miała dość rozumu w głowie, potraktowałabym serio twoje słowa i powiedziała: „Bardzo panu dziękuję”. I wiesz co, Mike? - Oczy błyszczały jej podejrzenie. Zaciśnięła usta, czknęła, zaśmiała się i wyszeptała: - Chcę ci coś powiedzieć. To śmieszne, ale wiesz, kim zawsze w głębi ducha chciałam być? Nigdy byś nie zgadł. Nawet za tysiąc lat... Czyjaś kochanką. Czy to nie śmieszne? Nigdy nie marzyłam, żeby wyjść za mąż. Tylko żeby być czyjaś kochanką. Możesz to sobie wyobrazić? Widziałam siebie we wspaniałej sypialni. Wszystko tam byłoby kupione specjalnie dla mnie, całe kosztowne wyposażenie... bez żadnych ograniczeń. - Spuściła głowę, by zapanować nad nerwowym śmiechem, po czym mówiła dalej: - Miałabym na sobie zwiewny negliż, całe metry krepdeszynu. Albo nie, jedwab, najdroższy jedwab. I wtedy wszedłby on, bohater, mężczyzna, który za to wszystko płaci. I wiesz co, Mike? Nigdy nie potrafiłam wyobrazić sobie jego twarzy i pewnie wiem dlaczego.

Uniosła głowę, wzięła ze stołu do połowy opróżniony kieliszek porto i przyglądała mu się przez chwilę.

- Ta farsa zawsze się kończy, kiedy patrzę w lustro i widzę siebie taką, jaką on by mnie widział. Wtedy pytam: „Dlaczego? Przecież to nie fair”. Kobiety różnią się między sobą wyglądem, ale wewnątrz są

do siebie podobne. Nie sądzisz, Mike? Takie same uczucia płoną we wnętrzu zarówno grubej i brzydkiej, jaki szczupłej i ładnej. Nie mam racji? Doszłam nawet do wniosku, że namiętność tej grubej jest silniejsza, o wiele silniejsza. Przed laty, kiedy patrzyłam na Elaine, mówiłam sobie na pociechę, że Bóg sprawiedliwie podzielił ten świat: pięknym nie dał rozumu, brzydkim zaś ofiarował wielki rozum i osobowość. Ale - tu uśmiechnęła się blado - doszłam do wniosku, że to diabelnie niesprawiedliwe z Jego strony. Dlaczego nie pozwolił nam dokonać wyboru? Ja wiem, na co bym się zdecydowała...

- Betty.

- Tak?

- Posłuchaj mnie uważnie.

- Słucham, Mike.

- Słuchasz?

- Tak, Mike, słucham.

- Chcę, byś za mnie wyszła. Nie, nie, mówię poważnie. Nie jestem jeszcze taki stary. Mam pięćdziesiąt dwa lata i nie jestem beużyteczny jako mężczyzna. Rozumiesz, co mam na myśli. Wyjdź za mnie, Betty.

- Och... Och, Mike. - Przełknęła z trudem ślinę, zamknęła oczy i odchyliła się na oparcie fotela. Po policzkach płynęły jej łzy. W końcu opanowała się i powiedziała ledwie dosłyszalnie: - Oboje jesteśmy pijani, Mike. Jednak mimo wszystko dziękuję ci. Dziękuję z całego serca. To pierwsza propozycja, jaką w życiu otrzymałam. Niektórzy mężczyźni mnie lubią, wiem, a kobiety wykorzystują, ale nikt mnie

jeszcze nie pokochał. Takie kobiety jak ja są podobne do robotnic w ulu. Pracują dla królowych tego świata, takich jak Elaine. Mężczyźni traktują nas jak kumpelki, dlatego nigdy, nigdy...

- Przestań gadać. Ja... nie jestem wcale taki pijany. Właściwie to w ogóle nie jestem pijany. Potrafię utrzymać kieliszek i doskonale wiem, co mówię. Wyjdiesz za mnie?

Zdażyła już wstać z fotela i wycierała łzy z policzków.

- Och, Mike, Mike! - powiedziała cicho,
- Wyjdiesz?
- Zapytaj mnie o to rano. Dobranoc.
- A więc dobrze. Dobranoc. I możesz być pewna, że powtórzę to pytanie w świąteczny poranek.

Podeszła chwiejnie do drzwi, otworzyła je, po czym odwróciła się i powiedziała cicho:

- To był najpiękniejszy wieczór w moim życiu.

I zamknęła za sobą drzwi. Wróciła do swego pokoju -nie rozebrała się, tylko padła na łóżko i rozplakała rzewnymi łzami.

Rozdział 12

Wesołych świąt, Elaine.

- Wesołych świąt... Och, moja głowa! - Elaine usiadła na łóżku. -

Która godzina?

- Dziesiąta.

- Wielkie nieba!... Och, nie mogę patrzeć na śniadanie. -

Machnęła ręką na tacę, którą Betty stawiała właśnie na szafce przy łóżku. - Filiżanka herbaty to wszystko... Gdzie jest Joe?

- Chyba wyszedł. Wstał jakiś czas temu.

- Jest nieludzki.

- O której wróciliście?

- O drugiej czy trzeciej, nie pamiętam.

- Dobrze się bawiłaś?

- Tak. - Elaine otworzyła szeroko oczy. - O dziwo tak. Byli tam dwaj sympatyczni mężczyźni. Jeden to lekarz, który okazał się bratem Leny Levey. - Zmrużyła oczy i spojrzała z ukosa na Betty. - Co ci jest? Wyglądasz, jakbyś sobie hulała. Źle spałaś?

- Dobrze, ale późno się położyłam. Mike i ja graliśmy w karty.

- Och, to ci dopiero hulaszczyc wieczór, grać w karty z panem domu. Jak tam Mike?

- Och, zadowolony, uśmiechnięty. Wyobraź sobie, że pamiętał, że to Boże Narodzenie.

- A oto drugi pan domu. A może trzeci? - Elaine strzeliła palcami

w stronę Joego, który właśnie wszedł do pokoju.

Betty odwróciła się od tacy stojącej na szafce.

- Chcesz herbaty?
- Nie, dziękuję. - Pokręcił przecząco głową i usiadł na brzegu łóżka. Wziął Elaine za rękę, lecz patrzył nie na nią a na Betty. -

Właśnie widziałem się z ojcem.

- Tak? - Betty spojrzała na niego obojętnie.
- Powiedział mi nowinę.
- Naprawdę? - Betty podeszła do łóżka i podała Elaine filiżankę.
- Jaką nowinę? O czym ty mówisz? - zapytała Elaine, starając się przyciągnąć uwagę Joego.

Joe jednak wciąż patrzył na Betty.

- Jeśli potrzebujesz błogosławieństwa, to je masz. Poczula, jak całe jej ciało oblewa słodki żar. Zwilżyła wargi i powiedziała:

- Nie potrzebuję twojego błogosławieństwa, Joe. To nieporozumienie.

Elaine odstawiła niecierpliwie filiżankę na szafkę.

- O co chodzi? - zapytała. - Co się stało? Joe wreszcie na nią spojrzał.

- Ojciec poprosił Betty o rękę - wyjaśnił z uśmiechem.

Trudno byłoby opisać wyraz twarzy Elaine: zdumienie mieszało się z przerażeniem, niesmak z... gniewem. Ton jej głosu, podobnie jak słowa, całkowicie przeczyły jednak tym uczuciom.

- Chyba żartujesz - stwierdziła obojętnym głosem.
- Dlaczego miałby żartować? - zapytała oschle Betty, zanim Joe

zdążył odpowiedzieć.

Zamierzała obrócić całą sprawę w żart. Nawet jeśli Mike pamiętał, co wczoraj powiedział, ona dopiero po pewnym czasie przypomniała sobie całe zdarzenie. Jednak wyraz twarzy siostry i jej obraźliwe zachowanie wywołały w niej bunt.

- Czy to takie dziwne, że ktoś prosi mnie o rękę? - zapytała z goryczą w głosie.

Mierzyły się wzrokiem, jakby zapominając o obecności Joego.

- Tak. W tym wypadku tak! - krzyknęła Elaine ze złością. - On jest stary, w dodatku kaleka i...

- I co, Elly? - przerwał Joe, wstając z łóżka i patrząc na nią z góry. - No dalej, powiedz to. On nie należy do twojej sfery. Jest nieokrzesanym prostakiem.

- O mój Boże!

Elaine chwyciła się rękami za głowę i już miała opaść na poduszki, lecz nagle znieruchomiała.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś za tym? - zapytała.

- Jak najbardziej. I Betty, i ojciec potrzebują kogoś. Świetnie się dogadują. - Spojrzał na nią chmurnie. - Nie rozumiem cię. W pewnych sytuacjach po prostu mnie zdumiewasz. Myślałem, że będziesz zadowolona. Zaczekaj, Betty! - zawołał, lecz nie usłuchała i wyszła, wymownie trzaskając drzwiami. Wówczas ponownie spojrzął na Elaine i powiedział dobitnie: - Jesteś okrutną małą suką.

- A ty głupim, upartym kretynem.

Zesztywniał i niczym bokser, który szykuje się do zadania ciosu,

uniósł rękę na wysokość piersi i zacisnął w pięść.

- Nie rozumiesz, co to oznacza? - syknęła. - Masz syna, o którym zdaje się zapomniałeś. Jeśli oni się pobiorą, to bardzo prawdopodobne, że będą mieli dzieci. W jakiej wówczas znajdziesz się sytuacji?

Pomyślałeś o tym?

- Ty chciwa mała zmijo!

Po raz pierwszy tak ją nazwał. Wcisnęła głowę w poduszki.

- Nie zniosę tego - wyszczała wściekle. - Nie może być* dwóch pań w tym domu. A o to jej właśnie chodzi. Powinnam była się domyślić.

Joe wyprostował się, wciągnął głęboko powietrze i poluzował kołnierzyk.

- Masz rację - powiedział, cedząc słowa. - Nie może być dwóch pań w tym domu. Będziemy musieli się przeprowadzić.

I wyszedł z pokoju, zostawiając ją siedzącą sztywno na łóżku i wściekle obgryzającą długi pomalowany paznokiec.

Głupio robisz.

- Wiem, Mike.

- Przecież mnie lubisz, prawda?

- Bardziej niż kogokolwiek.

- Nie sprawiałbym ci kłopotów i nie żądałbym wiele.

- Wiem, ale taka decyzja... hmm, spowodowałyby komplikacje i daleko idące konsekwencje.

- Och, do diabła z nimi! Jak już pewnie wiesz, powiedziałem o tym Joemu, a on mnie poparł. Mógł przecież powiedzieć: „Boże! Czyś

ty do reszty zdziwaczał?", ale nie zrobił tego. Wiedział też, że może przez to wiele stracić, lecz słowem o tym nie wspomniał. Powiedział tylko: „Mam nadzieję, że do tego dojdzie, tato. Odmawiam tylko zwracania się do niej per «macocho». Wyglądasz na zdenerwowaną. Miałaś ostrą przeprawę, co?

- Można to tak nazwać.

- Nie muszę pytać z kim, i założę się, że wiem, o co poszło, bo gdybyśmy rzeczywiście się pobrali, dostałaby porządnie po nosie. Mam rację?

- Tak. Ale oboje zapominamy, że to, co ją niepokoi, niepokoi również Joego.

- Och, do diabła z takim rozumowaniem. - Pokuśtykał do okna, oparł się jedną ręką o parapet, a drugą podrapał po głowie. - Żeby nie przyjąć takiego ładnego gwiazdkowego prezentu. To drugie oświadczyły w moim życiu.

Powoli odwrócił ku niej głowę. Uśmiechnęli się do siebie.

- Chodź tu - poprosił, stając tyłem do okna i dla równowagi opierając się o parapet. Wziął Betty za rękę.

- Chciałbym, żebyś mi coś obiecała, w zamian za ten okrutny żart, jaki mi zrobiłaś.

- Co takiego?

- Nie odejdziesz i nie zostawisz nas. Nie pójdziesz do tej lady Mary, czy jak ona tam się nazywa. Mówiłaś, że w zeszłym miesiącu dostałaś od niej list, w którym pisze, że szuka domu, jak rozumiem niedaleko stąd. Domyślam się, co ona knuje. Starzy ludzie są

samolubni, a ona jest upartym starym próchnem. Dlatego chcę, byś mi jedno obiecała: bez względu na to, jaka będzie atmosfera na dole, nie opuścisz nas.

- Och, Mike, to wygórowane żądanie. Tak czy owak napisałam jej, że spędzę z nią tydzień lub dwa.

- Och, nie mam nic przeciwko temu. Możesz z nią spędzać tyle czasu, ile zechcesz, pod warunkiem że będziesz ten dom traktować jak swój. - Przyciągnął ją do siebie i spojrzał w oczy. - Nie mogę bez ciebie żyć, dziewczyno. Kiedy spoglądam wstecz, życie wydaje mi się puste. Nie potrafię wytłumaczyć swoich uczuć. Namiętną miłość mam już za sobą. Właściwie to wszystkie rodzaje miłości mam już za sobą. Ale z drugiej strony zawsze bardziej ceniłem sobie sympatię od miłości. A czuję do ciebie wielką sympatię. Nie płacz - wyszeptał ochryple, kiedy spuściła głowę. - Chociaż prawdę mówiąc to przyjemnie patrzeć, jak kobieta płacze z twojego powodu. Wiesz co? Ostatnią kobietą, którą widziałem płaczącą, była moja matka. No już, wytrzymaj oczy, bo gdyby Joe cię zobaczył, pomyślałby, że jesteśmy już małżeństwem, a ja skorzystałem z małżeńskich przywilejów i zbiłem cię.

- Och, Mike, Mike! - Wydmuchała nos i dodała: - Właściwie to nie złożyłam ci życzeń.

- Wesołych świąt, dziewczeczko.

- Wesołych świąt, Mike. - Pochyliła się i pocałowała go w usta, przywierając do niego całym ciałem tak mocno, że omal nie stracili równowagi.

Parę sekund później schodziła już po schodach. Powiedział, że wciąż jest mężczyzną, o czym mogła się przekonać w jego objęciach.

Jaka była głupia. Odrzuciła jedyną szansę zostania żoną, panią domu i... doświadczenia bliskości mężczyzny.

Rozdział 13

Czy to nie wspaniały widok?

- Rzeczywiście wspaniały.
- Prawda, że udało rai się z tym domem?
- To doprawdy godne podziwu, lady Mary.
- Tak, wiem o tym. Nie ma we mnie krzty fałszywej skromności.

Jestem inteligentna i zawsze byłam. Mądrze zrobiłam, kupując go. Był umeblowany, udałam więc, że nie chcę tych mebli, bo nie są w moim guście. Wiedziałam, że właściciele nie mają czasu się ich pozbyć i wystawić domu na sprzedaż, bo za dziesięć dni wyjeżdżają do Afryki Południowej. Chcieli go sprzedać w całości, ale nie mieli chętnych. Pewnie uznali, że spadłam im z nieba. Byłam dla nich ostatnią deską ratunku. Na dodatek zostawili mi jeszcze Nancy i panią Bailey, kucharkę. W ten oto sposób stałam się właścicielką Valley View. Mam stąd piękny widok na Teviot. To właśnie napisali w ogłoszeniu. Zamierzam tu spędzić resztę mego życia... oczywiście jeśli znajdę kogoś do towarzystwa.

Betty popatrzyła na starszą panią siedzącą w wiklinowym fotelu na trawniku. Ogród tonął w feerii barw. Za nim ciągnął się pas drzew i krzewów, a na wprost opadała w dół łąka, za którą widać było wstęgę rzeki, niezbyt szerokiej, połyskującej i wijącej się jak węgorz.

Za plecami miały dom. Jedna część dachu obrośnięta była bluszczem, którego różowe liście miejscami już ciemniały, zmieniając kolor na szkarłatny, z drugiej zaś zwieszały się girlandy wisterii, która na wiosnę musiała być obsypane kwiatami.

Od frontu dom miał osiem okien, po dwa z każdej strony drzwi i cztery na piętrze. Wszystkie osadzone były w głębokich niszach. Wnętrze składało się z ośmiu pokoi, nie licząc pomieszczeń kuchennych i długiego poddasza z oknami wychodzącymi na tył domu.

Betty przyjechała tu poprzedniego dnia wieczorem. Powitanie zgotowane przez starszą panią nie tylko wzruszyło ją, lecz także podziałało kojąco na stargane nerwy, nadszarpnięte w ciągu ostatnich miesięcy. Od owego pamiętnego świątecznego poranka nastąpiło znaczne ochłodzenie w stosunkach między nią a Elaine. Wiedziała, że gdyby nie była tak siostrze potrzebna lub gdyby dziecko nie sprawiało kłopotów wychowawczych, a także gdyby nie sprzeciw Mike'a, Elaine już dawno dałaby jej uprzejmą odprawę.

Przed kilkoma tygodniami zachowanie Elaine nagle uległo zmianie. Ściśle mówiąc dwa czy trzy razy wydało się Betty, jakby Elaine chciała ją przeprosić za swoje postępowanie. Raz chwyciła ją za rękę i zaczęła coś mówić, zanim jednak Betty zdążyła zapytać, co się stało, odwróciła się i pobiegła do ogrodu. Nie poszła za nią, bo

doskonale wiedziała, o co chodzi. Elaine podobnie zachowywała się, kiedy była małą dziewczynką. Gdy coś przeszkrobała, nie starała się przeprosić, lecz uciekała i zamykała się w pokoju lekcyjnym. Kiedy w końcu wychodziła z niego po usilnych prośbach i błaganiach, okazywało się, że to ją się przeprasza.

Betty sądziła, że jej zamiar spędzenia dwóch, trzech tygodni z lady Mary Elaine przyjmie z ulgą. Nie okazała tego otwarcie, ale jej zachowanie dobitnie świadczyło, że jest temu przeciwna.

Latem Elaine zaczęła często wyjeżdżać sama do Londynu. Czasami zatrzymywała się u wuja Hughes-Burtona albo u szkolnej przyjaciółki. Betty dziwiło, że Joe nie sprzeciwia się tym wyjazdom, które zazwyczaj trwały dwa, trzy dni. Zostawał wtedy w fabryce do ósmej, dziewiątej wieczór. Zachodził również do Davida i Hazel. Wizyty u nich stały się jeszcze częstsze, od kiedy Hazel urodziła dziecko. Dziwnym trafem było to dokładnie w dwa lata po urodzinach Martina. Ta zbieżność doprowadzała Elaine do wściekłości. Betty przypominała sobie, jak się rozgniewała, kiedy Joe, na widok Hazel siedzącej przed domem z dzieckiem na ręku, zatrzymał samochód przy bramie, wysiadł, wziął dziewczynkę na ręce i przyniósł do samochodu, mówiąc: „Czy ona nie jest śliczna?”

Dziecko Hazel rzeczywiście było śliczne. I karnacją niewiele przypominało ojca.

Musiała jednak przyznać w duchu, że rozumie obiekcje Elaine, jeśli chodzi o przywiązanie okazywane Davidowi i jego żonie przez Joego. Uwzględniając fakt, że on i David wychowywali się razem, i

zakładając, że litował się nad tym człowiekiem, to i tak jego stosunek do tych dwojga był dziwny. Tak jakby ich kochał... jakby kochał Davida. Kiedy po raz pierwszy przyszło jej to do głowy, poczuła zażenowanie. Zrozumiała wówczas, co czuje Elaine.

- O czym myślisz, wpatrując się tak w przestrzeń?

- Och, o niczym... i o wszystkim. Tu jest tak spokojnie.

- Czasami nawet zbyt spokojnie. Ta głupia panna Watkins myślała pewnie, że przyjechałam tu, by umrzeć. Pewnie już szykuje się na pogrzeb.

- Prawdopodobnie wynikało to z troski o panią.

- Troski, ha! Nie powinna nazywać siebie damą do towarzystwa.

Przypomina raczej polityka. Można by uwierzyć, że to ona osobiście przepchnęła tę ustawę o głosowaniu. Któregoś dnia latem zeszłego roku przybiegła, machając gazetą nad głową i krzyknęła: „Możemy to zrobić od dwudziestego pierwszego roku!”

Tu lady Mary chwyciła Betty za rękę.

- Wiesz, co jej powiedziałam? - zapytała z oczami błyszczącymi wesołością. - Zamilcz, kobieto! Masz czterdzieści lat i powinnaś wiedzieć, że możesz to robić w każdym wieku po skończeniu czternastu.

Podskoczyła na fotelu i wybuchnęła głośnym śmiechem. Betty przykryła dłonią usta, nie mogąc się opanować.

Po chwili starsza pani wyprostowała się i ciągnęła tyradę na temat swej dawnej towarzyszki.

- Jej matka była sufrażystką. Prawa dla kobiet, równość i temu

podobne bzdury. Stado głupich bab. Jak można równać się z mężczyzną? Pod względem rozumu każda kobieta przewyższa mężczyznę. Równość! Coś ci powiem, dziewczyno. Mój ojciec był tyranem, a moja matka siała postrach wśród służby.

Tyle że ta służba jego nienawidziła, a ją uwielbiała. Jeśli jakiś służący go nie posłuchał lub też odwrócił się, zanim ojciec go odprawił, dostawał batem. Ojciec potrafił strzelać z bata jak kowboje. Ciekawe, co by powiedział, widząc panią Bailey stojącą przy stole z wypiętą dumnie piersią i mówiącą mi, że jej syn wybiera się do Oxfordu. „Wybiera się do Ruskin College, proszę pani”. Powiedziała to tak, jakby się spodziewała, że będę próbowała go powstrzymać. Miałam ochotę jej odpowiedzieć, że to college dla robotników i nie znajdzie tam ani jednego dżentelmena. Ale mam w sobie wiele cech matki, powiedziałam więc: „Musi być pani bardzo z niego dumna”. A ona odparła: „Czasy się zmieniły, proszę pani. Nikt już nie będzie traktował go z góry”. Wtedy właśnie przypomniał mi się ojciec i zrobiło mi się smutno, bo zdałam sobie sprawę, że rzeczywiście czasy się zmieniły. Za czasów mego ojca nikt nie ośmieliłby się tak mówić do swej pani.

- Jestem pewna, że nie chciała pani obrazić - oznajmiła chłodno Betty.

- Dlaczego zawsze bronisz tych ludzi? Wiesz, pod pewnymi względami jesteś podobna do mojej matki, tylko ona była piękną i pełną uroku... Och! Och! Nie chciałam cię obrazić. Ty również masz w sobie urok. Chociaż nie jesteś piękną, to masz w sobie wiele wdzięku. Ale moja matka miała charakterek. Zresztą oboje mieli.

Walczyli ze sobą jak pies z kotem. Dochodziło nawet między nimi do rękoczynów. - Spojrzała w niebo i mówiła dalej: - Pamiętam jedno takie zdarzenie. Było to po przyjęciu. Irene, moja siostra, i Ned, mój brat, który zginął w Indiach, staliśmy na górnym balkonie. Zawsze wstawaliśmy, kiedy zaczynali się kłócić. Tym razem zaczął ojciec. Napadł na matkę, że flirtowała z jakimś mężczyzną. Pamiętam ją jak dziś. Wybiegła z sypialni z rozwianym włosom i szelmowskim wyrazem twarzy. „Wiesz, co mi możesz zrobić, Henry? - zapytała. - Możesz mnie pocałować w tyłek". A ojciec ryknął: „Nie będę całował tego, co mogę kopnąć!" Zobaczyliśmy, jak unosi nogę i wymierza jej tak potężnego kopniaka w jędrne pośladki, że wyciągnęła się jak długa na ziemi. I wiesz, co wtedy zrobił? Podniósł ją i zaniósł z powrotem do sypialni. Bardzo się kochali. To był szczęśliwy dom. Gdziekolwiek mieszkaliśmy, póki byli razem, w domu gościło szczęście. Nienawidzę fałszywych ludzi, a ty?

Spojrzała na Betty, lecz ona tylko się uśmiechnęła, czekając na dalszy ciąg.

- Sarah, no wiesz, lady Menton, jest właśnie taka. W każdym razie odkąd poślubiła Jamesa. Modlitwy przed śniadaniem, obiadem i herbatą. Kiedy byliśmy w Indiach, była zupełnie inną dziewczyną. Nie była wówczas taką wymuskaną memsahib, o nie. Nie nosiła czterech flanelowych halek, czasami nawet żadnej. Kiedy było gorąco, wspinałyśmy się na wzgórze.

Tu obróciła się twarzą do Betty i chrypliwym głosem zaśpiewała przeróbkę piosenki:

*Gdyby te usta mogły mówić.
Gdyby te wzgórza mogły mówić,
A mężowie mogli zobaczyć,
Cóż to byłby za wspaniały obraz
Niemoralności.*

Wybuchnęły gromkim śmiechem.

- Złośliwa z pani kobieta, lady Mary - stwierdziła Betty.
- Wiem o tym i traktuję to jako komplement. A zmieniając temat, czy chciałabyś się nauczyć prowadzić samochód?
- Umiem już prowadzić samochód. W czasie wojny prowadziłam ciężarówkę.
- Naprawdę? Proszę, proszę. To wspaniała nowina. Zamierzam kupić samochód, a ty pomożesz mi go wybrać i obwieziesz mnie po całej tej pięknej okolicy. Zawsze mi mówiono, że północ Anglii jest nieciekawa. Sprawdziłam to osobiście i oświadczam ci, że możesz sobie zatrzymać południe. Tutejsze tereny są bardzo podobne do mnie.
- Zatoczyła łuk ręką, jakby chciała nią objąć całą północ. - Jest w tym dzikim poszarpanym krajobrazie surowe piękno. Mogłybyśmy pojechać samochodem do Hawick albo do Kelso. A z Kelso przez dzikie wrzosowiska i góry. Byłam tam kiedyś, ich widok zapiera dech w piersi. Nie przypuszczałam, że takie miejsca mogą w ogóle istnieć, a przecież sporo w swoim czasie podróżowałam. Jaki samochód ci się podoba?
- Lady Mary - powiedziała Betty niskim głosem, wolno wymawiając słowa. - Już pani mówiłam. Dwa tygodnie, góra trzy.

- Przez dwa, trzy tygodnie można wiele zwiedzić.
- A co potem z samochodem?
- Zatrudniłabym szofera.
- A gdzie by zamieszkał?

Zapadła cisza, lecz po chwili twarz starszej damy zmarszczyła się w uśmiechu.

- Pozwolę mu spać z Nancy, pod warunkiem że będzie się przyzwoicie zachowywał. W przeciwnym razie dostanie batem - oznajmiła, klepiąc Betty w kolano.

- W takich okolicznościach będzie musiał się podporządkować. - Betty zaśmiała się.

- Czy nie czas na herbatę? - zapytała lady Mary.

- Nie - odparła Betty. - Zostało jeszcze pół godziny. Czas na drzemkę.

- A któż chciałby drzemać? Chcę rozmawiać.

Mimo to odchyliła głowę na oparcie fotela i po kilku minutach już spała.

Betty przyglądała się jej. Suknia, którą starsza pani miała na sobie, była modna przed czterdziestu laty. Takie „kreacje” znajdowało się w kufrach na strychu. Zauważyła, że lady Mary ma zwyczaj wyjmowania siedmiu jednocześnie, po jednej na każdy dzień tygodnia. Potem kolejnych siedem i tak przez miesiąc. Następnie wymieniała je na siedem innych. Twierdziła, że jest bogata. Dlaczego więc tak się ubierała? Może chciała wyglądać inaczej i w ten sposób ściągać na siebie uwagę? Gdyby ubierała się według obecnej mody, byłaby po

prostu jeszcze jedną starszą panią. Oczywiście dopóki nie otworzyłyby ust.

Dlaczego tak ją lubiła? Lady Mary bywała uszczypliwa, a jej wielkopańskie maniery mogły denerwować, jeśli się nie wiedziało, co się za nimi kryje. Ona, Betty, jednak wiedziała: samotność, zmarnowane życie, bystry umysł, który pozwalał starszej pani dostrzegać marność egzystencji, mimo to obawiała się przecież śmierci i potrzebowała opieki i miłości.

Wszystko to Betty mogła jej zapewnić. Dlaczego więc nie miałyby tu zostać? W dodatku lady Mary zabezpieczyłyby ją na przyszłość. Teraz, po trzydziestce, czas będzie płynąć bardzo szybko. Nim się obejrzy, minie czterdziestka, potem pięćdziesiątka. I co wtedy?

W Wigilię Bożego Narodzenia odrzuciła możliwość pogodnej starości i teraz los ofiarowywał jej drugą szansę. Czy znowu z niej zrezygnuje? Jakże inne życie by tu wiodła. Spokojne i ustabilizowane. Nie miałyby też powodów do irytacji. Sposób wyrażania się starszej pani nie przyprawiał jej o irytację, był raczej formą rozrywki. Przede wszystkim zaś nie musiałyby widywać Joego, słuchać go i siedzieć na wprost niego przy śniadaniu.

Czasami miała wrażenie, że wszyscy w domu domyślają się, co do niego czuje. Zdawała sobie jednak sprawę, że to wymysł jej szalonej wyobraźni. Nikt nie mógł o tym wiedzieć. Sama zdała sobie z tego sprawę, dopiero kiedy urodził się Martin.

Co takiego w nim zobaczyła, co poruszyło jej serce już od pierwszego spotkania? Nie była to twarz, chociaż lubiła na nią patrzeć i

obserwować, jak się uśmiecha. A może wyraz oczu? Zazwyczaj pełne ciepła, z wyjątkiem chwil, kiedy się gniewał i płonące w nich światło zmieniało się w chłodną stal. Chociaż nie wyróżniał się specjalnie - ani wyglądem, ani postawą - od innych mężczyzn, to było w nim coś szczególnego. Sekret leżał w jego osobowości. Jedni uważali go za wspaniałego człowieka, inni za wybuchowego, twardego faceta. Wszyscy jednak zgadzali się co do jednego: nie był głupcem. Mimo to, jeśli chodziło o Elaine, był ślepy i głuchy. Czy jednak naprawdę? Odkąd podsłuchiwała ich kłótnię, zaczęła się zastanawiać, czy on nie wie o jej siostrze więcej, niż się wydaje. Może po prostu chciał być ślepy? Kiedyś Mike powiedział, że on nie chce się obudzić.

No i wreszcie Mike. Gdyby zamieszkała z lady Mary, tęskniłaby za nim. Darzyła go uczuciem, które bardzo ją przypominało, choć nie można było nazwać go miłością. W każdym razie nie taką, jakiej pragnęła.

Westchnęła, odchyliła się na oparcie i zapatrzyła w przestrzeń. Przemyśli sobie wszystko przez dwa tygodnie i wtedy podejmie ostateczną decyzję, czy przeprowadzać się do lady Mary, czy nie.

Rozdział 14

Niestety los zmusił ją do podjęcia decyzji już po sześciu dniach.

Siedziały właśnie z lady Mary w salonie i czekały na wynajęty samochód, który miał zawieźć je do Kelso. Starsza pani definitywnie postanowiła kupić samochód. Najodpowiedniejszy dla nich dwóch, jak się wyraziła. Przez dwa dni Betty usiłowała ją odwieść od tej decyzji, ale lady Mary pozostała niewzruszona.

- Skoro nie będziesz nim jeździć, zatrudnię szofera - oświadczyła. - Jakiegoś dżentelmena. W gazecie pełno jest takich ogłoszeń. Dawni oficerowie gotowi są zrobić wszystko, by znaleźć jakieś zajęcie. Dżentelmen, dawniej oficer w takim to a takim regimencie, podejmie się każdej pracy. Nie czytałam ci tego wczoraj wieczorem? Ten kraj zmierza ku upadkowi, a to za sprawą Partii Pracy i wywoływanych przez nią strajków. Za moich czasów każdy miał odpowiednie do swojej pozycji zajęcie. A teraz syn pani Bailey idzie do Oxfordu. Fuj!

Kiedy posłyszały warkot silnika, podniosły się z miejsc.

- Myślę, że będzie padać. Czy naprawdę chce pani jechać? - zapytała Betty, otwierając przed lady Mary drzwi do hallu.

- Nie próbuj mnie od tego odwieść, dziewczyno. I przestań myśleć, że chcę kupić samochód, by cię przy sobie zatrzymać.

Rzuciła Betty groźne spojrzenie, na co ona odpowiedziała równie bezpośrednio.

- Nawet mi to do głowy nie przyszło.

- Kłamczucha.
- Domyślna z pani istota.

Lady Mary zachichotała znacząco. Wyszły przed dom, lecz zamiast szofera stał tam kto inny.

- Joe!
- Witaj, Betty. Dzień dobry, lady Ambers.
- Czego pan chce?
- Ja... przyjechałem zobaczyć się ze szwagierką- odpowiedział

uprzejmie, acz sztywno.

- Jest na urlopie. - Lady Ambers chwyciła Betty za ramię z zamiarem wciągnięcia jej z powrotem do hallu, lecz ona powstrzymała ją delikatnie.

- Wróćmy na chwilę do salonu. Wejdz, Joe.

Głośno protestując starsza pani pozwoliła się poprowadzić do pokoju. Usadowiwszy ją w fotelu, Betty spojrzała na Joego, który zatrzymał się w drzwiach salonu.

- Co się stało? - zapytała cicho.
- Muszę... muszę z tobą porozmawiać.
- Może pan porozmawiać tutaj. Nie mamy przed sobą sekretów.

Ona zamierza tu zostać. Już postanowiła - oświadczyła bez ogródek lady Ambers.

- Lady Mary, proszę.

W odpowiedzi starsza pani chwyciła Betty za rękę.

- Ty nie chcesz tam wracać. Wiem, że nie chcesz. Byłoby ci tu dobrze. Przecież wspaniale się ze sobą rozumiemy, prawda?

- Tak, bardzo dobrze.

- Nie ma więc potrzeby przekonywać cię, abyś tam wróciła i była dla wszystkich służącą. Może pan robić sobie gniewne miny, ale to prawda - oświadczyła, przenosząc wzrok na Joego. - Mam oczy i uszy otwarte. Wielu rzeczy się nasłuchałam, kiedy byłam u Sarah.

Joe wciągnął głęboko powietrze w płuca, po czym spojrzał na Betty.

- Muszę pomówić z tobą na osobności.

- Tak, oczywiście. Przepraszam na chwilę, lady Mary. - Poklepała starszą panią po dłoni. - Mój szwagier nie przyjeżdżałby tutaj, gdyby sprawa nie była poważna.

Lady Ambers odwróciła głowę. Betty wyszła pospiesznie z pokoju i dała znak Joemu, by podążył za nią.

Poprowadziła go po schodach do swego pokoju. Zamknęła za nim drzwi i zapytała:

- Co się stało? Czy coś z ojcem?

- Nie, nie. - Pokręcił głową. - Chodzi o Elaine.

- Co z nią?

Zamknął na chwilę oczy, przygryzł wargę, po czym wyjaśnił:

- Zorientowała się, że znowu jest w ciąży, i postanowiła się jej pozbyć. Aż do wczoraj o niczym nie wiedziałem. Wiedziałem, że bierze jakieś lekarstwo na żołądek. Mówiła, że ma kłopoty z trawieniem. Przez przypadek natknąłem się na list. Kiedy leżała na łóżku cała spocona, otworzyłem szufladę, by podać jej chusteczkę, i wtedy go zobaczyłem. Był od jej szkolnej koleżanki, która pisała, że

załatwiła kogoś, kto może usunąć ciążę. Wpadłem w szal, a kiedy mi powiedziała, że nikt jej od tego zamiaru nie odwiedzie... - Spojrzał w bok. - Zagroziłem, że się z nią rozwiodę i... powiem dlaczego, a także wiele różnych rzeczy. Ostatniej nocy znalazłem ją w łóżku całą we krwi. Sprowadziłem doktora. Ona... musiała próbować wywołać poronienie. Możesz to sobie wyobrazić?

- O Boże!

- Doktor chciał ją zabrać do szpitala, ale się nie zgodziła. Ciągle powtarzała, żebym sprowadził ciebie. Obiecała, że niczego więcej nie zrobi, jeśli przywiozę cię do domu.

- Och, Joe.

- Pojedziesz?

- Naturalnie.

Podszedł do niej i wziął ją za rękę.

- Tęskniliśmy za tobą. Nic się nie układało. Ojciec nie może się pozbierać. Z Ellą znowu były kłopoty. Nie wypełniła polecenia Elaine, a ona zażądała, bym ją zwolnił, ale... ale nie mogłem. Wy tłumaczyłem jej, że u Elli w domu jest już troje bez pracy. Ona nie potrafi ich zrozumieć. To znaczy prostych ludzi. Podejrzewam, że nigdy nie zrozumie. Czemu ty ich rozumiesz, a ona nie?

- Chyba zbyt długo trzymano ją pod kloszem.

Kiwnął głową i uśmiechnął się krzywo.

- Dobrze się stało, że ciebie wcześniej wyjęto.

- Muszę się spakować - powiedziała, cofając niechętnie rękę. -

Czy... mógłbyś zejść na dół i porozmawiać z lady Mary? Spróbuj to

jakoś wyjaśnić. Jeśli... jeśli opowiesz jej o wszystkim, zrozumie.

Wbrew pozorom to naprawdę wyrozumiała osoba.

- Dobrze, powiem jej tyle, ile będę mógł. - Podeszedł do drzwi, po czym zatrzymał się i spojrzał na nią. - Czy... czy zdecydowałaś się tu przenieść?

- Tak, Joe. Zdecydowałam się - odparła, nie patrząc na niego.

- Boże!

Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Po dziesięciu minutach Betty ponownie zeszła do salonu i zastała lady Mary siedzącą sztywno w fotelu. Na jej widok starsza pani nie powiedziała: „Więc wyjeżdżasz”, ani też nie zarzuciła jej pretensjami. Wzięła ją tylko za rękę i przyciągnęła do siebie.

- Rozumiem, że musisz jechać, lecz pamiętaj, że będę czekać na twój powrót. Tymczasem kupię samochód, zatrudnię szofera i pošlę go do ciebie, by przywiózł cię choć na parę dni. Przyjedziesz?

- Przyjadę, lady Mary. I dziękuję, że jest pani taka wyrozumiała.

Pochyliła się i pocałowała ją w pomarszczony policzek. Starsza pani nawet nie drgnęła. Zacisnęła tylko mocno wargi i głośno przełknęła ślinę.

- Jeśli masz jechać, to jedź. Nigdy nie lubiłam łzawych pożegnań.

- Do widzenia, lady Mary. - Betty odwróciła się wolno i wyszła z pokoju.

- Do widzenia pani. I dziękuję za zrozumienie - powiedział cicho Joe.

Kiedy starsza pani została sama, zacisnęła spoczywające na kolanach dłonie i tłumiąc łzy, krzyknęła:

- Do diabła z wszystkimi pustogłowymi, samolubnymi, ciężarnymi kobietami!

Rozdział 15

Drugie dziecko Elaine przyszło na świat ostatniego dnia marca 1930 roku. Kiedy Betty wzięła je na ręce, mimowolnie zadrżała. Jej ewentualną reakcję uprzedził spojrzeniem doktor, który polecił pielęgniarce zabrać noworodka z pokoju.

Na widok córki z piersi Joego wyrwał się okrzyk:

- O mój Boże!

Kiedy minęło dwanaście dni i nikt nie przynosił jej dziecka do pokazania, Elaine wstała z łóżka i poszła do pokoju dziecinnego. Na widok dziewczynki, którą wydała na świat, osunęła się na podłogę zemdlona.

Kiedy po miesiącu dziecko nadal nie poruszało kończynami, doktor stwierdził ponad wszelką wątpliwość uszkodzenie mózgu.

Opieka nad niemowlęciem spadła na Betty. Kiedy otarła brzegiem pieluszkiającą wargę i kąciaki małych skośnych oczek tkwiących w wielkiej głowie i delikatnie obmyła prawą nóżkę, przypominającą wyglądem kawałek skręconej liny, wiedziała, że

dopóki dziecko będzie żyło, ona nie odejdzie z tego domu.

Jedyną osobą, w której dziewczynka nie budziła wstrętu, był Martin. Stawał przy łóżeczku i mówił do niej, witając ją zawsze słowami: „Cześć, mała dziewczynko”.

Nie została ochrzczona i nie nadano jej imienia.

- Miły dzidzius - powiedział pewnego dnia Martin do Betty.
- Tak - odparła. - To miła mała dziewczynka. Jest twoją siostrzyczką.

Od tej właśnie rozmowy została nazwana „małą dziewczynką”.

Wkrótce rozeszło się po okolicy, że elegancka żona Remingtona urodziła potworka. Niektórzy z robotników słyszeli już o debilowatych dzieciach, bo z pewnością to dziecko było debilem. W Bog's End mieszkało kilka osób nie bardzo rozgarniętych, ale nie były debilami. Takie rzeczy zdarzały się wysoko urodzonym.

W ciągu następnych miesięcy atmosfera w domu uległa zmianie. Wszystkich ogarnęło przygnębienie. Tymczasem na pierwszym piętrze trwała wojna.

Joe rozumiał uczucia Elaine, bo sam ich doświadczył, kiedy po raz pierwszy zobaczył dziecko. Toteż przez sześć miesięcy znosił cierpliwie wybuchy rozpaczy. Pogodził się też z nagłą zmianą jej stosunku do syna. Do tej pory zajmowały się nim Betty i Nellie, teraz Elaine prawie go nie odstępowała. Kiedy jednak postanowiła, że syn będzie spał w ich pokoju, zaprotestował. Nie zgodził się nawet, by Martin miał własny pokój. Martin jest jedyną osobą w domu, która traktuje ich córkę jak normalną osobę, oświadczył. Nie dostrzega

żadnej różnicy między nią a innymi dziećmi.

Nie oskarżył jeszcze Elaine o to, że to ona ponosi winę za kalectwo dziewczynki, kiedy bowiem zapytał doktora o przyczynę, otrzymał niejasne wyjaśnienie, że takie wypadki zdarzają się w wielu rodzinach i nikt tak naprawdę nie wie, co jest powodem kalectwa.

Stało się to dopiero w marcu 1931, kiedy dziecko skończyło rok.

Do kłopotów domowych doszły jeszcze problemy w fabryce. Zamówienia na skrzynie spadły prawie do połowy w stosunku do 1927 roku. W kraju panowało bezrobocie. Prawie dwa miliony ludzi pozostawały bez pracy. Joe musiał zwolnić sześciu robotników i wszystko wskazywało na to, że przed upływem miesiąca zwolni kolejnych sześciu, jeśli nie uda mu się otrzymać tego zamówienia z Yorku.

Przed kilkoma laty tylko kopalnie przeżywały kryzys, teraz objął on cały przemysł.

Już ten jeden kłopot wystarczał za wszystkie inne, tymczasem Joe musiał jeszcze stawić czoło żonie i tragedii w postaci dziewczynki leżącej nieruchomo w pokoju dzieciennym. Kiedy wrócił do domu o wpół do siódmej, dowiedział się od Elli, że pani pojechała do Newcastle.

- Naprawdę? Czy zamówiła taksówkę?
- Tak, proszę pana.
- Panna Betty z nią nie pojechała?
- Nie, proszę pana... Panna Betty jest w pokoju dzieciennym.
- Dziękuję, Ello. - Nadal mówił do niej: Ella.

Wszedł po schodach na górę i zajrzał do pokoju dzieciennego.

- Witaj, Joe - powiedziała Betty, pochylając się nad łóżeczkiem.

- Ella powiedziała mi, że Elaine pojechała do Newcastle

-oznajmił zamiast powitania.

- Tak. Zdecydowała się nagle dziś po południu.

- Nie chciała, żebyś z nią pojechała?

- Nie. - Otarła łyżeczkę o brzeg miski i ostrożnie włożyła ją do ust dziecka. Potem zmoczyła flanelkę w misce z wodą i dodała: - To dobry znak.

- Tak, z pewnością. Mówiła, po co tam jedzie?

Betty wytarła buzię dziewczynki i podciągnęła siatkę w łóżeczku.

Uniemożliwiła ona Martinowi wchodzenie do niego. Dopiero wtedy Betty odwróciła się w stronę Joego.

- Nie, nie mówiła - odpowiedziała wolno.

- Może chciała po prostu przejść się po sklepach.

- Pewnie tak.

Patrzyli na siebie w milczeniu. On czekał, że Betty jeszcze coś powie, ona zaś myślała: Elaine pewnie sama poinformuje go o tej rozmowie telefonicznej. Jeśli nie, to ja też będę milczeć.

- Jak ojciec?

- Ma chandrę. Próbowałam namówić go, by zszedł na dół.

Zbyt długo jest sam, a ja... ja nie mogę chodzić tam tak często, jak bym chciała.

- Wiem, Betty.

Zdziwiła się, gdy wziął ją za rękę i powiedział:

- Co byśmy bez ciebie zrobili? Powiadają, że życie czasami nagradza człowieka. Ty właśnie jesteś dla nas wszystkich taką nagrodą.

- Och! - Cofnęła gwałtownie ręce. - Nie przyprawiaj mi skrzydeł. Robię to, bo tak mi odpowiada. Nie potrafiłabym inaczej. Jestem pod tym względem egoistką. - Ruszyła spiesznie do drzwi.

- Przepraszam, Betty - powiedział lekko zakłopotany. - Ja tylko chciałem powiedzieć... jaki jestem ci wdzięczny.

Zatrzymała się i odwróciła w jego stronę.

- Wiem - powiedziała łagodniejszym tonem. - Przepraszam za te ostre słowa. Jestem... jestem dziś trochę zdenerwowana.

- Po prostu jesteś zmęczona. - Podeszedł do niej, - Powinnaś odpocząć. Pojedź do lady Mary na weekend i powiedz jej, że to ja cię wysłałem. Może dzięki temu zaskarbię sobie jej sympatię. Już raz jej podpadłem, kiedy przyjechałem cię zabrać, lecz drugiego razu pewnie by mi nie wybaczyła.

- Och nie. Ona nawet cię lubi. - Naśladowując głos lady Mary, powiedziała: - Jesteś dość pospolitym, lecz miłym gościem. A to, zapewniam cię, wysoka ocena. Gdybyś słyszał, co mówi o swoich krewnych, na przykład o lordzie Mentonie. Ale może rzeczywiście skorzystam z twojej propozycji. Idziesz na górę?

- Tak.

- To zabierz przy okazji tacę, dobrze? Zaoszczędzisz Jane chodzenia.

- Dobrze.

Wyszli razem z pokoju: Betty do jadalni, a potem do kuchni, by

sprawdzić, czy wszystko gotowe do kolacji, a Joe na poddasze. Należało to do domowych zwyczajów.

Taksówka podjechała pod frontowe drzwi, w momencie kiedy rozbrzmiał gong na kolację. Joe właśnie schodził na dół. Otworzył Elaine drzwi.

- Mam nadzieję, że nie kazałam wam czekać z kolacją - powiedziała.

- Nie, nie. - Uśmiechnął się do niej. - Właśnie usłyszeliśmy gong. Powiem Mary, żeby zaczekała, póki nie będziesz gotowa... Przyjemnie spędziłaś czas?

- Tak, bardzo przyjemnie.

Minęła go i ruszyła na górę po schodach. Zatrzymał się, po czym podążył za nią.

- Lepiej się czujesz? - zapytał, kiedy znaleźli się w sypialni.

- Trochę lepiej.

Zdjęła płaszcz i kapelusz, następnie usiadła przed lustrem i wsunęła grzebień we włosy.

- Poczuję się dużo lepiej, kiedy przystaniesz na to, co zamierzam zrobić.

Spojrzał na nią w lustrze i zapytał cicho:

- A co zamierzasz zrobić?

- Umieścić ją w zakładzie - wyjaśniła, smarując usta kremem.

- Umieścić ją w zakładzie?! - Zmarszczył czoło, jakby się zastanawiał, o kim ona mówi, i powtórzył bezwiednie: - Umieścić ją w zakładzie?

- Tak. - Odwróciła się, zacisnęła dłonie na kolanach i spojrzała Joemu w oczy. - Pozwól mi to zrobić. Widziałam się dziś z doktorem Rice'em, który prowadzi zakład dla takich po... dzieci, pod Newcastle. Powiedział, że przyjedzie porozmawiać z tobą i... i obejrzeć dziecko.

Nie poruszył się, wyraz jego twarzy też pozostał nie zmieniony, tylko oczy mu pociemniały.

- Dlaczego nie nazwiesz jej „potworem”? - zapytał podejrzenie spokojnie. - Zamierzasz więc wyrzucić ją z domu, umieścić w zakładzie? - Cofnął się na środek pokoju i ryknął: - O nie! Nie zrobisz tego! Choć raz w życiu poniesiesz za coś konsekwencje. Jesteś za nią odpowiedzialna w równym stopniu jak ja... To twoja córka.

Skoczyła na równe nogi.

- Ona nie jest moją córką! - krzyknęła z wściekłością. - Nie uważam jej za moją córkę. Ona nie jest człowiekiem. Od początku była pomyłką. Już wtedy o tym wiedziałam. Trzeba było mi pozwolić się jej pozbyć.

- Robiłaś, co mogłaś, i to, kim jest teraz, zawdzięcza właśnie twoim wysiłkom. Nie obchodzi mnie, co mówią lekarze, że w każdym małżeństwie może to się zdarzyć. To, co zrobiłaś sobie, zrobiłaś jej. To twoje dziecko i pozostanie w tym domu, dopóki będę miał tu coś do powiedzenia.

- Jesteś nieludzki. Jesteś prawie taki sam jak ona.

- No to jest nas dwoje.

- Jesteś niegodziwy, prostacki, nieokrzesany... Patrzył na nią bez słowa.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła. - Brzydzę się tobą! Mięśnie twarzy mu się napięły, jakby go ktoś uderzył.

- Teraz przynajmniej wiem, co o mnie myślisz. A za chwilę ci powiem, co ja myślę. Tymczasem przekażesz doktorowi Rice'owi, by trzymał się z dala od tego domu, bo jeśli wsadzi tu nos, każę Betty wyjechać. Nie myśl, że będzie tego żałować, jest wykończona. Wtedy ty zajmiesz się swoją córką. Jeśli nie, znajdzie się inne wyjście. Ale o tym pomówimy później.

Po tych słowach zniknął w łazience. Kilka minut później szedł już na górę do ojca i omal nie zderzył się z Betty, która właśnie stamtąd wychodziła. Mike stał na środku pokoju, podpierając się laską.

- O co tym razem poszło? - zapytał.

Joe wytarł twarz chusteczką i głośno wydmuchał nos.

- Była w Newcastle u niejakiego doktora Rice'a. Chce umieścić dziecko w zakładzie.

- Och! - Mike uniósł w górę laskę, przyjrzał się jej i powtórzył: - Och! - Następnie, mierzając Joego spojrzeniem, dodał: - W obecnych okolicznościach wydaje się to sensowne.

- Co takiego?!

- Nie ciskaj się, chłopcze. Rozumiem, co czujesz, ale mogę zrozumieć i jej punkt widzenia.

Joe patrzył na ojca oniemiały. Potem przeniósł wzrok na Betty, jakby szukał u niej poparcia, lecz ona spuściła oczy.

- Tak, ja również ją rozumiem - powiedziała. - Z pewnością chodzi jej o Martina i o to, jak się będzie czuł, kiedy dorośnie.

- Jej chodzi tylko i wyłącznie o siebie - odparował Joe. - Ile razy okazała zainteresowanie dzieckiem, możesz mi powiedzieć?

- Nie wiem - rzuciła gniewnie. - Za to wiem, że musicie oboje spojrzeć na tę sprawę z różnych punktów widzenia.

- Powiedz mi, Betty, gdyby to dziecko było twoje, czy umieściłabyś je w zakładzie i czekała, aż umrze, co może stać się jutro, za rok albo za dziesięć lat?

Spojrzała w jego pełną napięcia twarz, zamrugła powiekami i ruszyła w stronę drzwi.

- Ono nie jest moje - powiedziała. - Więc nie mogę ci na to odpowiedzieć.

Ojciec i syn przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Ona ma rację, chłopcze - powiedział w końcu Mike.

Joe podszedł do fotela, usiadł na nim i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie mógłbym tego zrobić - powiedział stłumionym głosem. - Nie mógłbym.

W końcu wyprostował się i spojrzał na ojca, który zajął swoje miejsce przy oknie.

- Rozmawiałem wczoraj z Jackiem Farrowem - wyznał. - Mają dziecko dotknięte mongolizmem. Powiedział, że nigdy nie byli tak szczęśliwi jak teraz. Ono bardzo ich do siebie zbliżyło, a pozostałe dzieci świata za nim nie widzą.

- Tak, tak, słyszałem o tym, ale twoja córka nie jest mongolem, Joe. Pytałem lekarza, jak ją można sklasyfikować. Powiedział, że nie można jej zaliczyć do żadnej kategorii. Z punktu widzenia medycznego

ona jest nikim.

- O święci pańscy! - wykrzyknął Joe, zrywając się z miejsca i odwracając głowę, jakby uciekał przed czymś przerażającym.

- Możesz sobie krzyczeć - oznajmił Mike - ale musisz spojrzeć prawdzie w oczy i zrozumieć Elaine. Jednego nie wolno ci zrobić - dodał już nieco spokojniej. - Pozwolić, aby dziecko stało się przyczyną niezgody między wami. Oczywiście jeśli nadal coś do niej czujesz, a czujesz?

Joe patrzył na ojca, lecz słyszał głos Elaine: „Jesteś nikczemny, jesteś prostacki, nieokrzesany”. Czy coś nadal do niej czuje? Nie było potrzeby o to pytać, bo już sam jej widok go rozpalał. Pragnął się w niej zatracić, zedrzeć tę warstwę ogłady i posiąść kobietę, która, jak sądził, czekała, by ją odkryć, kobietę dojrzałą, która pewnego dnia się objawi... Czy ją kochał? Walczył z nią, doprowadzał do wściekłości, lecz jednocześnie... tak, kochał. Jutro, a może nawet dziś wieczór, przyjdzie do niej i powie, jak mu jest przykro. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że nigdy nie spełni jej żądań, zarówno jeśli chodzi o dziewczynkę, jak i o mieszkańców Chatki, do których pałała nie słabnącą nienawiścią.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju, nie odpowiadając na pytanie Mike'a.

Rozdział 16

Bardzo często w ciągu minionego roku, kiedy nie tylko Elaine, lecz także Joe i Mike zasypywali ją bezsensownymi żadaniami, zastanawiała się, w jaki sposób udało jej się zachować zimną krew. Gdyby nie lady Mary, nie byłaby w stanie znieść tego wszystkiego.

Fizycznie nic jej nie dolegało, lecz dawała o sobie znać dwudziestoczterogodzinna opieka nad dziećmi. Nellie bardzo jej pomagała, lecz nie lubiła zajmować się dziewczynką. Oświadczyła, może robić wszystko przy paniczku Martinie, ale nie przy niej.

Mike, którego stan zdrowia znacznie pogorszył się w zimie, wymagał prawie tyle samo opieki co dziecko.

- Przyjdź na górę odpocząć - mawiał. - Dasz wytchnienie swoim nogom.

Tymczasem zamiast odpoczywać masowała mu plecy i ramiona i pilnowała, by wykonywał ćwiczenia palców rąk i nóg, które zalecił mu doktor. Nie miał nic przeciwko zabawom z piłką, lecz głośno protestował, kiedy musiał uchwycić ołówek palcami u nóg. Często grywała też z nim w karty. Po całym dniu pracy miała ochotę wrócić do swego pokoju i wyciągnąć się na łóżku, lecz na myśl o tym, że Mike siedzi sam na górze, szła do niego.

Niepokoił ją stan Elaine, która zamknęła się w sobie i chodziła wiecznie nadąsana. Nigdy nie wypowiedziała słowa na temat dziecka leżącego nieruchomo w dzieciennym pokoju. Nigdy tam nie zaglądała i

pilnowała, by syn spędzał tam jak najmniej czasu. Okazywała chłopcu wiele uczucia, lecz wszyscy wiedzieli, że robiła to, by odciągnąć go od siostry.

Jakie były stosunki między małżonkami, Betty mogła się jedynie domyślać. Nie słyszała, żeby się kłócili, sądząc jednak po wyrazie twarzy Joego, sytuacja nie była najlepsza.

Natomiast wobec niej Joe miał pewne oczekiwania. Kiedyś namawiał ją na odpoczynek i odwiedziny u „starej przyjaciółki”, lecz przez ostatnich pięć miesięcy nie wspomniał o tym ani razu. Jakby chciał, żeby cały czas spędzała w pokoju dzieciennym. Po powrocie z fabryki wchodził tam, stawał przy łóżeczku i patrzył na dziewczynkę. Czasami brał ją za bezwładną rączkę lub odwracał jej główkę tak, by patrzyła na niego. Innym razem przesuwiał palcem po zajęczej wardze, po płaskich policzkach i wielkiej głowie. W takich chwilach, kiedy dłużej niż zwykle stał przy łóżeczku, Betty wyczuwała jego ból i współczucie, a kiedy odwracał ku niej twarz i dostrzegała w jego oczach głęboki smutek, serce ścisnęło jej się z rozpacz.

Ciociu Bett.

- Tak, kochanie?
- Kiedy mała dziewczynka będzie mogła się bawić? Wchodzili razem po schodach na górę.
- Jeszcze nie teraz. Najpierw musi nabrać sił.
- A kiedy to będzie?
- Może w przyszłym roku.
- Na Boże Narodzenie, kiedy przyjdzie święty Mikołaj?

- Tak, kiedy przyjdzie święty Mikołaj.
- Chciałbym, żeby się ze mną pobawiła.
- Ale ona jest chora.
- Czemu nie chce ze mną rozmawiać?
- Bo nie umie mówić.
- To mógłbym ją nauczyć.

Betty otworzyła drzwi do dzieciennego pokoju.

- Tatusiu! Tatusiu! - krzyknął Martin na widok ojca. Joe otworzył ramiona i chwycił chłopca w objęcia.

- Nie wiedziałam, że wróciłeś. Nie słyszałam samochodu - powiedziała Betty.

- Złapałem gumę tuż przy bramie. David już się tym zajął.

- Tatusiu, tatusiu. - Chłopiec odwrócił jego twarz ku sobie, - Ciocia Bert mówi, że mała dziewczynka będzie mówić w przyszłym roku i będzie się ze mną bawić. Ale ja chcę teraz się z nią pobawić.

Oparł się o metalową siatkę i wyciągnął rączkę w stronę dziecka. Joe pozwolił mu dotknąć twarzy dziewczynki, po czym uniósł chłopca w górę i postawił na ziemi. Lecz Martin chwycił za siatkę i zaczął szarpać.

- Połóż ją na dywanie, tatusiu! Połóż ją na dywanie!

- Nie, Martin. Zostaw. Przestań szarpać.

Joe uwolnił jedną małą rączkę, lecz chłopiec natychmiast zacisnął na metalowej poręczy drugą.

- Dobrze, zgoda - odezwała się Betty. - Jeżeli będziesz greczny, położę ją na dywanie. Ale tylko na chwilę.

- Sądysz, że to dobrze? - zapytał Joe stłumionym głosem.
- Nikomu nie zrobi to krzywdy, ani jej, ani jemu - odparła równie cicho. - Wkrótce przestanie się nią interesować. To cud, że jeszcze mu się nie znudziła.

Joe usunął się na bok i patrzył, jak Betty opuszcza siatkę i bierze na ręce bezwładne ciało.

- Połóż poduszkę na dywanie, dobrze, Joe?

Chwilę później jego mała córeczka leżała na dywanie. Wyglądała niczym bajkowy stwór. Obok niej klęczał Martin z wyrazem zachwytu na twarzy, niczym mały bożek. Wyglądali jak Piękna i Bestia, tylko on był Piękna, a ona Bestia.

Joe nie był w stanie znieść tego widoku. Odwrócił się gwałtownie i chciał wyjść z pokoju, lecz zatrzymał go głos Betty:

- Joe!
- Tak? - Stał odwrócony do niej plecami.
- Chciałabym wyjechać na ten weekend.
- Dobrze - odparł po chwili wahania. - Zajmę się wszystkim.
- Nie ma takiej potrzeby, przecież wiesz. Nellie da sobie radę i

Jane też pomoże.

- Tak, wiem, ale mimo to będę tutaj.
- Muszę odpocząć, Joe. Odwrócił się i spojrzał na nią.
- Oczywiście, Betty - powiedział miękko. - Przecież wiem. Zbyt dużo od ciebie żądam. Ale... nic na to nie poradzę. Czuję, że nie mogę jej zostawić samej. Tak jakby ona... mówiła mi, że nie chce zostać sama. To głupie, wiem, ale tak jest.

Poczuła, jak coś ją ściska w gardle. Otworzyła usta, lecz nie mogła mówić. Kiedy wyszedł z pokoju, położyła dłoń na piersi dziewczynki. Jej serce biło równie niespokojnie jak jej własne. Jak to wszystko się skończy? Bez przerwy zadawała sobie to pytanie. I nie chodziło jej tylko o dziecko. Z rozmyślań wyrwał ją głos Martina.

- Dlaczego ta mała dziewczynka tak śmiesznie wygląda, ciociu Bett? Ona nie jest taka jak inne małe dziewczynki. Ma śmieszne usta i jej oczy nie są proste.

Dopiero co powiedziała Joemu, że Martin wkrótce się nią znudzi. Najwidoczniej po raz pierwszy zobaczył ją taką, jaka była naprawdę, i wydała mu się nagle bardzo dziwna.

Podniosła dziecko z podłogi, włożyła do łóżeczka i podciągnęła siatkę. Kiedy się odwróciła, Martin stał na środku pokoju i patrzył na nią z powagą w oczach.

- Nawet jeśli jest śmieszna, to i tak chcę się z nią bawić, ciociu Bett - oznajmił, jakby czytał w jej myślach.

Rozdział 17

Joe wszedł do salonu i spojrział na Elaine, która siedziała z pismem na kanapie. Na kominku płonął ogień. Kwietniowy wieczór był chłodny. Zeszłej nocy przyszedł mróz i wszystko wskazywało na to, że tej nocy również pomrozi.

Podszedł bliżej i stanął tyłem do kominka. Uniosła głowę, kiedy wchodził do pokoju, lecz zaraz powróciła do przerwanej lektury. Wygląda szczupło i blado, pomyślał. Z pewnością cierpi równie mocno jak on, choć zupełnie inaczej. Dlaczego nie mogą wspólnie dzielić tego cierpienia? Skończyła dwadzieścia sześć lat, a wyglądała jeszcze piękniej, niż kiedy się poznali. Właściwie to wcale się nie zmieniła. Pozostała tą samą dwudziestodwuletnią dziewczyną a nawet dwudziestolatką czy osiemnastolatką.

- Przykro mi, że muszę wyjść - powiedział miękko. - Zupełnie zapomniałem o tym zebraniu, kiedy pozwoliłem Betty wyjechać.

Uniosła wzrok.

- No to co? Przecież nie jest służącą. Nie możesz jej zabraniać czy pozwalać wyjeżdżać.

Zacisnął zęby.

- Wcale tak nie myślałem - powiedział wolno. - Doskonale wiesz, o co mi chodzi.

Ponownie utkwiała wzrok w czasopiśmie, a on zmierzył ją twardym spojrzeniem.

- Zamierzamy zrobić George'a Baileya dyrektorem. Chyba ci o tym mówiłem.

Nie wykazała żadnego zainteresowania, mówił więc dalej, jakby czuł się w obowiązku bronić swego brygadzysty.

- To dobry człowiek. Od lat ciężko dla nas pracuje. Zasluguje na to stanowisko. - Spojrzał na zegarek. - Muszę już iść. Zajmie mi to najwyżej dwie godziny.

Podszedł do kanapy, usiadł obok Elaine, wziął ją za rękę i dotknął ustami jej dłoni.

- Elly, Elly - wymruczał miękko, prosząco. Odwróciła głowę.
- Spóźnisz się na zebranie - powiedziała bezbarwnym głosem.
- Elly. Spójrz na mnie. - Delikatnie odwrócił ku sobie jej twarz i ujął ją w dłonie. - Spróbujmy jeszcze raz - powiedział stłumionym głosem. - Jesteśmy sobie potrzebni. Ja... czuję się bez ciebie taki samotny.

- A czyja to wina?
- Moja, wiem, ale przysięgam, że to się więcej nie powtórzy. Są środki i sposoby, by temu zapobiec. Nawet na trwałe. Podejmę odpowiednie kroki. Zrobię wszystko, byśmy znowu byli razem. Nie mogę tak dalej żyć.

Spuściła wzrok.

- Idź na to zebranie. Później o tym porozmawiamy.

Pochylił się i ukrył twarz w zagłębieniu jej szyi. Następnie pocałował ją w usta, przesunął dłonią po prostych lśniących włosach i wstał z kanapy. Przez chwilę patrzył na nią, uśmiechając się czule, po

czym odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Kiedy usłyszała odjeżdżający samochód, wstała z kanapy, wyłączyła lampkę stojącą na stoliku i podeszła do okna. Zapadał zmierzch, a na niebie pojawił się księżyc w pełni. Wróciła na kanapę i chwilę siedziała, wpatrując się w ogień. Oczekała, aż w pokoju zapadnie ciemność, po czym wstała, wyszła na korytarz i ruszyła schodami na górę.

Nie poszła do sypialni. Minęła pokój dziecienny, choć zatrzymała się przy nim na chwilę. Dochodziła stamtąd krzątania Nellie i głos Martina. Chłopiec powinien już dawno spać. Przeszło godzinę temu Nellie przyprowadziła go do salonu, by pocałował ją na dobranoc.

Weszła po schodach na poddasze i zapukała do pokoju Mike'a. Był pusty, zaraz jednak Mike pojawił się w drzwiach łazienki, ubrany w szlafrok.

- Przyszłam zapytać, czy czegoś nie potrzebujesz.
- Nie, nie. Mam wszystko, czego mi trzeba. Usiądź, proszę. Jak się czujesz?

Ne ruszyła się z miejsca.

- Jak zwykle.
- Nie ma więc żadnej poprawy.
- A czego się spodziewałeś?
- Czego się spodziewałem? - Przyglądał się jej przez chwilę. - Skoro pytasz, odpowiem. Myślę, że powinnaś pogodzić się z sytuacją i powiedzieć sobie: Stało się, trudno, ale nie będę się załamywać. Muszę żyć i pomóc żyć Joemu... Nie ty jedna cierpisz, wiesz?

- Zdaję sobie z tego sprawę.
- Skoro tak, to musisz sobie powiedzieć, że to jeszcze nie koniec świata. Takie rzeczy się zdarzają i trzeba umieć je znieść. Głową muru nie przebijesz. Moja matka tak mówiła.

Skrzywiła się lekko.

- Naprawdę niczego ci nie trzeba?
- Nie. Mam wszystko, dziękuję. Joe pojechał do fabryki?
- Tak, na zebranie.
- No właśnie. Ma tam trochę kłopotów. Chce wprowadzić George'a Bailey'a do zarządu. Oczywiście to tylko manewr dla zachowania pozorów, by ludzie myśleli, że wszystko idzie dobrze, kiedy tak naprawdę jest źle. Jeśli wkrótce nie dostaną więcej zamówień, trzeba będzie jednak jakoś utrzymać płace na obecnym poziomie. Widzisz, kłopoty, jak nieszczęścia, zawsze chodzą parami. Joemu bardzo potrzebne jest wsparcie. Ze mnie nie ma żadnego pożytku, więc wszystko zależy od ciebie.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, po czym Elaine powiedziała:

- Skoro niczego nie potrzebujesz, to dobranoc.
- Dobranoc.

Wróciła do swojego pokoju, zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie i zacisnęła dłonie w pięści.

Dopiero po dziesięciu minutach poczuła, jak napięcie powoli ustępuje. Rozebrała się, włożyła nocną koszulę ozdobioną czarną koronką i czarny szlafroczek. Potem poszła do saloniku i położyła się

na szeszlunku przy kominku. Dom wydawał się taki cichy i pusty. Duffy i kucharka byli w kuchni. Mike u siebie na poddaszu. Martin spał w dzieciennym pokoju. O tym drugim dziecku nawet nie pomyślała. Jane miała wychodne, a Nellie z pewnością zeszła do kuchni na kolację i pogawędkę. A gdzieś tam na północy Betty gawędziła z tą straszną kobietą.

Wszyscy mieli z kim rozmawiać, tylko nie ona. Siedziała samotnie i nikt jej nie rozumiał, a zwłaszcza mąż. Prosił, żeby znowu byli razem. Och, wiedziała, co to oznacza, i ani przez chwilę nie wierzyła w jego zapewnienia, że nie uczyni jej znowu brzemienną. Oszukał ją już dwa razy - zbyt wielką wagę przywiązywał do swej męskości, by dotrzymać obietnicy. Obiecałby wszystko, byle tylko ponownie znaleźć się w jej łóżku. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: ona też tego chciała, bo potrzebowała jego uczucia. Pragnęła być pieszczona, lecz wcale nie chciała tego, co on nazywał miłością, bo taka miłość przyprawiała ją o mdłości. Tak było od początku. Czy czuła to samo w stosunku do Lionela? Nie, z pewnością nie. Między Lionelem i Joem istniała ogromna różnica. Joe był ordynarny i grubiański jak jego ojciec.

Przeszła wolno do sypialni. Ta dziewczyna Nellie nie przygotowała łóżka. Miała wypełniać obowiązki Jane pod jej nieobecność. Powinna to zrobić, zanim zeszła na kolację. Elaine zbliżyła się do okna z zamiarem zaciągnięcia zasłon. Księżyc świecił jasno. Ogród wyglądał tak tajemniczo, romantycznie. Romantycznie! Zmarszczyła brwi. Kiedyś przeżyła romans... lecz teraz nic jej nie zostało.

Chwyciła za zasłonę i wtedy zwrócił jej uwagę jakiś ruch przy domu skąpanym w księżycowym świetle. Ktoś przebiegł pod okapem w stronę pobliskiego wiązu. Zgasiła światło i przytknęła twarz do szyby.

Coś podobnego! To ta dziewczyna Nellie z mężczyzną. Czują się do siebie. Jak ona śmie! Kolacja, a jakże! Tak jest pewnie co wieczór. Niech no tylko przyjdzie na górę.

Odwróciła się od okna. Dzieci zostały same. Nigdy dotąd nie myślała o nich w liczbie mnogiej. Dla niej było tylko jedno dziecko - Martin.

Miała wrażenie, że stoi tak całą wieczność. Serce waliło jej, jakby chciało wyskoczyć z piersi. W końcu opanowała się i spojrzała w górę - Mike był w swoim królestwie na poddaszu. Małżeństwo Duffych w kuchni. Duffy źle słyszał i nigdy nie wchodził na górę, jeśli nie musiał, a pani Duffy była na to zbyt gruba i za stara. W tym domu nigdy jeszcze nie było tak pusto, a zwłaszcza na tym piętrze.

Prawie pofrunęła z sypialni do dzieciennego pokoju. Kiedy stanęła bez tchu przy łóżeczku, nie mogła sobie przypomnieć momentu otwierania drzwi.

Wyteżając wzrok z powodu nikłego światła, jakie dawała nocna lampka z czerwonym abażurem, spojrzała w stronę, gdzie spał jej syn. Leżał na boku, z jedną rączką na twarzy. Palce dłoni miał szeroko rozsunięte.

Przez chwilę stała nieruchomo i obserwowała go. Potem przeniosła wzrok na córkę. Opuściła kratę i bezszelestnie przeszła na

drugą stronę łóżeczka. Następnie wsunęła dłonie między pręty i złapała za materac... Zaraz jednak przycisnęła dłonie do uszu, by nie słyszeć głuchego uderzenia ciała o podłogę...

Jak we śnie wróciła do sypialni i podeszła do okna. Nellie wciąż stała pod drzewem uwięziona w ramionach mężczyzny. Elaine obserwowała ich przez prawie dwie minuty, po czym odwróciła się od okna. Nie czuła wyrzutów sumienia. Wmówiła sobie, że postąpiła słusznie i zrobiła to, co doktor, Joe lub ktoś inny powinni zrobić, zanim dziecko zaczęło oddychać.

Ale co będzie z Martinem? Przecież nikt go nie będzie winił za to, że chciał pobawić się z siostrzyczką. Słyszała, jak Nellie mówiła Jane, że Betty na prośbę Martina znowu położyła dziś dziewczynkę na dywanie. Nikt nie będzie obwiniał za „ten wypadek” Martina.

Ponownie wyjrzała przez okno. Zakochana para zniknęła. Przeszła do saloniku i utkwiała spojrzenie w drzwiach. Kiedy usłyszy, że dziewczyna idzie korytarzem, otworzy je i stanie przed nią twarzą w twarz.

Zaskoczyło ją własne opanowanie. Jednak w chwilę potem mimowolnie uniosła ręce do gardła, kiedy usłyszała rozdzierający krzyk. Nie dziewczyny, lecz syna.

Betty wróciła do domu następnego dnia rano po telefonie Joego. Lady Ambers, zgodnie ze swą obietnicą, kupiła samochód i zatrudniła szofera. Betty zaprowadziła go do drzwi kuchennych.

- Wejdz do środka. Za chwilę do ciebie przyjdę - powiedziała i wbiegła frontowymi drzwiami do hallu.

Ella schodziła właśnie ze schodów i na widok Betty wykrzyknęła:

- Och, panienko! To było straszne.

Z przyjemnością pierwsza przekazałaby jej szczegóły, lecz w tym momencie z jadalni wyszedł Joe. Bez słowa wziął ją pod rękę i poprowadził do salonu.

- Jak to się stało? - zapytała, zdejmując kapelusz i odwracając się, by Joe pomógł jej zdjąć palto.

- Martin musiał spuścić siatkę - wyjaśnił. - Jak to zrobił, jeden Bóg wie. Nie mógł wejść na taboret, bo stał w pokoju Nellie. Wiesz, że zawsze go zabieramy.

- A gdzie była Nellie?

- W kuchni. Powiedziała, że Martin już spał kiedy wychodziła. Właśnie szła na górę, gdy usłyszała krzyk. Martin siedział na podłodze z małą w ramionach i przeraźliwie krzyczał. Nigdy nie słyszałem, żeby dziecko tak krzyczało. Kiedy wróciłem do domu, wciąż krzyczał. Pewnie chciał ją wyjąć z łóżeczka, a kiedy mu się nie udało, pociągnął za materac, no i wtedy zsunęła się na podłogę. Na policzku miała wielkiego siniaka.

- Jak długo jeszcze żyła?

Betty usiadła na brzegu kanapy i utkwiała wzrok w zaciśniętych dłoniach.

- Umarła wpół do czwartej.

- Co powiedziałeś doktorowi?

- Cóż mogłem mu powiedzieć? Zresztą to Nellie mówiła. Elaine

też to widziała. Wpadła razem z Nellie do pokoju, podniosła chłopca, lecz nie była w stanie go uspokoić. Zachowywał się, jakby śnił koszmar. Wyrywał się i szarpał, dopóki doktor nie dał mu środka uspokajającego.

- Jak się teraz czuje?

- O dziwo dobrze. Tak jak mówiłem, to wszystko było dla niego jak senny koszmar. Kiedy mu powiedziałem, że mała dziewczynka poszła do nieba, bo tylko to przyszło mi do głowy nie przestraszył się, tylko powiedział: „Chcę do cioci Bett”.

- A Elaine?

- Niepokoję się o nią. Jest zupełnie spokojna. Myślę, że obwinia siebie za swój stosunek do dziecka, Przyjęła to wszystko bardzo spokojnie. Zbyt spokojnie, żeby to było normalne.

- To pewnie szok.

- Możliwe. Doktor Pearce powiedział, że to najlepsze, co się mogło stać. Może i ma rację, ale obawiam się jednego: nawet jeżeli Martin zapomni o tym zdarzeniu, to jakieś plotkarskie babsko mu o nim przypomni. Nellie opowie swojej matce, jej matka sąsiadkom, a dziecko to usłyszy.

- Przesadzasz, Joe. Przecież to był wypadek. Każdemu dziecku mogło to się przytrafić.

Zamilkli. W końcu Betty podniosła się z miejsca.

- Pójdę do niej.

Bez słowa otworzył drzwi i Betty poszła do pokoju Elaine.

Zaskoczyło ją że siostra jest ubrana. Spojrzały na siebie w milczeniu.

Elaine odezwała się pierwsza.

- Nie mam zamiaru mówić, jak mi przykro, że umarła.
- Nie oczekiwałam tego.

Betty przeniosła wzrok z bladej twarzy siostry na jej zaciśnięte palce i ogarnęła ją litość. Mogła sobie, mówić, że nie jest jej przykro, a jednak poruszyło ją to głęboko. Podeszła do nią i przytuliła. Elaine zadrżała od stóp do głów i wybuchnęła rozpaczliwym płaczem, tuląc się do Betty jak dziecko do matki

- No dobrze już, dobrze. Uspokój się.

W głębi duszy była zadowolona, że Elaine płacze, bo to pomoże wyzwolić tkwiące w niej napięcie.

- Chodź, usiądź tu - powiedziała, prowadząc ją do fotela. Elaine jednak nadal kurczowo trzymała się Betty. Wówczas przycisnęła głowę siostry do piersi i delikatnie gładziła ją po włosach, szepcząc uspokajające słowa.

- Wszyscy mnie tu nienawidzą - wybuchnęła Elaine.
- Nie bądź niemądra.
- Ty też.
- Nieprawda. Irytujesz mnie, ale nie nienawidzę cię.
- Joe mnie nienawidzi.
- Elaine, daj spokój. Joe cię kocha. Niewielu mężczyzn

zniosłoby to, przez co on musiał przejść.

- No właśnie. - Elaine odsunęła się od Betty i usiadła w fotelu.
- Nikt nie spojrzy na to z mojej strony. Nikt. Wiesz co?

Nienawidzę wszystkich w tym domu, z wyjątkiem Martina... i ciebie.

Betty popatrzyła na nią i pomyślała z bólem W sercu, że to „ciebie” zostało dodane raczej przez rozsądek.

- To wielka szkoda - powiedziała niskim głosem.
- Och, ty i ten twój sposób mówienia - wybuchnęła Elaine.
- Jesteś taka obłudna. Nigdy nawet nie pomyślałabyś o czymś złym, co? Pocziwa stara Betty. Wszyscy tak mówią, pocziwa stara Betty. Wkradasz się w łaski wszystkich. Jesteś dwulicowa.

- Uspokój się, Elaine.
- Nie uspokoję się. To mój dom i będę mówiła, co mi się spodoba. Będę krzyczeć, jeśli zechcę, będę wrzeszczeć na starego Mike'a i na jego wspaniałego syna, i na tego brudnego czarnucha, i jego rozpustną żonę. Och, ja już wiem swoje...

- Elaine! Dość tego!
- Co się stało? - zapytał Joe, wpadając do pokoju.
- Właśnie powiedziałam twojej drogiej Betty, że jest obłudna i dwulicowa, jak ty, jak wy wszyscy! - wrzasnęła Elaine.

Kiedy Joe zrobił krok w jej stronę, krzyknęła rozziewając.

- Nie dotykaj mnie! Nie waż się mnie dotykać!

Zesztywniał, spojrzał na Betty i już miał coś powiedzieć, kiedy Elaine przycisnęła ręce do piersi, zaczęła spazmatycznie oddychać i osunęła się na poręcz fotela.

Kilka minut później, gdy położyli ją do łóżka, Betty szepnęła do Joego:

- Zatelefonuję po doktora.
- Co to może być?

- Wygląda mi na atak serca.

Godzinę później, po dokładnym zbadaniu Elaine, doktor stwierdził, że fizycznie nic jej nie dolega, i postawił diagnozę: histeria.

Joe nigdy nie słyszał o takiej chorobie.

Lekarz wyjaśnił, że to odmiana nerwicy, której objawy przypominają atak serca. Bywa często zwiastunem rozstroju nerwowego. Nie ma w tym nic dziwnego, żona przeżyła przecież dwa poważne wstrząsy. Teraz będzie spała. Zajrzy do niej jutro rano. Tymczasem powinna odpoczywać i mieć spokój.

Joe odprowadził doktora do drzwi.

- Jak długo według pana ten stan potrwa? - zapytał. - To znaczy ta histeria?

Doktor podrapał się po brodzie i spojrzał przez ramię na schody.

- Och, to przejściowy stan i wszystko zależy od tego, czy rozwinie się w rozstrój nerwowy. Może to potrwać... sześć miesięcy, rok. - Tu spojrzał Joemu prosto w oczy. - A może dwa, trzy lata, trudno powiedzieć. Wszystko zależy od organizmu i od tego, w jakim stopniu pacjent potrafi sam sobie pomóc. Zresztą jest jeszcze zbyt wcześnie, by cokolwiek wyrokować. Powiem panu coś więcej, kiedy z nią porozmawiam.

Postawił nogę na stopniu, po czym odwrócił się do Joego.

- Lubi być rozpieszczana, prawda? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, dodał: - W tej sytuacji zalecałbym mniejszą pobłażliwość. Do zobaczenia jutro.

Joe zaczekał, aż lekarz wsiądzie do samochodu, po czym

zamknął drzwi i zapatrzył się w przestrzeń. Histeria, rozstrój nerwowy. Słyszał, że ludzie chorują na coś takiego, ale nigdy z kimś takim się nie spotkał, a ci, którzy przez to przeszli, niechętnie o tym mówili. Było w tym coś wstydlivego, rodzaj piętna. Biedna Elaine.

Ruszył wolno w kierunku schodów. I musi być dla niej surowszy. Nigdy nie sądził, że doktor zaleci coś takiego w jej stanie.

To wszystko jego wina. Gdyby nie zmuszał jej do rodzenia dzieci, nie doszłoby do tego. Dlatego będzie musiał jej to wynagrodzić. Lecz na pewno nie surowym traktowaniem. To, czego najbardziej teraz potrzebowała, to ciepła i miłości. Z pomocą Betty doprowadzi ją do zdrowia, i to szybko. Jeśli w ogóle ma tu coś do powiedzenia.

Wbiegł na schody przekonany, że miłość potrafi czynić cuda.

Rozdział 18

Joe osiągnął swój cel w zadziwiająco krótkim czasie. Elaine wróciła do zdrowia po sześciu miesiącach. Jego ojciec skwitował to w ten sposób: skoro uratowały ją pochlebstwa i rozpieszczanie, to widocznie nie było z nią aż tak źle.

Joego irytowało stanowisko ojca, który twierdził, że za jego czasów kobiety nie ulegały rozstrojom nerwowym. Nie miały na to czasu, bo musiały zarabiać na życie. Przykładem mogła być jego matka, która jakoś nigdy nie przeżyła rozstroju nerwowego.

W tym momencie Joe nie wytrzymał i zapytał:

- W takim razie dlaczego nie ożeniłeś się z wołem roboczym? Z tego, co wiem, moja matka nie miała nawet pojęcia, jak wygląda ścierka. I jakoś nie mogę sobie przypomnieć, byś jej mówił, żeby zakasała rękawy albo żeby ruszyła swój leniwy tyłek, i czynił tym podobne uwagi, które miały przypomnieć jej o obowiązkach.

- Wynoś się stąd, do cholery, albo zrzucę cię ze schodów!
-wrzasnął w odpowiedzi Mike, a wyraz jego twarzy świadczył dobitnie o tym, że gotów jest to zrobić.

Dopiero po czterech miesiącach Betty mogła wreszcie wyrwać się z domu i spędzić weekend z lady Ambers. Przy okazji ustalono, że co miesiąc będzie wyjeżdżać na weekend, a podczas jej nieobecności Joe zajmie się Elaine.

Już od jakiegoś czasu sypiał w garderobie. Dziwiło go, że nie

mogła znieść, aby choć na chwilę zostawiono ją samą w ciągu dnia, natomiast w nocy nie dopuszczała go do siebie. Choć nie chciał się do tego przyznać, mocno go to irytowało.

Na przykład wczoraj próbował z nią o tym porozmawiać.

- Pozwól mi się obok siebie położyć - poprosił, lecz widząc, jak na to zareagowała, dodał szybko: - Nic się nie zdarzy, obiecuję. Chcę tylko cię objąć i poleżeć przy tobie.

Na potwierdzenie tych słów otoczył ją ramionami. Leżała na różowych poduszkach z falbankami. Ostatnio zażyczyła sobie kolorowej bielizny pościelowej.

Niestety pozostawała głucha na jego prośby. Wrócił więc do garderoby i leżał z rękami pod głową, wpatrując się w bladą smugę światła pod drzwiami sypialni.

Coraz trudniej jednak było mu tłumić wzbierającą w nim irytację. Wciąż starał się okazywać jej sympatię i współczucie. Był cierpliwy, bardzo cierpliwy, lecz miał przecież swoje potrzeby. Od jak dawna ze sobą nie sypiali? Dwa lata? Nie mógł tak dalej żyć, ale nie mógł też jej denerwować. Musiał znaleźć jakieś inne wyjście z sytuacji. Mógłby na przykład pojechać do miasta. Nie do Fellburn - było zbyt blisko. Może do Newcastle? O Boże, wcale nie chciał tego robić. A jeśli coś złapie? Jak Harry Codshaw? Można też załatwić to inaczej. Alec Benbow miał podobno kochankę w Gateshead. Jej mąż jest marynarzem. Lecz Alec Benbow to świnia, bo ma przyzwoitą żonę i czwórkę dzieci.

Nie. Będzie chyba musiał pojechać do Newcastle i znaleźć sobie dziwkę. Wciąż jednak trudno mu było to sobie wyobrazić. Gdyby

zdecydował się na kochankę, musiałby znaleźć kobietę, która by mu odpowiadała, ale wszystkie, które znał, były mężatkami, w dodatku szczęśliwymi. Jedyną niezmeżną kobietą była Betty.

Betty!

Przez kilka minut jego myśli wędrowały nowymi dla niego ścieżkami: wspominał sytuacje, które wówczas nie miały żadnego znaczenia, a teraz niosły ze sobą ciepło, stopniowo zmieniające się w żar. I nagle - kubeł zimnej wody na otrzeźwienie. Usiadł na łóżku i złapał się za głowę.

Boże! Tyle dla nich zrobiła, opiekowała się małą dziewczynką, pielęgnowała Elaine, cierpliwie znosiła wszystkie oskarżenia siostry, którymi obsypywała ją na początku choroby. A teraz on miałby się za to odpłacić, proponując pokątny związek?

Wstał z łóżka, włożył szlafrok, zszedł na dół do kuchni i zaparzył sobie kawy. Wrócił na górę z postanowieniem, że przy pierwszej sposobności pojedzie do Newcastle.

Minęła właśnie trzecia, kiedy panna May Pringle, pełniąc obowiązki sekretarki Joego, weszła do gabinetu z popołudniową filiżanką herbaty. Panna Pringle pracowała tu jeszcze za czasów dziadka Joego, kiedy rozpoczynał swoją działalność w Fellburn. Postawiła tacę na biurku.

- Wypij, zanim zmieni się w pomyje - powiedziała, po czym zawahała się, spojrzała na jego pochyloną głowę i zapytała: - Słyszałeś ostatnie nowiny?

- Jakie? - Dopiero po chwili podniósł na nią wzrok. - Ostatnio

słyszę same nowiny.

- Mogłeś jeszcze o tym nie słyszeć, bo zaledwie przed minutą Big Wolsey i Cunningham rozprawiali o tym w magazynie. Podobno powstaje nowa firma.

- Nowa firma? Jaka nowa firma?

- Taka sama jak nasza.

- Taka sama jak nasza? Bzdura!

- Niech ci będzie, bzdura.

- Przecież wiedziałbym coś o tym.

- Ale słyszałeś chyba o Fabryce Opakowań Baxtera z filiami w Peterborough, Tillbury i tak dalej, i tak dalej.

- Baxter tu przyjeżdża?

- Tak mówią. Podobno jacyś ludzie oglądali te puste tereny między mostem kolejowym a kolonią domków. Tam jest mnóstwo miejsca. Podobno Baxter chce je kupić. Oczywiście za małe pieniądze. A jeśli zaczną budowę, to dostaną tanią siłę roboczą.

Joe odłożył pióro i spojrzał na swoją sekretarkę.

- To z pewnością tylko plotka - powiedział wolno. - Ci dwaj to komuniści. Chcą tylko zasiać niepokój wśród ludzi.

- Może i masz rację, jednak coś w tym musi być. Nie ma dymu bez ognia.

- Ich wyroby to szmelc. Nasi odbiorcy nie pójda do nich kupować.

Popatrzyli na siebie i w końcu Joe pokiwał głową.

- Nie musisz nic mówić, wiem. Sprzedaliby duszę za opako-

wanie tańsze o jednego centa.

- Pij herbatę.

Podsunęła mu pod nos filiżankę. W tym momencie rozległ się ryk syren. Był to dźwięk niepodobny do innych. Syreny portowe i syreny fabryczne miały swoje własne brzmienie, natomiast wycie syren w kopalni zwiastowało nieszczęście.

Przez kilka sekund ani Joe, ani panna Pringle nawet nie drgnęli. Ucichł też pisk pił, stuk młotków i pras w warsztatach.

Panna Pringle pierwsza oprzytomniała. Przytknęła zaciśniętą dłoń do ust.

- Och nie, tylko nie to - wyszeptała.

Syreny oznaczały katastrofę w kopalni. Tak zginął jej ojciec i narzeczony.

- Spokojnie, nie denerwuj się - powiedział Joe. - Może to nic poważnego.

Wiedział, że stara May, jak ją nazywał ojciec, potrafi znieść wszystko, tylko nie katastrofę w kopalni.

- Usiądź - powiedział. - Pojadę tam i spróbuję się czegoś dowiedzieć. No już, przestań się trząść. Teraz to ty powinnaś napić się herbaty. I nie zapominaj, że jest cały stos listów do wysłania, a skoro szykuje nam się konkurencja, musimy być czujni, prawda?

Jego szorstkość odniosła skutek. Panna Pringle opuściła rękę.

- Dobrze, już dobrze - burknęła i wymaszerowała z gabinetu.

Kilka minut później jechał w stronę wieży szybowej, podobnie zresztą jak większość mieszkańców miasta. W górniczej wiosce

mieszkała bowiem tylko jedna trzecia wszystkich zatrudnionych w kopalni górników.

Nie zdołał podejść do bramy ani też zdobyć jakichś konkretnych informacji. Nikt nie potrafił nic powiedzieć ponad to, że był wybuch i część kopalni została zalana wodą.

Widząc, że nic nie wskóra, postanowił wrócić do domu. Po drodze wstąpił do Davida. Właśnie usiłował uspokoić płaczącą Elizabeth.

- Wiesz już coś? - zapytał David bez wstępów.

- Nie, nic konkretnego. Nie mogłem nawet podejść do bramy.

Podobno był wybuch i woda jest na dole.

- Hazel bardzo się niepokoi. Stary Dan był na tej zmianie, a także Willie, Fred i cała reszta.

- Pracowali razem?

- Nie wiem dokładnie, ale nie zdziwiłbym się, gdyby tak było.

Oni wszyscy pracują na przodku.

- Willie i Fred są żonaci, tak?

- Tak.

- Może jednak nie będzie tak źle.

- Oby. No cicho, cicho, przestań płakać. Bo pan Joe pomyśli, że jesteś mazgaj.

- Chcę do mamusi.

- Coś ci powiem. - Joe przykucnął przed dziewczynką i wziął ją za rękę. - Chciałabyś pobawić się z Martinem?

- Tak. - Łzy przestały płynąć i na okrągłej, ładnej twarzyczce

pojawił się uśmiech.

- Twój tatuś weźmie samochód i pojedzie po mamusię do babci, a ty pójdziesz ze mną do domu i będziemy się bawić w dzieciennym pokoju. Co ty na to?

Elizabeth uśmiechnęła się szeroko. Spojrzała nieśmiało na ojca.

- Możesz potrzebować samochodu, gdyby... - zaczął David.

- Nie będzie mi potrzebny - wszedł mu w słowo Joe, nie spuszczać wzroku z twarzy dziecka. - Zabieraj się i korzystaj z samochodu według potrzeb.

Kątem oka zobaczył, że David nie rusza się z miejsca.

- Znikaj, człowieku, zanim znowu silenie fontanna.

- Czy mam włożyć płaszczyk, panie Joe?

- Włóż, kochanie.

- Ten z kapturem?

- Tak, ten z kapturem.

Kiedy dziewczynka pobiegła do sypialni, David zdjął swój płaszcz z haczyka na drzwiach.

- Powiedz Hazel, żeby się o nią nie martwiła - rzekł Joe. -

Zaopiekujemy się małą i gdybyście nie wrócili, zostanie u nas na noc.

- Dzięki, Joe.

Kiedy David wyszedł, jego córka wybiegła z pokoju, ubrana w czerwony nieprzemakalny płaszczyk z kapturem.

- Ho, ho! Ale ślicznie wyglądasz - powiedział Joe.

- Dziadzius kupił mi go na urodziny.

- Twój dziadzius doskonale wie, co ci pasuje. Chodźmy. Kiedy

usłyszał warkot odjeżdżającego samochodu, wziął dziecko na ręce i ruszył przez ogród do domu.

Wszedł do hallu, a potem na schody. Dziewczynka rozglądała się ciekawie dokoła, bo była tu po raz pierwszy. Kaptur zsunął jej się z głowy.

Właśnie wszedł na podest, kiedy z saloniku wyszła Elaine, a za nią Betty.

Zatrzymały się i patrzyły w milczeniu na niego i na dziecko.

- Pewnie słyszałyście syreny, wiecie więc, co się stało - powiedział. - Tam na dole jest trójka Eganów - wyjaśnił, starannie dobierając słowa. - Z tego, co wiem, wszyscy są na przodku...
Widzicie, kogo tu przyprowadziłem? - Podrzucił dziecko w ramionach.
- Przyszła pobawić się z Martinem, prawda?

Zawstydzona dziewczynka przytuliła policzek do jego twarzy. W tym momencie otworzyły się drzwi do dzieciennego pokoju i stanął w nich Martin.

- Elizabeth! - wykrzyknął z radością. - Spójrz, mamusiu, to Elizabeth.

- W tej chwili wracaj do pokoju, Martin - oschłym tonem rzuciła Elaine i spojrzała znacząco na Joego.

- Co to znaczy? - zapytał cicho. - Przecież mówiłem, co się stało. Hazel i David musieli pojechać do kopalni.

Na dźwięk tych dwóch imion twarz Elaine okryła się błądzą. Oczy zrobiły się okrągłe, a wargi rozsunęły jak do krzyku. Wpatrywała się jak urzeczona w te dwie twarze, a jakiś głos jej szeptał, że oto ma

wreszcie dowód. Widywała tę dziewczynkę od czasu do czasu, lecz nigdy nie miała okazji przyjrzeć jej się z bliska. Zabroniła nawet Nellie zabierać Martina w pobliże Chatki. A Joe powinien mieć więcej rozumu i nie przyprowadzać tego dziecka do domu. A oto stał teraz przed nią z małą na rękach. I cóż zobaczyła? Te same oczy, usta, nos, nawet kształt twarzy.

- Zabierz ją stąd! - krzyknęła piskliwym głosem.

- Elaine! Elaine! - Betty chwyciła ją za ramię z zamiarem wciągnięcia z powrotem do pokoju.

Joe postawił przestraszone dziecko na podłodze, popchnął w stronę Martina, a potem oboje do pokoju dzieciennego i zamknął za nimi drzwi. Wówczas wspólnie z Betty prawie wniósł Elaine do saloniku.

Z siłą, która zadawała kłam jej słabości, odepchnęła ich od siebie. Popatrzyli na nią bezradnie, a wówczas chwyciła się za serce i zachwiała. Podtrzymali ją, by nie upadła, i wymienili znaczące spojrzenia, które mówiły: „O nie, znowu”.

Dwa dni później wydobyto ciała Dana, Williego i Freda Eganów, a Elaine przeżyła załamanie nerwowe. Jednak tym razem dopuściła do siebie tylko Betty. Widoku Joego nie była w stanie znieść. Zaczęła teraz zamykać na noc drzwi do garderoby i do sypialni i otwierała je dopiero rano.

Kiedy zrobiła to po raz pierwszy, Joe rąbnął pięścią w drzwi i krzyknął:

- Otwórz te drzwi, słyszysz? Bo je wyważę!

Nie mógł przecież dopuścić, by robiono z niego głupca w jego

własnym domu.

Kiedy następnego dnia ponownie zastał zamknięte drzwi, poszedł do sypialni na końcu korytarza.

To dziwne, zauważył Mike, że w dzień jest tak słaba, że Betty musi bez przerwy koło niej skakać, a w nocy potrafi wstać z łóżka, zamknąć drzwi i rano je otworzyć. Czy nie czas już, żeby Joe przejrzał na oczy?

Tak, uznał Joe. Najwyższy czas przejrzeć na oczy.

Tydzień później pojechał do Newcastle. Nabrał również zwyczaju wypijania przed snem podwójnej whisky.

RS

Część czwarta

Rozdział 19

Pomiędzy rokiem 1931 a 1938 atmosfera w domu uległa kolejnej zmianie. W ciągu owego roku, kiedy żyła mała dziewczynka, dom wypełniały troska i współczucie. Po pierwszym nerwowym załamaniu Elaine troska pozostała, wspomagana jeszcze uczuciem miłości, lecz od dnia katastrofy w kopalni zniknęły one z domu bezpowrotnie.

Dopiero po roku Elaine odzyskała w pełni siły, lecz w niczym to nie zmieniło trybu życia Joego. Istniało przecież niebezpieczeństwo nawrotu choroby, nie musiał więc nawet tłumaczyć, dlaczego nie przyjmuje zaproszeń ani dlaczego nie widuje się ich razem.

Wiele osób sądziło, że za częstymi wyjazdami Elaine do Londynu kryją się pobyty w prywatnych klinikach, lecz tu się myliły. Rzeczywiście zatrzymywała się w Londynie i bardzo sobie te wyjazdy chwaliła, oświadczając Betty bez ceregieli, że bez tych przerw jej życie byłoby nie do zniesienia. W tym akurat przypadku Betty przyznawała jej rację.

Życie Betty niewiele się zmieniło. Wydłużyły się tylko jej pobyty u lady Ambers. Czasami trwały nawet miesiąc, bo starsza dama robiła się coraz słabsza. Umysł jednak był wciąż równie jasny i Betty często

zastanawiała się, czy nie przenieść się do niej na stałe. Ale był przecież Martin i Mike, i... Joe. Mike bez przerwy jej potrzebował, podobnie jak Joe, tylko syn nie okazywał tego w tak demonstracyjny sposób.

Elaine również jej potrzebowała, choćby po to, by z nią porozmawiać i zdać relację ze swych wizyt w Londynie. No i oczywiście potrzebowała jej do opieki nad synem w czasie swej nieobecności.

Betty nie miała wątpliwości, że Elaine kocha swego syna. Udowadniała to, domagając się, by po powrocie ze szkoły stale z nią przebywał. Nie chciała go mieć przy sobie tylko wtedy, kiedy miewał te swoje koszmary, które ostatnio się nasiliły. Był taki tydzień, kiedy trzy razy budził cały dom krzykami w środku nocy. Leżał w łóżku zlany potem, trzęsąc się ze strachu. Betty miała nadzieję, że chłopiec nigdy się nie dowie, co jest przyczyną jego nocnych majaków. Martin był wrażliwym chłopcem i prawda mogła źle na niego wpłynąć.

Doktor twierdził, że Martin z tego wyrośnie, minęło jednak siedem lat od pierwszego ataku i nic się nie zmieniło. Teraz, kiedy chłopiec szybko rósł, te koszmary wydawały się pozbawiać go siły, co niepokoiło Betty.

Kiedy zwierzyła się z tego Joemu, przyznał, że jego też to trapi. Powiedział jej, że Marcus Levey radził mu pójść do jego brata. Joe nie zdradził tylko, w czym się ów brat specjalizuje, stwierdził jedynie, że stracił już cierpliwość do doktora Pearce'a i jego metod leczenia.

Pewnego dnia na początku grudnia 1938 roku Betty i Martin szli podjazdem w stronę domu. David przywiózł ich z miasta, gdzie

chłopiec chodził do szkoły, a Betty wybrała się po zakupy. Idąc, kontynuowali rozpoczętą w samochodzie rozmowę.

- Ale on jest tego pewny, ciociu Bett - upierał się Martin. - Jego ojciec jest Żydem. To brat pana Leveya. Oni mają krewnych, którzy przyjechali z Niemiec, i jeden z tych krewnych przywiózł gazetę i wie wszystko, co tam się dzieje, i jest pewny, że będzie wielka wojna.

- Co ty opowiadasz? Przecież wiesz, że pan Chamberlain był w Niemczech i doszli z panem Hitlerem do porozumienia, więc nie może być mowy o żadnej wojnie.

- Manny powiedział, że jego ojciec powiedział, że jego kuzyn powiedział, że ludzie w Anglii nie mają o niczym pojęcia.

Betty wybuchnęła śmiechem, po czym popatrzyła na niego i zapytała:

- Czy uczyliście się w szkole o Fryderyku Wielkim?

- O Fryderyku Wielkim? Nie, chyba nie.

- Pamiętam, że kiedy chodziłam do szkoły, nauczyłam się zdania, które on podobno powiedział. A brzmiało ono mniej więcej tak: „Mój naród i ja zawarliśmy umowę, która satysfakcjonuje obie strony. Oni mówią to, co im się podoba, a ja robię to, co mnie się podoba”. Myślę, że to zdanie pasuje do dzisiejszych czasów. Ludzie zawsze mówią to, co im się podoba, co im odpowiada, lecz koronowane głowy prawie zawsze robią to, co im się podoba, nawet jeśli tracą przy tym głowy. - Roześmiali się oboje. - Nie ma więc sensu martwić się, czy będzie to, czy tamto, prawda?

- Tak, chyba tak. - Przechylił głowę na bok i dodał w zamy-

śleniu: - Nie jestem pewny, czy chciałbym iść na wojnę. Nie lubię zabijać. Nawet szczurów czy chrząszczy. Kiedyś na biologii John Dolan powiedział, że jestem maminsynek, bo nie chcę oglądać wnętrzości szczura. Ale ja nie jestem maminsynkiem, prawda, ciociu Bert?

- Naturalnie, że nie jesteś. Jesteś bardzo dzielnym chłopcem, czego dowodem są twoje podarte spodnie.

- Elizabeth mówi, że nie miałyby nic przeciwko wojnie.

- Naprawdę?

Betty zatrzymała się, a chłopiec spojrzał na nią i kiwnął głową z zapalem.

- Tak, bo wtedy mogłaby być pielęgniarką.

- Przecież i bez wojny może być pielęgniarką.

- Ale wtedy nie opatrywałyby rannych żołnierzy.

- Tak? A kiedy Elizabeth ci o tym mówiła?

- Wczoraj wieczorem, kiedy byliśmy przy szklarni - odpowiedział bez namysłu - i... - Urwał i rzucił Betty szybkie spojrzenie. -

Nie powiesz mamie?

Pokręciła głową przecząco.

- Ale wiesz przecież, że nie wolno ci chodzić do Chatki.

- Nie byłem w Chatce, ciociu Bert, byłem przy...

- Na jedno wychodzi. Wiesz, co mama o tym myśli, prawda? - zapytała cicho.

Chłopiec milczał chwilę, a kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiał ton dorosłego człowieka.

- Lubię Elizabeth, ciociu Bett. Zawsze ją lubiłem i nie przestanę z nią rozmawiać. - Podniósł głowę i spojrzał na Betty. - Tata nigdy mi nie zabrania z nią rozmawiać ani chodzić do Chatki. On lubi Elizabeth. I lubi też Hazel... i Davida. Nie rozumiem, dlaczego kogoś się nie lubi, bo jest czarny. David nic nie może na to poradzić, że jest czarny. A Elizabeth nie jest przecież czarna. Czemu więc mama nie pozwala mi z nią rozmawiać? Chciałbym, żeby mi powiedziała, dlaczego jej nie lubi. Kiedy ją o to zapytałem, strasznie się rozgniewała i rozchorowała.

- Martin... - Betty zatrzymała się, pochyliła ku chłopcu i powiedziała cicho: - Nie dokuczaj matce takimi pytaniami. I nie staraj się spotykać z Elizabeth, kiedy mama jest w domu. Jak wyjedzie do Londynu to... hmm... nie mogę przecież bez przerwy cię pilnować, prawda?

Uśmiechnęła się, a on popatrzył na nią, również się uśmiechnął i zupełnie nie po męsku objął ją i przytulił się do niej.

- Och, ciociu Bett, chciałbym, żebyś była moją mamą. Zamrugła powiekami i z trudem przełknęła ślinę.

- To bardzo miło z twojej strony, ale nigdy więcej tego nie mów, bo... bo twoja mama bardzo cię kocha i byłoby jej przykro, gdyby się dowiedziała, że coś takiego myślisz.

- Przepraszam, ciociu Bett

- Nie przepraszaj. - Pogładziła go po policzku. - To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam. Nigdy tego nie zapomnę, ale... ale nie powtarzaj tego... na wszelki wypadek, rozumiesz?

- Tak, ciociu Bett. Zbliżali się do domu.

- Spójrz, dziadek do ciebie macha - powiedziała, kiedy wyszli z za zakrętu.

Chłopiec uniósł głowę i pomachał do niego ręką.

- Wczoraj o mało się z powodu dziadka nie pobiłem -oznajmił, kiedy weszli na ganek.

- O mało się nie pobiłeś? Dlaczego?

- John Dolan i Arthur Brown powiedzieli, że jest dziwny i pewnie popełnił jakąś zbrodnię, bo po co tkwiłby ciągle na poddaszu? Powiedzieli, że siedział tam, kiedy jeszcze był małym chłopcem.

- Cóż za bzdury! Wyjaśniłeś im, że dziadek cierpi na artretyzm i nie może chodzić?

- Tak, wyjaśniłem, ale Arthur Brown powiedział, że to zwykłe oszustwo. Sprzałbym go na kwaśne jabłko, gdyby był sam. Ale był z Johnem Dolanem, a on jest wyższy ode mnie i byłoby dwóch na jednego. Wiesz, co oni mówią, ciociu Bett? Mówią, że dziadek wciąga jedzenie przez okno na takim podnośniku na korbkę. John Dolan mówi, że widział to na własne oczy. Och, mógłbym go gwizdnąć w ucho...

Betty wybuchnęła serdecznym śmiechem.

- Wiesz, co oni mogli widzieć? Ruchomą platformę, kiedy robotnicy remontowali ściany domu i kładli na dachu wieżyczki brakujące dachówki. John Dolan był wtedy u ciebie razem z innymi chłopcami, pamiętasz?

- Tak, pamiętam.

- A więc pewnie to widział. Bujną wyobraźnię ma ten pan John Dolan. Przypomnij mu o tym, kiedy się z nim zobaczysz.

- No, jesteście wreszcie. Spóźniliście się. Stanęli na widok schodzącej po schodach Elaine.

- Nie sądzę - odpowiedziała Betty, spoglądając na zegarek. - Martin wraca prosto ze szkoły, a ja prosto z miasta.

- Możliwe, ale samochód przyjechał już pięć minut temu. Betty z trudem powstrzymała się, by nie krzyknąć: „Na litość boską, kobieto!”
Zamiast tego powiedziała:

- Postanowiliśmy przejść się kawałek i obejrzyć gniazdko sikorki.

Patrząc na szczupłą i elegancką siostrę, pomyślała: Skąd w tak drobnym ciele tyle złości. Ludzie tacy jak ona uczynili z kłamstwa cnotę. Przyglądała się, jak Elaine obejmuje syna i prowadzi w stronę schodów.

- Pomyślałam sobie, że może w przyszłym tygodniu pojechałbyś ze mną do Londynu zrobić świąteczne zakupy.

- Ale przerwa w szkole zaczyna się dopiero dwudziestego, mamusiu.

- Och, mogłabym napisać do dyrektora szkoły i poprosić go o zwolnienie cię z lekcji. Chodzi przecież tylko o kilka dni.

- Ale mam klasówkę i muszę odrobić lekcje. I jest jeszcze przedstawienie, zapomniałaś? *Burza*, a ja w niej gram...

Głos mu zamarł, kiedy Elaine gwałtownie go puściła i zostawiła u szczytu schodów. Popatrzył w ślad za nią, po czym odwrócił się do stojącej w hallu Betty. Kiedy pokręciła głową i pokazała palcem, że ma iść za matką, zrozumiał i z ociąganiem ruszył do saloniku.

Rozdział 20

Kiedy wraca tym razem? - zapytał Mike.

- Z tego, co wiem, w przyszły piątek - odparła Betty.

- Oczywiście. Musi przecież mieć czas na wystrojenie domu w dzwoneczki i świecidełka. Istna farsa. - Odwrócił się do Betty, która zajęta była nalewaniem herbaty. - Słyszałaś, co powiedziałem? To farsa, bo w tym domu nie ma już ducha świąt. Nie rozumiem, jak Joe może to znosić. Jak on żyje? Kiedyś mu powiedziałem: „Nie popełnij tego samego błędu co ja”. To było tuż po jego ślubie. Tymczasem on popełnił błąd, w ogóle żeniąc się z nią. - Wziął z rąk Betty filiżankę i mówił dalej: - A ja rzeczywiście popełniłem błąd, bardzo wielki błąd. Kiedyś ci o tym opowiem, jeżeli już się nie domyśliłaś.

- Nie, nie domyśliłam się, jakież to straszny błąd popełniłeś - odpowiedziała.

- Co znaczy straszny?

- Tylko to, co powiedziałam. - Wzięła filiżankę i usiadła w fotelu. - Ty stale popełniasz błędy - ciągnęła. - A jednym z nich jest chowanie się tu na górze. Tak, tak, wiem. Widok. Sądzę jednak, że nie tylko ten widok cię tu zatrzymuje.

- Zastanawiałaś, się więc, co takiego zrobiłem?

- Czy z tego właśnie powodu siedzisz na górze? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- W pewnym sensie tak. Ale tylko w pewnym sensie.

- To brzmi interesująco.
- Nie śmieję się, dziewczyno, bo w tym nie ma nic śmiesznego.
- Nie śmieję się.
- Ale bawi cię to.
- Mike... - Pochyliła się ku niemu i powiedziała wolno i dobitnie:
- Oszalałabym, gdybym czasami nie pośmiała się z siebie i z innych.

Rozumiesz?

Popatrzył na nią z uwagą.

- Tak, rozumiem - powiedział. - Jeśli ktoś marnuje życie, to właśnie ty. A ja ci w tym pomagam.

Wypiła łyk herbaty.

- Nie oczekuj, że zaprzeczę - odparła.

Wybuchnął śmiechem i ręka tak zaczęła mu drżeć, że musiał odstawić filiżankę na stół.

- Zboczyliśmy z tematu - powiedział, kiedy się uspokoił. - Na czym to stanęliśmy? Chodziło o Joego, prawda?

- Tak, chodziło o Joego.

- Myślisz, że ma jakąś kobietę tam, w mieście? Oblizła nerwowo wargi.

- Czemu mnie o to pytasz? Chyba nie myślisz, że zwierza mi się z takich sekretów.

- Często z tobą rozmawia. Częściej niż ze mną.

- Zapewniam cię, że nie na ten temat.

- Czego się boczysz? Tylko zapytałem.

- Ale o co!

- Jakoś trudno mi uwierzyć, by obywał się bez tego przez te wszystkie lata. Jest moim synem i mężczyzną. Prawdziwym mężczyzną. Tymczasem ona pozbawiła go jego praw.

- Praw?

- Tak, praw. Prawem mężczyzny jest, by żona dawała mu satysfakcję.

- A co z prawami kobiet? Och, nie myślę w tej chwili o Elaine. A jeśli kobieta nie ma z tego satysfakcji i pójdzie do miasta? Czy ludzie jej wybaczą i powiedzą, że słusznie postąpiła, bo pozbawiono ją jej własnych praw? Nie. Zakrzyczą ją.

Obrócił się w fotelu i spojrzał na nią.

- Co w ciebie wstąpiło? Nie bierz tego tak do siebie. Gadasz jak jakaś sufrażystka.

- Może w głębi serca nią jestem. Wiem jedno: że żaden mężczyzna do niczego mnie nie zmusi. Większość kobiet potrafiłaby kupić mężczyznę na jednym rogu, a na drugim go sprzedać. Czytałeś o tym procesie, o którym rozpisują się gazety? Mężczyzna został pozwany przed sąd za to, że źle traktował swoją żonę. A dlaczego źle ją traktował? Bo przerastała go o głowę. Ta kobieta musiała być niezwykle inteligentna i poślubiła człowieka pod względem intelektualnym stojącego od niej niżej. A on, jak większość mężczyzn, nie mógł znieść, żeby kobieta, a zwłaszcza żona, wiedziała więcej od niego. Co więc zrobił? Pobił ją.

- Kto by pomyślał. - Mike uśmiechnął się szeroko i odchylił na oparcie fotela. - Widzę, że jesteś dziś w bojowym nastroju - powiedział.

- Ale wracając do sprawy. Czytałem o tym i może to dziwne, ale zgadzam się z tobą. Według mnie - podkreślam jednak, że jest to wyłącznie moje zdanie - żaden rozsądny mężczyzna nie powinien żenić się z kobietą, która przewyższa go intelektem. Lepiej, żeby on stał wyżej i podciągnął ją do swego poziomu. Prawdziwy mężczyzna pragnie, aby go szanowano. Jeżeli kobieta, a zwłaszcza żona, jest od niego mądrzejsza, traci szacunek dla samego siebie i nie czuje się w pełni mężczyzną. Wiem coś na ten temat.

Betty wzięła jego filiżankę i postawiła na tacy.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

- Nie przepraszaj, tylko oddaj mi filiżankę. Jeszcze nie wypilem herbaty.

Nalała świeżej i podała mu.

- Mamy dla siebie cały tydzień - powiedział łagodnie. -

Wykorzystajmy go jak najlepiej.

Uśmiechnęła się, podeszła do kominka i dorzuciła węgla do ognia.

- Czy Joe mówił ci, dokąd zabiera jutro chłopca? - zapytał.

- Tak, mówił.

- Wierzysz w tę hipnozę? Popatrzyła na niego w zamyśleniu.

- Nie wiem - odparła. - Niewiele wiem na ten temat. Właściwie to nic. Ale podobno brat pana Leveya jest dobrym lekarzem i już od jakiegoś czasu stosuje tę metodę.

- Tak. Ale to dziwna sprawa z tym zagładaniem do mózgu. Jeśli jednak ma to pomóc chłopcu, to jestem za. Zrobiłbym wszystko, by te

krzyki się skończyły. Krew krzepnie mi w żyłach za każdym razem, kiedy je słyszę. Ale jednego się obawiam. - Spojrzał jej w oczy. - Że wyjdzie z tego w gorszym stanie, niż jest. Teraz nie potrafi sobie przypomnieć, co zrobił, a co będzie, jeżeli sobie przypomni?

- Myślałam o tym i Joe też, ale hipnoza potrafi zniszczyć wspomnienia.

- Zniszczyć wspomnienia? - Mike pokręcił głową z niedowierzaniem. - To mi wygląda na szarlatanerię. Zawsze podejrzliwie odnoszę się do kogoś, kto tego próbuje. No, ale trzeba się o tym przekonać... Ciekawe, co madame Elaine powie, kiedy wróci? Jedno jest pewne: gdyby tu była, nie zgodziłaby się na żadną hipnozę.

Betty w duchu przyznała mu rację. Elaine nie zgodziłaby się na żadne tego typu eksperymenty z synem.

Rozdział 21

Całą noc padał gęsty śnieg. Joe jechał po pustej drodze prowadzącej do miasta i co chwila zerkał na siedzącego obok Martina.

- Nieźle się zapowiada - odezwał się. - Założymy się o pół korony, że wrócę bezpiecznie do domu?
- Spójrz na te zasy - powiedział Martin. - Muszą mieć chyba ze cztery stopy wysokości.
- Chyba źle policzyłeś. Poza tym to nie są zasy, tylko odrzucone na bok zwały śniegu.
- Nie mówiłbyś tak, gdybyś musiał zapłacić mi te pół korony. Uśmiechnęli się do siebie.
- Czy doktor Levey poradzi sobie z moimi koszmarami, tato?
- Będzie próbował.
- A co będzie robił?
- Och, po prostu porozmawia z tobą.
- Doktor Pearce też ze mną rozmawiał i nic nie pomogło.
- Ale są różni doktorzy. Nie pójdziesz do okulisty, żeby wyrwać sobie ząb, prawda? Ani do dentysty, jeśli potrzebne ci są okulary. Są różni lekarze.

To prawda, pomyślał Joe. Jest wielu specjalistów. Miał nadzieję, że dobrze robi, pozwalając jednemu z nich zajrzeć w myśli chłopca. Spędził bezsenną noc, zastanawiając się, czy podjął słuszną decyzję.

Powiedział lekarzowi, że chłopiec nieumyślnie spowodował

śmierć swojej malutkiej siostrzyczki. Nie powiedział „potworka”. Chciałby, żeby doktor wymazał z jego pamięci tamto wydarzenie. Hipnoza opiera się na sugestii, może więc mógłby zasugerować mu, że powinien zapomnieć o tym wypadku. Chłopiec miałby wówczas jasną przyszłość przed sobą. Mógłby nawet wstąpić na uniwersytet. A tak trzeba będzie zrezygnować z tych planów, bo nie może być studentem ktoś, kto stawia w środku nocy cały dom na nogi.

Gdyby eksperyment się powiódł, Joe wyrzucałby sobie, że wcześniej się na niego nie zdecydował. Minęły bowiem cztery lata od chwili, kiedy Marcus namawiał go, by poddać chłopca hipnozie. Wtedy jednak wydawało mu się to szarlatanerią. Teraz już wiedział, że hipnozie można poddać wszystkich, także tych, którzy nie są całkiem normalni.

Doktor Levey wyjaśnił mu, że hipnoza polega na działaniu na podświadomość, dzięki czemu pacjent staje się podatny na wszelkie sugestie do tego stopnia, że może odtworzyć dane zdarzenie lub zdarzenia, które są źródłem jego niepokoju.

Nie bardzo chciał, by syn musiał na nowo przeżywać tę noc, lecz jeśli dzięki temu zapomnieliby o niej, to chyba powinien przez to przejść.

- Nie zaprowadzi mnie do szpitala?
- Nie, oczywiście że nie.
- To co będzie robił?
- Będzie z tobą rozmawiał i oczekiwał, że ty też z nim

porozmawiasz.

I tak to właśnie wygląda, pomyślał Joe, siedząc w wygodnym fotelu w przytulnym pokoju i słuchając rozmowy doktora Leveya z Martinem. Gawędzili między innymi o piłce nożnej i szansach Newcastle United. Okazało się, że doktor Levey kibicuje drużynie Sunderlanda

- To źle - stwierdził Martin - bo pan mieszka w Newcastle.

- Wiem - odpowiedział. - Ale nie zdradz mnie. - Wybuchnęli śmiechem. - A teraz ułóż się wygodnie w fotelu. O tak... spójrz mi w oczy... Masz wspaniałe oczy... Kiedy policzę do sześciu, zaśniesz.

- Raz... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć.

Joe patrzył, jak powieki chłopca opadają i ciało się rozluźnia.

- Czy boisz się czegoś, Martinie? - zapytał lekarz. Chwila ciszy.

- Tak, snu o... o czarnej pani.

- O czarnej pani? Dlaczego się jej boisz?

- Ja... ja nie pamiętam. To było dawno.

- Jak dawno? Kiedy byłeś dzieckiem? Cisza.

- Martinie, cofnij się do czasów, kiedy pierwszy raz zobaczyłeś czarną panią - powiedział doktor.

- Nie! Nie! Nie! - Chłopiec zaczął nerwowo szarpać głową, całe jego ciało stało się napięte.

- Opowiedz mi, Martinie, co ta czarna pani robi. - Głos doktora brzmiał cicho i spokojnie.

- Och, nie, nie! - Chłopiec przykrył dłonią twarz. Palce miał szeroko rozsunięte.

- Co widzisz przez palce, Martinie?

- Cza... Czarną panią.
- Co ona robi?
- Och... ona... ona. Nie, nie! Ciągnie... ciągnie materac. Biedna mała dziewczynka. Och, nie, nie rób tego! Proszę!
- Ręce chłopca młóciły teraz powietrze. - Obudź się! Obudź się!
- krzyczał. - Mała dziewczynko! Obudź się, mała dziewczynko!

Ponownie przykrył palcami twarz, lecz tym razem otworzył szeroko usta i wydał z siebie długi, przeraźliwy krzyk, po którym nastąpił kolejny i jeszcze jeden.

- Już po wszystkim, Martinie. - Cichy głos doktora z trudem przebijał się przez krzyki. - Już po wszystkim. Leż spokojnie.

- Kiedy chłopiec znieruchomiał, lekarz powiedział: - Czarna pani odeszła. Odeszła daleko i nie będzie cię już niepokoić. Nigdy więcej nie będziesz o niej śnił. To zdarzenie pozostanie ci jak wspomnienie, którego nie możesz sobie przypomnieć... A teraz będziesz spał dziesięć minut i śnił, że oglądasz mecz piłki nożnej z Newcastle United.

Joe poderwał się na nogi, nie mogąc oderwać wzroku od syna. Przed oczami miał jednak czarną panią, a w głowie jakiś głos krzyczał: „Boże! Boże!”

Czarna pani. Elaine! Elaine w czarnym szlafrocuku!

Dla wszystkich pozostało tajemnicą, w jaki sposób taki mały chłopiec mógł zdjąć ciężką metalową ramę z łóżeczka. W głowie dźwięczał mu teraz głos Betty: „To niemożliwe. Pewnie Nellie zapomniała ją zasunąć”. I zaraz histeryczny głos Nellie zaprzeczający temu: „To Martin musiał ją zdjąć”.

Joe poszedł wtedy do pokoju dzieciennego, położył się na podłodze i zaczął szarpać za siatkę łóżeczka, by sprawdzić, czy wypadnie z zawiasów, lecz tak się nie stało.

Czemu nie starał się rozwikłać tej tajemnicy? Czemu? Czyżby podświadomie czuł, że ona to zrobiła? Nie, nie. Dlaczego w takim razie zostawił całą sprawę w spokoju? Czy dlatego, iż tak jak inni uważał, że to najlepsze, co się mogło zdarzyć? Nie.

- Czy domyśla się pan, o co chodzi z tą czarną panią?

Joe zamrugał powiekami, jak gdyby budził się z transu, lecz nie odpowiedział. Doktor przyglądał mu się przez chwilę.

- No cóż, mam nadzieję, że się udało - powiedział. - Czas pokaże, czy to wspomnienie zostało na tyle głęboko pogrzebane, by już więcej nie nękało Martina.

Następnie odwrócił się i idąc przez pokój zapytał swobodnie:

- Czy widział się pan ostatnio z Marcusem?

- Tak... Widziałem się z nim w poniedziałek. W klubie.

- Jak się miewa pańska żona? Czy już doszła do siebie? Joe przełknął z trudem ślinę.

- Tak, ona... czuje się już dobrze - odpowiedział z wysiłkiem. - Jest teraz w Londynie.

Doktor spojrział na zegarek, usiadł przy Martinie i powiedział cicho:

- Kiedy policzę do sześciu, Martinie, obudzisz się i niczego nie będziesz pamiętał. Powiesz tylko, że chce ci się pić, i poprosisz o coś do picia.

Raz... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć.

- Och! - Chłopiec otworzył oczy, przesunął językiem po wargach i powiedział: - Okropnie chce mi się pić. Czy... czy mógłbym dostać coś do picia?

- Tak, oczywiście. Co byś chciał? Lemoniady? Piwa imbirowego?

- Poproszę o piwo imbirowe.

Kiedy Martin pił swoje piwo, a Joe kawę, doktor gawędził z nimi swobodnie. Potem kiedy się żegnali, spojrzął Joemu w oczy i powiedział cicho:

- Lekarskie badanie jest jak spowiedź.

Joe utkwiał wzrok w brązowych oczach, po czym spuścił głowę i wyszedł bez słowa.

Rozdział 22

Gdzie on się, u diabła, podziewa? - zapytał Mike.

- Skąd mogę wiedzieć? - W głosie Betty brzmiała niecierpliwość. - Mówiłam ci, co powiedział przez telefon.
- Nie powiedział, dokąd się wybiera?
- Nie. Tylko tyle, że David zabierze Martina na szkolny koncert, w którym występuje Elizabeth.
- Telefonował z Fellburn?
- Tak.

Mike pokręcił wolno głową.

- Skoro o czwartej oddał Martina pod opiekę Davidowi, to David będzie go musiał zabrać do Eganów, bo koncert zaczyna się dopiero o szóstej. Boże! Jeśli ona się o tym dowie, całkiem zwariuje. Zresztą nie przejmuję się tym. Chłopak przecież powinien zobaczyć, jak żyją inni. Lecz jedno mnie zastanawia. Nigdy jeszcze Joe nie poszedł na takie ustępstwo... Myślisz, że coś się stało u lekarza? Nic na ten temat nie mówił?

- Nie. Przekazałam ci wszystko, co usłyszałam - oświadczyła, siadając w fotelu. - Był bardzo lakoniczny. Powiedział, że przywiózł Martina do Fellburn, a David zabierze go na koncert Elizabeth. Kiedy zapytałam, czy sam wraca do domu, powiedział, że jedzie do Newcastle.

- Czy był pijany?

- Pijany? O czwartej po południu? Oczywiście że nie, ale...
- No mów. Powiedziałaś „ale”.
- Był jakiś nieswój. Mówił tak szorstko.
- Co znaczy szorstko? Bezceremonialnie, oschle, a może...
- Och, Mike. - Poderwała się na nogi. - Powiedziałam ci

wszystko, co wiem. I na litość boską przestań się martwić, bo znowu wylądujesz w łóżku. I coś ci powiem. - Pogroziła mu palcem. - Jeśli tak się stanie, sprowadzę cię na pierwsze piętro. Nogi nas już boją od tego ciągłego biegania po schodach.

- No tak, oczywiście. Jestem dla was ciężarem i będziecie mnie traktować jak jakiegoś zniedołęźniałego, starego nudziarza.

- Właśnie.

Odwróciła się i pospiesznie wyszła z pokoju.

- Posłuchaj, panienko! - krzyknął za nią. - Jeśli sprowadzisz mnie na pierwsze piętro, to tylko w trumnie, i mam w nosie, że boją was nogi!

Betty zatrzymała się na podeście i zacisnęła usta, by nie wybuchnąć śmiechem. Mike zawsze potrafił rozbroić człowieka.

Kiedy zeszła na pierwsze piętro, zatrzymała się i spojrzała w dół.

Na stole w hallu, z prawej strony drzwi, stał telefon. Patrząc na niego, przypomniała sobie rozmowę z Joem. W jego głosie brzmiało coś, czego nie potrafiła zdefiniować. Nie była to szorstkość ani napięcie. Właśnie miała go zapytać, co wydarzyło się u doktora, kiedy odwiesił słuchawkę. Z Martinem musi być wszystko w porządku, w przeciwnym razie Joe nie oddałby go Davidowi i, jak Mike ze

zdziwieniem zauważył, nie pozwoliliby go zabrać do Eganów.

Zeszła na dół do hallu i skierowała się do kuchni. Mary siedziała przy stole, obierając owoce.

- Przygotować panience kolację? - zapytała.

- Nie, nie. - Betty pokręciła przecząco głową. - Sama sobie zrobię. Może ci w czymś pomóc?

- Nie. - Mary obierała porzeczki do dużej, brązowej, glinianej misy. - Dziękuję, panience. Szykuję to na jutro. Ech! - Pokręciła wolno głową. - Kiedyś o tej porze miałam już gotowe wszystkie świąteczne ciasta i puddingi. Niestety mam tylko jedną parę rąk.

- Tak, tak, wiem, Mary. Nie przejmuj się tym. - Betty oparła dłoń na stole. - Zresztą czy trzeba je robić tak wcześnie? Przecież i tak są na Boże Narodzenie.

- To nie to samo, panienko. Powinny być zrobione wcześniej. Wtedy są lepsze. - Zmarszczyła brwi i dodała: - Kiedyś Duffy pomagał mi obierać owoce. Siedział tu, przy tym stole. Bardzo mi go brak, odkąd umarł.

- Oczywiście, Mary.

- Ten dom nie jest już taki jak dawniej, prawda?

- No cóż, nie jestem tu tak długo jak ty, Mary - odparła Betty wymijająco.

- Ale to prawda. Kiedy żyła pani starsza, było nas w domu siedmioro i czworo do ogrodu. Mieliśmy nawet służącą do prania. A teraz ile nas zostało? Ja i Ella... to znaczy Jane. Dobra z niej dziewczyna. Ma niewyparzony język, ale pracować umie. Nie może

jednak zastąpić Duffy'ego i Nellie. A to wchodzenie na strych i konia by wykończyło.

- Nie przekonamy go, by zszedł niżej - powiedziała Betty. - Ma tam ten swój widok i pracownię.

- Wiem, wiem. Nie zrobiłabym niczego, co zakłóciłoby mu spokój. Ale... ale myślę, że pan Joe mógłby zatrudnić jeszcze kogoś do pomocy. Młodą dziewczynę, która mogłaby wspinać się po tych schodach.

- Bardzo by chciał, Mary - odparła niskim głosem Betty. - Wiem, że bardzo by chciał, ale interesy w fabryce nie idą najlepiej. Musi ograniczyć wszystkie wydatki.

- Wszystkie, powiada panienka?

Mary spojrzała na nią z ukosa, a Betty spuściła wzrok. Miała ochotę powiedzieć: „Wiem, Mary. Myślę to samo co ty”. Nie można jednak mówić służącej takich rzeczy o pani domu, która w dodatku jest twoją siostrą.

Ostatnio zdarzały się chwile, kiedy miała ochotę powiedzieć Elaine, że pieniądze, które wydaje na kosmetyki, wystarczyłyby na opłacenie drugiej pokojówki. A za połowę pieniędzy wydawanych na stroje mieliby pomoc do kuchni i chłopca do pomocy Davidowi. Jednak po namyśle postanowiła nie wymieniać imienia Davida, bo nienawiść Elaine, pomimo upływu lat, wciąż była równie silna.

- Porozmawiam z panem Joe - powiedziała. - Zobaczymy, co się da zrobić. A właśnie, jak Jane wróci dziś wieczorem do domu?

- O, nic jej się nie stanie, panienko. Jest przyzwyczajona do

śniegu. Poza tym Bill Laidler na pewno z chęcią poniesie ją na barana.

- Zaśmiały się wesoło.

- Myślisz, że się pobiorą? - zapytała Betty.

- Jeden Bóg wie, panienko. W zeszłym roku jakoś szło, ale od sprawy z tym Hitlerem ludzie przestali budować. Nie mogą dostać materiałów. Od pięciu tygodni Bill jest na bezrobotnym. Ella mówi, że jak wybuchnie wojna, wszyscy będą mieli co robić. I im szybciej, tym lepiej. Jęzor to ona ma, ta Ella, ale prawdę mówi. Jak przyjdzie wojna, mężczyźni będą wreszcie mężczyznami, a nie wystającymi na ulicy żebrakami.

- Niestety masz rację, Mary. Nie chciałabym jednak... Przerwał jej natarczywy dźwięk dzwonka, dochodzący z pokoju Mike'a.

Spojrzały na siebie.

- Dopiero co u niego byłam - zdziwiła się Betty.

- Niech dzwoni. On panienkę wykorzystuje. Wszyscy tak uważają. Wie panienka, co mówił Duffy? Że gdyby panienka była jego żoną, nie mogły tak panienki wykorzystywać. Mówił też, że przez niego i jeszcze kogoś zestarzeje się panienka przed czasem.

Dobry Boże, jacy ludzie potrafią być nieznośni, nawet ci najsympatyczniejsi.

- Lepiej pójdę i sprawdzę, o co chodzi - powiedziała. - Zwykle nie dzwoni bez powodu.

Mary mruknęła tylko coś w odpowiedzi.

Dzwonek nadal wściekle dzwonił, ale Betty nie spieszyła się. Zestarzeje się przed czasem. Czy wyglądała staro w wieku czterdziestu

lat? Nie zauważyła zmian na swojej twarzy. Wciąż wyglądała tak samo. Wciąż miała grube rysy. Zmieniła się tylko jej figura. Była teraz szczuplejsza, oczywiście na tyle, na ile pozwalała jej budowa.

Przystanęła u stóp schodów wiodących na poddasze i spojrzała w górę. Ze zdumieniem stwierdziła, że Mike stoi na podeście.

- Gdzie ty się podziewasz, dziewczyno?! - zawołał. - Chodź tu prędko.

Ruszyła biegiem po schodach, a on odwrócił się i pokuśtykał do pokoju.

- Co się stało?

- Joe.

- Joe?

- Tak, jest w samochodzie. Oparł się o parapet.

- Widziałem jego samochód przed kilkoma minutami - wyjaśnił. - Wpadł do rowu na polu Robsona, kołami do góry.

Betty spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

- Mike - powiedziała wolno. - Przecież nie mogłeś widzieć jego samochodu...

- Posłuchaj, kobieto - rzucił gniewnie. - Od lat siedzę przy tym oknie. Rozpoznaję każdy najdrobniejszy ruch samochodu. Co więcej, nie jeżdżą tędy żadne samochody, z wyjątkiem wozu doktora albo komiwożacza. Ale dziś wieczorem przy takim śniegu nikt nie odważyłby się tędy przejechać. Powtarzam, samochód Joego wpadł do rowu! - krzyknął.

- Ale ty przecież nie mogłeś tego widzieć! - krzyknęła ze złością.

- Posłuchaj. - Odwrócił się w jej stronę. - Siedzę tu w ciemności
- powiedział przez zaciśnięte zęby. - Jeśli dość długo wpatrujesz się w
ciemność, w końcu coś zobaczysz. Zobaczyłem, jak jedzie. W dodatku
znam te reflektory. Wierz mi, Betty. Nie mam halucynacji. - W jego
głosie zabrzmiała błagalna nuta. - Naprawdę ten samochód zjechał do
rowu. Zgaś światło i sama popatrz. Nie zobaczysz samochodu, ale po
jakiejś minucie wzrok się przyzwyczai i będziesz coś mogła rozróżnić
w dali.

W końcu mu wierzyła, lecz natychmiast przykryła dłonią usta.

- W Chatce nikogo nie ma i Jane też wyszła.

- To ty idź. Jeśli się pomyliłem, przejdiesz się na próżno, lecz
jeśli nie... - Spuścił głowę. - Idź. Zrób to dla mnie. Rozwiej moje
obawy.

Zbiegła po schodach i popędziła do swojego pokoju. Włożyła
sięgające kostki buty, po czym wyciągnęła z szafy palto z kapturem i
wkładała je już w biegu. Z szafki w hallu wyjęła dużą latarkę, po czym
spojrzała w stronę kuchennych drzwi, zastanawiając się, czy nie
zawiadomić Mary, lecz rozmyśliła się.

Drogę do bramy pokonała bez trudności, bo David oczyścił ją ze
śniegu. Dalej jednak musiała brnąć przez zaspę. Śnieg wsypywał jej się
do butów. Nadal padało.

Po kilku minutach dotarła do miejsca, gdzie droga opadała
stromo ku polu. Powstały w ten sposób rów nazywano rowem
Robsona. Miał on około piętnastu stóp głębokości i oddzielał go od
pola pas drzew.

Kiedy podeszła do rowu, poślizgnęła się i zjechała w dół po zboczu, lądując po pas w śniegu. Z trudem się z niego wygramoliła, ze zdumieniem stwierdzając, że wciąż trzyma w ręku latarkę. Oświetliła nią rów i wówczas dostrzegła samochód, który wbił się tyłem między dwa drzewa i przechylił ku stromemu zboczu.

- O mój Boże! - Mike miał rację. - Och, Joe! Joe! -krzyknęła, starając się zapanować nad wzbierającą paniką.

Z pobieżnych oględzin śladów kół wywnioskowała, że samochód obrócił się i zsunął tylnymi kołami z krawędzi drogi, lecz na szczęście zatrzymały go drzewa.

Zjechała po zboczu do samochodu i uderzając o przednie koła, krzyknęła:

- Joe! Joe!

Nie mogła zajrzeć do środka, bo przednia szyba była zasypana śniegiem, przeszła więc ostrożnie do drzwi i poświeciła latarką do środka. Joe leżał bezwładnie za kierownicą. Głowę miał przechyloną na prawe ramię. Wyglądał, jakby spał.

- Joe! Joe! - krzyknęła znowu.

W tym momencie wiatr cisnął jej w twarz śniegiem, omal nie pozbawiając oddechu. Rozejrzała się dokoła bezradnie. Co ona ma robić? Sama przecież nigdy go stamtąd nie wyciągnie. A może? Z tej strony nie uda jej się otworzyć drzwi, a może z drugiej?

Złapała za statuetkę na masce samochodu, podciągnęła się w górę na ciepły jeszcze metal i zsunęła na stopień, jedną ręką trzymając się za krawędź przedniej szyby. Pchnęła boczny ochraniacz i z zadziwiającą

łatwością uchyliła drzwi. Zanim jednak wsunęła się do środka, musiała ponownie zamknąć drzwi i przejść po stopniu na tył samochodu. Kiedy wreszcie otworzyła szerzej drzwi, Joe bezwładnie zwałił się na nią, przez co o mało się nie przewróciła. Posłyszała jęk, lecz w pierwszej chwili myślała, że to ona jęczy. Zaraz jednak rozległ się drugi.

- Joe! Joe! - krzyknęła rozpaczliwie, potrząsając nim delikatnie. - Jesteś ranny? Odezwij się. Joe, obudź się!

Przysunęła do niego twarz i wtedy poczuła ostry zapach whisky.

- Och, Joe! Joe!
- Gdzie... Co... Dzięki Bogu! Żyje.
- Jesteś ranny? Jęknął.
- Oooch! Booże!
- Joe! Joe! Czy coś cię boli?
- Betty. - Otworzył oczy i zamrugał powiekami. - Betty.
- Możesz usiąść?

Spróbował się podnieść. Podtrzymała go jedną ręką, drugą opierając się dla równowagi o siedzenie. W tym momencie samochód lekko się zakołysał.

- Uważaj! Ostrożnie, Joe.
 - Gdzie?... Co się stało?
 - Zjechałeś z drogi.
- Zamrugał oczami, po czym szeroko je otworzył.
- Gdzie jestem? - wycharczał.
 - Wjechałeś do rowu Robsona.
 - Wielkie nieba! - jęknął i złapał się za głowę.

- Czy coś cię boli?
- Nie... nie wiem. Kręci mi się w głowie.
- A co z nogami? Z rękami?

Wolno uniósł najpierw jedną, potem drugą nogę i pokręcił głową. Zamiast powiedzieć „dzięki Bogu”, zapytała:

- Czy dasz radę wysiąść? Samochód się przechylił. Musisz bardzo uważać, bo inaczej zsunie się w dół. Joe, słyszysz? - Potrząsnęła go lekko za ramię. - Otwórz oczy.

- Co? Ach, tak, tak, Betty. Już wysiadam. Podciągnął się w górę.

- Uważaj! - krzyknęła, kiedy przód samochodu lekko drgnął. - Posłuchaj. - Z trudem poruszała ustami. - Musisz się przesunąć i wyjść z drugiej strony. Inaczej samochód może jeszcze bardziej się przechylić.

- Dobrze. Dobrze, Betty.

Z trudem otworzył oczy i przesunął się ku światłu latarki.

Tymczasem Betty zeszła na stopień i wgramoliła się na maskę. Joe powoli przesunął się w stronę drzwi. Betty już na niego czekała. Kiedy jednak stanął na stopniu, omal nie runął na plecy. Jej ostrzegawczy krzyk sprawił, że chwycił się instynktownie listwy przy drzwiach i miękko upadł na śnieg.

Próbowała go wciągnąć na górę, on jednak przewrócił się twarzą w śnieg. Chwyciła go za ramiona i krzyknęła ochryple:

- Joe! Joe! Na litość boską wstawaj.

Odwróciła go na plecy. Leżał, ciężko dysząc. Oczy miał zamknięte, lecz mówił zupełnie wyraźnie.

- Jestem zmęczony, Betty. Straszliwie zmęczony.

- Joe, posłuchaj. Musimy się stąd wydostać. - Chwyła go za ramiona i podciągnęła do pozycji siedzącej, trzęsąc nim teraz natarczywie.

- Nie możesz tu zostać! Zamarzniesz. Oprzyj się o mnie. Chwyć mnie za ramię.

- Nie. Idź, Betty. Ja... dam sobie radę.

Kiedy ponownie zwałił się na nią, objęła dłońmi jego mokrą, obsypaną śniegiem głowę i krzyknęła mu w twarz:

- Nigdzie nie pójde. Jeśli się nie ruszysz, oboje zamarzniemy na śmierć. Więc rusz się, do diabła!

Jakim cudem udało jej się wciągnąć go na górę, na zawsze pozostało dla niej tajemnicą. Nie była słaba, lecz Joe też nie należał do cherlaków, a szok i alkohol wprawiły go w stan odrętwienia. Kiedy wreszcie wyciągnęła go na drogę, padła przy nim do cna wyczerpana, z twarzą ukrytą w zgięciu jego ręki i ramionami rozrzuconymi na boki. Spływała potem, który mieszał się ze śniegiem na głowie i wokół szyi. Choć była kompletnie przemoczona, myślała tylko o jednym: musi doprowadzić go do domu tak szybko, jak to możliwe.

Po kilku minutach ponownie nim potrząsnęła i kiedy udało jej się postawić go na nogi, jedną ręką objęła go w pasie, a drugą przerzuciła sobie jego ramię przez plecy. Nieustannie przy tym mówiła, nie pozwalając, by zasnął. W końcu oboje dotarli do bramy, a stąd już bez problemów do domu.

Zaczęła kopać w drzwi i krzyczeć:

- Mary! Mary!

Nawet nie próbowała nacisnąć dzwonka, bo wiedziała, że wtedy Joe mógłby upaść na ziemię, a nie miałyby już dość siły, by go znowu podnieść.

- O Boże Wszechmogący! Co się stało?

Mary natychmiast podparła go z drugiej strony. Jednak jej pomoc nie na wiele się zdała. Wprowadziły go do hallu.

- Do salonu - wydyszała Betty.

Mary pchnęła podwójne drzwi, po czym podreptała do kanapy i przesunęła ją w stronę kominka.

Kiedy Joe opadł bezwładnie na kanapę, Betty osunęła się na kolana, a potem na bok i leżała, ciężko dysząc.

- O mój Boże, panienko! - wykrzyknęła przestraszona Mary.

- Nic mi nie będzie, Mary - wydusiła z trudem. - Muszę tylko chwilę odpocząć.

W końcu udało jej się unieść na kolana. Mary tymczasem podłożyła Joemu poduszkę pod głowę, podciągnęła nogi na kanapę i zasypała Betty gradem pytań.

- Za chwilę, Mary, za chwilę. Najpierw... najpierw trzeba go rozebrać. I przynieść kilka butelek z gorącą wodą. Muszę zatelefonować po doktora. Wątpię jednak, czy tu dotrze. Ale... ale najpierw muszę pójść do pana starszego.

Z trudem pokonała dwie kondygnacje, a Mike, słysząc jej kroki, wyszedł na podest.

- Boże, dziewczyno! Jak ty wyglądasz? I co z nim? - zapytał.

- Wszystko w porządku. Jest w salonie. - Oparła się o ścianę.
- Czy bardzo jest poturbowany? - zapytał. Zaśmiała się w odpowiedzi.

- Co z tobą, dziewczyno? Pytałem, czy jest ranny?
- Słyszałam, Mike. Nie ma złamanych kości. Może mieć wstrząs mózgu, ale przede wszystkim jest pijany.

- Pijany? Cholerny głupiec - mruknął po chwili. Już miał wejść do pokoju, lecz odwrócił się jeszcze i powiedział: - Jeśli o to chodzi, to wejdź i też golnij sobie łyczek.

- Nie, nie. Ja... muszę jeszcze zejść do niego. Ruszyła na dół.
- Sama go tu przyprowadziłaś? - zapytał.
- Jakoś nie udało nam się spotkać po drodze żadnego świętego Mikołaja z saniami.

RS
Nie zabrzmiało to wesoło.

W hallu zatelefonowała do doktora Pearce'a i wyjaśniła, co się stało.

- Wątpię, czy uda mi się przyjechać - powiedział. - Właściwie to na pewno nie. Mówi pani, że kości są całe?

- Tak mi się wydaje.
- Czy jest senny?
- Tak.
- W takim razie mógł doznać wstrząśnienia mózgu. Skoro jednak doszedł sam do domu, to nie sędzę, by było to coś poważnego.

Odchyliła głowę w tył i zacisnęła mocno oczy.

- Jest tam pani?

Kiedy się odezwała, mówił dalej:

- Przede wszystkim trzeba go okryć ciepło i podawać dużo płynów, na przykład słabą herbatę. Żadnych środków pobudzających. Jeśli do jutra rana nie będzie lepiej, postaram się przyjechać. W każdym razie proszę telefonować.

- Dziękuję, doktorze.

Odłożyła słuchawkę, lecz nie ruszyła się z miejsca. Potem spojrzała na swoje nogi.

Jeszcze przed chwilą spływała potem, a teraz cała się trzęsła. Powinna najpierw zdjąć buty i zmienić pończochy. Dopiero wtedy się nim zajmie. Niepokój o jego zdrowie minął i pozostała tylko irytacja. Gdyby się nie upił, nie doszłoby do tego. Dobrze, że nie ma tu Elaine i Martina.

Joe obudził się koło czwartej nad ranem. Otworzył oczy i zaraz je zamknął, bo światło w pokoju wbijało mu się w mózg niczym ostre sztylety. W głowie huczał mu bęben i tysiące fujarek, a całe ciało miał obolałe. Gdzie on jest? Co się stało? Po kilku minutach udało mu się otworzyć oczy i przekręcić głowę na bok. Salon. Co on robi w salonie? I kim jest ta skulona w fotelu osoba? Zamrugał powiekami i spróbował szerzej otworzyć oczy. To Betty. Co ona tu robi? Co się stało? Ponownie zamknął oczy. Zawiózł Martina do doktora Leveya. Tak, teraz sobie przypomina.

Był z Martinem u doktora Leveya. O Boże! Jeszcze raz będzie musiał przez to przejść. Ale gdzie tu miejsce dla Betty? Poszedł potem się napić. Ile tego było? Dwie, trzy, cztery, pięć szklaneczek? W końcu

stracił rachubę. Zamiast do klubu poszedł do baru, do trzech barów. A potem wsiadł do samochodu. Dojeżdżał już do domu; widział nawet jego światła.

- Leż spokojnie. Jak się czujesz? Spojrzał na nią.
- Och, Betty.
- Wszystko w porządku. Nic ci nie będzie.
- Co się stało?
- Pojechałeś na skróty przez rów Robsona.
- O Boże! - Spróbował poruszyć głową. - Rów Robsona. Jak...

jak mnie znalazłaś?

- Mike zobaczył nadjeżdżający samochód. Poszłam tam.
- Ty?
- Tak, ja. A teraz śpij.
- Nie, nie. Au! Przepraszam cię, Betty. Wybacz mi.
- W porządku. A teraz śpij.
- Czy... czy mógłbym dostać coś do picia?
- Może być herbata?
- Tak, wszystko jedno.

Podeszła do stolika i napełniła dwie filiżanki. Wypił, po czym zapytał:

- A co z samochodem? Rozbity?
- Zawisł między dwoma drzewami.
- Zawisł między... - Poruszył nieznacznie głową. - Jak... jak mnie

stamtąd wyciągnęłaś?

- To długa historia. Szkoda tylko, że tak dużo jesz. Jesteś

potwornie ciężki.

- Och, Betty - powtórzył jeszcze raz. Spuścił głowę i wymruczał:
- Byłem w pestkę pijany.
- Faktycznie byłeś.
- Miałem ku temu powód.
- Tak?

- Dowiedziałem się, jak... jak umarła mała dziewczynka. Kiedy Betty milczała, uniósł głowę i spojrzał na nią. Siedziała nieruchomo i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- To Elaine. Pamiętasz jej czarny szlafroczek? No więc... Martin widział, jak weszła do pokoju. Miał twarz przykrytą rozsuniętymi szeroko palcami, o tak - zademonstrował. - Nie zdawał sobie sprawy, kim ona jest. W pokoju paliła się tylko lampka i... i poza tym zawsze mówił jej „dobranoc” w saloniku. Nigdy nie wchodziła do dzieciennego pokoju. Nie rozpoznał jej w tym przyćmionym świetle i czarnym szlafroku. Widział, jak opuszcza siatkę, chwyta za materac i zrzuca dziecko na podłogę.

Betty nie krzyknęła głośno: „Nie!”, bo opowieść Joego potwierdziła jej podejrzenia. Pewnego dnia poszła do dzieciennego pokoju i opuściła siatkę w łóżeczku, zastanawiając się, jak chłopiec mógł ją zdjąć z zawiasów. Jednak teraz nie mogła w to uwierzyć. To było takie niewiarygodne.

- Co ja mam zrobić, Betty?

Nie odpowiedziała, bo wiedziała, że cokolwiek mu poradzi, on i tak zrobi po swojemu.

- Czy... czy Martin... czy ten seans dobrze mu zrobił? -zapytała niepewnie.

- Tak sądzę. Kiedy był w hipnozie, doktor powiedział mu, że już nie będzie miał żadnych koszmarów.

- To takie proste?

- Tak. Jednocześnie jest w tym coś niezrozumiałego. - Pochylił głowę i mruknął jakby do siebie: - To nie tylko chodzi o to, co zrobiła, ale pozwoliła, by wszyscy przypuszczali, że to wina chłopca, wiedząc, iż któregoś dnia ktoś, kto usłyszy wersję Nellie McIntyre, a może również Elli, Duffy'ego i Mary, ciśnie mu w twarz: „Zabiłeś swoją siostrę, kiedy miałaś cztery lata”. Mógłbym ją za to zabić. Gdyby tu teraz była, nie wiem, co bym jej zrobił. Pamiętam, że dziękowałem wczoraj Bogu, że wyjechała, bo wróciłbym prosto do domu i Bóg jeden wie, co mogłoby się stać.

Utkwiła wzrok w złączonych dłoniach, spoczywających na kolanach.

- Gdybyś zapobiegł zrodzeniu się w nim poczucia winy, wyjawiając prawdę, co pomyślałby o swojej matce? Podejrzewam, że czułby się jeszcze gorzej, bo bardzo ją lubi.

- Nie bardzo - powiedział szybko, ostrym głosem.

- Jak możesz tak mówić? - Spojrzała na niego zaskoczona.

- Bo wiem. Nie tylko mnie ona przyprawia o frustrację.

Wszystkiego mu zabrania. Martin lubi Elizabeth, a ona nie pozwala mu z nią rozmawiać. Lubi też Davida i Hazel, ale nie wolno mu do nich chodzić. Odtąd wszystko się zmieni. Bez względu na to, ile mnie to

będzie kosztowało. - Nagle, jakby pod wpływem jakiegoś impulsu, ukrył twarz w dłoniach i jęknął. - Boże! Boże! Nie mogę w to uwierzyć. Jest taka delikatna, taka krucha, a mimo to potrafiła wyrzucić dziecko z łóżeczka.

Betty westchnęła głęboko.

- Nie zapominaj, że to nie było zwykłe dziecko i że... że ona je urodziła.

- Tym gorzej. - Podniósł na nią wzrok. - Nie rozumiesz, że to tylko pogarsza sprawę? Ja byłem ojcem, a nie chciałem, żeby umarło.

- Ale uważałeś, że lepiej, gdyby takie dziecko się nigdy nie urodziło. Chciałeś, żeby go nie było... Nie zaprzeczaj, Joe - uniosła rękę - bo ja sama czasami tego pragnęłam. I chyba się zgodzisz, że mam tu więcej do powiedzenia niż ty czy Elaine. Ta straszna bezradność małej powinna była wywołać we mnie uczucie miłości. Może tobie udało się ją pokochać, ale ja nie mogłam. Robiłam, co musiałam, a kiedy umarła, nie czułam nic z wyjątkiem ulgi. I ty pewnie czułeś to samo... W tej chwili nie ma dla mnie znaczenia, jak umarła.

Patrzył na nią z lekko otwartymi ustami.

- Myślałem... myślałem, że ją kochasz.

- Och, Joe. Współczułam jej i litowałam się nad nią, dbałam o jej potrzeby, lecz jeśli myślisz o miłości, to pozwól, że cię zapytam: Czy ty ją kochałeś? Byłeś przecież jej ojcem.

Spuścił głowę i natychmiast ją podniósł, kiedy usłyszał kichnięcie. Zobaczył, że cała się trzęsie.

- Przeziębłaś się.

Nie odpowiedziała, tylko odwróciła się w stronę kominka i dorzuciła kilka drewna.

Tak, czuła się chora. Była zziębnięta na kość. W tej chwili marzyła, by znaleźć się jak najdalej od tego domu, w pokoju, który zawsze na nią czekał - u lady Mary. Miała dość wszystkiego i wszystkich. Co tu miała za życie? Tylko praca i niewdzięczność. W dodatku, kiedy spojrzy teraz na siostrę, będzie widzieć, jak ona opuszcza siatkę, unosi materac i zrzuca to bezbronne dziecko na podłogę.

Rozdział 23

Chcesz powiedzieć, że jej nie potępiasz? - zapytał Joe.

- Nie obwiniam, nie potępiam, wszystko jedno, jak to nazwiesz - powiedział Mike. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, to jest to jedyna dobra rzecz, jaką w życiu zrobiła.

- Chyba żartujesz.

- Nie żartuję, chłopcze. Urodziła potworka. Pomyśl, mógł żyć do dziś. Jak by teraz wyglądał? Ciało bez rozumu, bo nie miał przecież rozumu. Jego umysł był jak biała kartka. Nie. - Potrząsnął energicznie głową. - Nie zaskoczyłeś mnie swoimi nowinami, chłopcze. Posłuchaj mojej rady i nie wywołuj wilka z lasu. Skoro z chłopcem ma być wszystko w porządku, to powinieneś się tylko cieszyć.

- Cieszyć? - powtórzył z goryczą Joe. - Cieszyć z tego, że moja żona jest zdolna do czegoś takiego?

- Nigdy jej nie lubiłem - powiedział cicho Mike. - Doskonale o tym wiesz. Kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem, pomyślałem sobie: Mój Boże, jest inna od tej, która mnie oczarowała. Niestety okazało się, że jest taka sama. To replika twojej matki. I jak się wkrótce okazało, przypomina ją również charakterem. Czy twoja matka mogłaby opuścić siatkę i wyrzucić kogoś na podłogę? Na Boga, tak. Nie mogę powiedzieć, że dzięki temu, co twoja żona zrobiła, zyskała moją sympatię, lecz potrafię docenić jej odwagę. Kiedy będziesz ją potępiał, nie zapominaj, że drogo ją to kosztowało. Podejrzewam, że zapłaciła za to właśnie tym rozstrojem nerwowym. Dlaczego doszło do drugiego ataku, kiedy przyprowadziłeś do domu Elizabeth, jeden Bóg wie. Tak czy owak stało się. Na twoim miejscu zostawiłbym sprawy swojemu biegowi. Innym wyjściem jest rozwód. Lecz to wstrętne słowo. W dodatku nic na nią nie masz.

- Nie byłbym tego taki pewny.

Mike spojrzał na niego spod zmrużonych powiek.

- Doprawdy?

- Tak. Wierzysz, że jeździ tak często do Londynu tylko po to, by zrobić zakupy i odwiedzić wuja? Nie przejmowałaby się tak tym starym człowiekiem, gdyby nie miała w tym swojego interesu. A ja wiem jaki.

- Tak?

- Jakies dwa lata temu Marcus widział ją w restauracji z

mężczyzną.

- To jeszcze żaden dowód.

- Zaczekaj chwilę. Był tam znowu na tygodniowej konferencji.

To znaczy Marcus. Kiedy zobaczył ich po raz trzeci, po prostu do nich podszedł i ona musiała go przedstawić temu facetowi. Zapomniałby o wszystkim, gdyby nie powiedziała, że ten mężczyzna jest jej starym przyjacielem i właśnie się spotkali.

Mike westchnął głęboko.

- Zawsze mówiłem, że przyjaciele są niezwykle użyteczni.

- Nie mam pretensji do Marcusa, że mi powiedział. Zresztą nie przejąłem się tym. - Spojrzał w bok. - Raczej tym, że zostałem wystrychnięty na dudka. Na moje uczucia to jednak wtedy nie wpłynęło. Kiedyś powiedziałeś, że minie wiele czasu, nim przejrzę na oczy. Miałaś rację. Teraz jednak mam oczy szeroko otwarte i to od czasu, kiedy wpadły mi w ręce jego listy.

- Wpadły ci w ręce?

- Tak. Od jakiegoś czasu zaczęła zamykać na klucz szufladę w biurku. Ale ja mam zapasowe klucze. Już same te listy wystarczyłyby do otrzymania rozwodu.

- Kim jest ten gość? Znasz go?

- Tak. Kiedyś mi go przedstawiła. Z tego, co wiem, mieli się pobrać. Myślę, że wyszła za mnie na złość tamtemu. Tak czy owak teraz jest żonaty i ma rodzinę.

- Mój Boże, co się dzieje w tym domu. - Mike odwrócił twarz w stronę okna. - Wiesz, to nigdy nie był szczęśliwy dom, ale na swój

sposób zawsze go kochałem. Jak własne dziecko. Zastanawiałem się niedawno, jak długo jeszcze będziemy mogli tu zostać. - Odwrócił się i spojrzał na Joego. - Obawiam się, że wkrótce będziemy musieli się go pozbyć.

- Och, nie dojdzie do tego.

- Nie bądź taki pewny. Baxter i brak zamówień mogą nas wykończyć.

- Mamy jeszcze kapitał.

- Który wkrótce stopnieje, kiedy trzeba będzie ratować upadającą firmę.

- Nie martw się. Nie dopuszczę do tego. Prędeż ją sprzedam.

- Mój Boże! Do czego to doszło po tylu latach starań i wysiłków.

Trudno w to uwierzyć. Ale wracajmy do naszych baranów. Co zamierzasz jej powiedzieć, kiedy wróci?

- Muszę się nad tym zastanowić.

- A więc zrób to, tylko na spokojnie. Tymczasem trzeba pomyśleć o Betty. Mocno się przeziębila. Zresztą trudno się dziwić.

Jak, na Boga, udało jej się wyciągnąć cię na drogę i sprowadzić do domu, nie wiem.

- Ani ja.

- Leży w łóżku?

- Nie. Leży na kanapie w salonie.

- Jeśli się jej nie polepszy, trzeba będzie zadzwonić po doktora.

- Też o tym myślałem.

Mike obrócił się w fotelu i spojrzał w ślad za wychodzącym z

pokoju synem.

- Następnym razem, kiedy postanowisz się upić, zamknij się w pokoju - powiedział cicho.

- Tak zrobię. Może nawet dziś wieczorem - odpowiedział Joe.

Doktor został wezwany do Betty we wtorek rano. Miała trzydzieści dziewięć stopni gorączki i lekarz stwierdził u niej ciężki bronchit. W ciągu dnia jej stan się pogorszył i kiedy Joe wrócił do domu, Mary powiedziała:

- Z panią jest bardzo źle. Myślę, że trzeba znowu wezwać doktora. Wygląda mi to na zapalenie płuc, a nie bronchit.

Doktor Pearce zjawił się o dziewiątej wieczorem, brnąc w mokrym śniegu i strugach deszczu. Potwierdził diagnozę Mary. Tak, zapalenie płuc, ale nie powinni się tym martwić. Niech Joe przyśle kogoś po leki i syrop, który ułatwi oddychanie i złagodzi kaszel. On sam wpadnie tu ponownie jutro rano.

W piątek wszyscy w domu wiedzieli, że stan Betty jest bardzo ciężki. Gorączka nie spadała i chora wciąż miała trudności z oddychaniem. Joe poszedł do fabryki na godzinę i zaraz wrócił do domu. Dwukrotnie w ciągu dnia telefonował do Londynu, lecz nikt w domu Hughes-Burtona nie odpowiadał.

Po trzeciej bezskutecznej próbie poszedł do jadalni i nalał sobie potężną porcję whisky. Jeśli Elaine nie wróci dziś do domu, będzie musiał wynająć pielęgniarkę. Nie mogli dłużej tak żyć. Wszyscy byli u kresu wytrzymałości. Mary i Ella padały z nóg. Nawet ojciec opuścił swoje królestwo, by posiedzieć przy Betty. Miał zasepioną twarz i

niepokój w oczach.

Joe podszedł do okna i spojrzął w niebo. Było zachmurzone i szare, tak jak ogród, dom i jego życie.

Co będzie, jeśli ona umrze?

Odwrócił się od okna, odstawił szklaneczkę na stół i usiadł w fotelu. Oparł łokcie na kolanach, zacisnął dłonie i spuścił głowę. Nie, nie umrze. Ma silny organizm. „Trzeba było końskiej siły, żeby wciągnąć człowieka na to wzniesienie, a potem przywlec do domu - powiedział Mike wczoraj wieczorem. - Ale Betty nie jest koniem. W tym wielkim ciele kryje się kobieta, wrażliwa, wspaniała kobieta, i jeśli coś jej się stanie, nigdy ci tego nie wybaczę”.

Sam by sobie tego nie wybaczył. Życie i tak jest dość ponure, lecz bez Betty stanie się puste. Gdyby Elaine umarła lub porzuciła go, nie zrobiłoby to na nim takiego wrażenia jak odejście Betty. Było to dla niego dziwne i niepojęte.

Drzwi salonu się otworzyły i stanął w nich Martin.

- Tatusiu, Mary nie pozwoliła mi zobaczyć cioci Bert - powiedział, podbiegając do niego. - Byłbym cicho jak myszka.

Siedziałbym i...

Joe położył dłoń na głowie syna.

- Ciocia Betty jest bardzo chora. Nie można jej przeszkadzać.

- Czy... czy ona umrze?

- Ach nie! Skąd - odparł ze śmiechem Joe.

- To czemu Ella... to znaczy Jane... och, dlaczego ona teraz płacze w hallu?

- Och! - Joe odwrócił się, wziął ze stołu szklaneczkę i zanim odpowiedział, wychylił ją do dna. - Znasz Ellę. Płacze na weselach, na filmach i kiedy jest zmęczona. A teraz jest bardzo zmęczona. Mary też. - Położył dłoń na głowie chłopca i dodał: - Więc nie przeszkadzaj im. Ale powiem ci, co możesz zrobić: możesz pomóc w kuchni. Jestem pewny, że Mary da ci coś do roboty. Albo możesz pomóc Davidowi. Na pewno bardzo się ucieszy.

Chłopiec spojrzał ojcu w oczy.

- Lepiej... zostanę w domu, tatusiu - powiedział powoli.

- Świetnie. Idź i powiedz Mary, że będziesz jej drugą parą nóg. - Uśmiechnął się blado. Lecz chłopiec nie odwzajemnił uśmiechu. Po prostu odwrócił się i wolno wyszedł z jadalni...

Doktor zjawiał się ponownie o czwartej.

- Jest bardzo słaba - poinformował. - Ale ma silny organizm.

Miejmy nadzieję, że wystarczająco silny. Trzeba stale nad nią czuwać. Chyba powinien pan wynająć pielęgniarkę na noc.

- Myślałem o tym. Ale dziś wieczorem ma wrócić moja żona.

Wtedy damy sobie radę. Jeśli nie wróci, z samego rana poślę po pielęgniarkę. Tymczasem sam przy niej posiedzę.

Doktor spojrzał na niego znacząco.

- Tu potrzebna jest kobieta - powiedział. - Nie można dopuścić, by leżała w mokrej pościeli.

- W takim razie będą przy niej Mary i Ella. Któraś z nich mi pomoże. Poza tym nie jestem taki bezradny. Opiekowałem się nią przez ostatnich kilka dni.

- Nie mógłby pan się skontaktować z żoną? Przecież są siostrami. Powinna być przy niej.

- Dzwoniłem wiele razy, ale nikt się nie zgłasza. Pewnie jest w drodze do domu. Pojechała do swojego wuja do Londynu.

Doktor pokiwał głową, co Joe odebrał jako dezaprobatę. Nie wiedział jednak, czy chodziło mu o to, że dawno już powinien zatrudnić pielęgniarkę, czy też o to, że Elaine nie ma, kiedy jest potrzebna.

Dochodziła trzecia w nocy. W pokoju było gorąco i duszno. Świszczący oddech Betty rozlegał się w panującej ciszy. Kołdra unosiła się i opadała wokół jej szyi. Twarz miała ciemnoróżowy odcień. Po skroniach ciekły jej cienkie strumyczki potu.

Joe nie przestawał ocierać jej twarzy miękkim ręcznikiem, jednocześnie odsuwając jej włosy z czoła. Od czasu do czasu wsuwał rękę pod kołdrę i sprawdzał, czy Betty bardzo się spociła. Od jedenastej wieczorem zdążył już dwa razy zmienić prześcieradła. Sam czuwał przy Betty. Mary i Ellę odesłał do łóżek, obiecując, że je obudzi w razie potrzeby. Wiedział, że ojciec również nie śpi, bo co jakiś czas słyszał stuk jego laski o podłogę.

- Joe...

- Tak? - Pochylił się nad nią.

- Joe...

Jej głos przypominał świszczący szept i widać było, ile wysiłku kosztuje ją wypowiedzenie słowa.

- Chcesz pić?

Wstał, a ona zaprzeczyła gestem ręki i wpatrywała się w niego, oddychając ciężko.

Kiedy kilka minut później ponownie wsunął dłoń pod prześcieradło - ciało miała zimne od potu.

- Muszę cię przebrać - powiedział miękko. Ona jednak nie zareagowała.

Podszedł do stojącego przy kominku stojaka do wietrzenia pościeli i zdjął z niego koszulę nocną i dwa prześcieradła. Po zostawiając na miejscu koce i pierzynę, wyciągnął delikatnie mokre prześcieradła i postępując zgodnie z instrukcją Mary zaczął układać suche, poczynając od nóg i przesuwając ku górze. Najpierw uniósł nogi Betty, potem pośladki, następnie podłożył rękę pod plecy, posadził ją i wygładził prześcieradło. Z kołdrą poradził sobie bez trudu. Pozostało jeszcze zmienić koszulę nocną.

Przy całej operacji, podobnie jak przy poprzednich, nie stawiała żadnego oporu. Zachowywała się z taką obojętnością, jakby robił to co noc od dawien dawna.

Zachowując wszelkie pozory przyzwoitości, wsunął ręce pod prześcieradło i ściągnął z niej mokrą koszulę, odsłaniając jedynie piersi. Były jędrne i krągłe. Przez głowę przemknęła mu myśl, że jest chyba jedynym mężczyzną, który je kiedykolwiek oglądał.

Na końcu zmienił poszewkę na poduszkę i ułożył Betty delikatnie na plecach.

- Lepiej teraz?

Nie odpowiedziała, tylko wciąż się w niego wpatrywała. Po

wrzuceniu mokrej pościeli do kosza na bieliznę umył ręce i spuścił rękawy koszuli. Następnie usiadł przy łóżku i wziął ją za rękę. Poczuł, jak zaciska palce wokół jego dłoni.

- Joe... - wydyszała.

- Co, kochanie?

- Joe... Ja... umieram.

Coś ścisnęło go za gardło. Spuścił głowę.

- Nie, Betty - zaprotestował po chwili.

- Tak... Joe.

Nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Gdzieś pod powiekami paliły łzy.

- Joe... Ja... ja chcę ci coś powiedzieć. - Zaczęła szybciej oddychać. - Teraz... teraz mogę ci już powiedzieć. - Jej oczy wpatrywały się w niego intensywnie. - Ja... cię... Kocham. I... i zawsze kochałam. Teraz to już nie ma znaczenia... nikogo tym nie skrzywdzę.

Mimowolnie otworzył usta i poczuł, jak mięśnie twarzy mu się napinają. Wszystko nagle w nim znieruchomiało. Patrzył w jej czerwoną od potu twarz, otoczoną ciemną aureolą włosów, aureolą, która niosła zapowiedź tego, co lada chwila mogło się stać i co unosiło się w pokoju niczym czarna chmura.

Stopniowo zaczął dochodzić do siebie. Co ona powiedziała? Powiedziała, że go kocha i zawsze kochała. Betty go kocha. Nagle przypomniał sobie tamtą noc przed laty, kiedy myśl o niej przyniosła ulgę spragnionemu kobiecie ciału. Powinien wówczas się czegoś domyślić. Przez te wszystkie lata mieszkała z nim pod jednym dachem

i niczym się nie zdradziła. Dobry Boże! Och, Betty, Betty.

Pochylił się nad nią i przycisnął jej rękę do piersi. Tysiące słów przelatywało mu przez głowę, lecz nie był w stanie ich wypowiedzieć, bo dławiące łzy ścisnęły go za gardło.

Położył głowę na poduszce i przytulił twarz do jej twarzy. Potem dotknął wargami rozpalonego czoła, policzków, ust. Wsunął jej rękę pod plecy i odwracając ku sobie jej bezwładne ciało, wyszeptał błagalnie:

- Nie odchodź, Betty. Potrzebuję cię i... i pragnę. Poruszyła nieznacznie ręką, jakby w słabym proteście.

- Uwierz mi, Betty - powiedział ruskim, ochrypłym głosem. - Naprawdę cię potrzebuję. Nie tak jak dotąd, ale dla siebie. Pragnę cię teraz tak jak niczego na świecie. Słyszysz? Musisz mi uwierzyć. Tylko ciebie pragnę. To tak, jakbym nagle przejrzał na oczy. A właściwie nie tak nagle. Posłuchaj. - Przyciągnął ją do siebie. - Już jakieś siedem, osiem lat temu chciałem ci to powiedzieć.

Oddychała spazmatycznie, lecz jej usta rozciągnęły się w nikłym uśmiechu. Uniosła rękę i dotknęła jego policzka.

- Och, Joe... Joe... - szepnęła, kiedy poczuła jego łzy na swoich palcach.

Ułożył jej głowę na poduszce i przełknął z trudem ślinę.

- Walcz, Betty, walcz - powiedział urywanie. - Będę przy tobie przez cały czas. Tylko walcz. Nie odchodź... Nie możesz teraz odejść, nie możesz.

Patrzyła na niego przez chwilę.

- Nie mogę - wyszeptała. - Nie mogę teraz odejść.

Rozdział 24

Dopiero na początku kwietnia 1939 roku Betty po raz pierwszy wyszła z domu. Lekarstwa, które miały jej pomóc zwalczyć zapalenie płuc, wywołały uboczne skutki. Żołądek nie trawił żadnych pokarmów, jelita reagowały więc ciągłą biegunką. Lecz dopiero po trzech następnych tygodniach mogła wybrać się w podróż. Joe miał ją zawieźć do lady Ambers.

Pożegnała się z Mary i Ellą, a także z Martinem przed jego wyjściem do szkoły i wolno weszła po schodach na poddasze. Mike wziął ją za rękę i powiedział:

- Obiecuj, że wrócisz.

- Wrócę, Mike - odparła cicho. - Nie obawiaj się, wrócę. Gdzieś indziej mogłabym mieszkać, jeśli nie tu, gdzie zostaje moje serce - dodała.

Nigdy w życiu nie czuła się taka szczęśliwa. Od owej nocy, kiedy Joe powstrzymał ją przed odejściem tam, gdzie, jak się zdawało, czekały ją przynajmniej spokój i ulga, mogli jedynie wymienić uścisk dłoni, bo w sobotę wróciła Elaine i wynajęto na noc pielęgniarkę. Ani razu nie byli sami. Nie miało to jednak znaczenia. Jej serce przepełniała miłość i była pewna, że zdarzył się cud, bo on czuł do niej to samo.

Nie wiedziała, jak to się mogło stać, i nie zastanawiała się nad tym. Była jeszcze bardzo słaba. Czuła zadowolenie... choć nie było to najważniejsze słowo, by wyrazić wdzięczność za to, że żyje.

W hallu Elaine ucałowała ją na pożegnanie i powiedziała:

- Wracaj silna i zdrowa.

Wiedziała jednak, że Elaine nie obchodzi, czy ona wróci, czy nie. Nie była już jej potrzebna. Właściwie to od dawna nie była już jej potrzebna. Jeszcze zanim Elaine jej oświadczyła, że jeździ do Londynu, by spotkać się z Lionelem Harrisem. Betty odkryła jej sekret podczas jednej z rzadkich wizyt w Londynie. Zmarł jedyny syn wuja Turnbulla Hughes-Burtona i pojechały z Elaine na jego pogrzeb. Wtedy właśnie zobaczyła ją z Lionelem Harrisem. Powiedziała jej wówczas, że tylko ślepy by nie zauważył, że łączy ich coś więcej niż zwykła znajomość dwojga przyjaciół, którzy spotkali się po latach niewidzenia.

Tak czy owak odrywała się teraz od tego wszystkiego, a przez kilka następnych godzin będzie sama z Joe.

Joe pomógł jej wsiąść do samochodu i okrył jej nogi kocem. Potem usiadł za kierownicą. Nie odwrócił się jednak, by pomachać Elaine, która stała na ganku. Wysunął rękę przez okno, dopiero kiedy skręcili za róg domu, wiedząc, że ojciec będzie patrzył.

Jak tylko miną bramę, Elaine zapewne zacznie się szykować do wyjazdu do Londynu. Minione tygodnie musiały być dla niej ciężką próbą lecz nie potrafił jej współczuć. Chciał nawet wyznać jej całą prawdę, by nie myślała, że jest taka sprytna, a on taki naiwny, jak sądziła. I dawno już by to zrobił, gdyby nie Betty.

Kiedy wyjechali z miasta i znaleźli się na pustej drodze, Betty pochyliła się i powiedziała:

- Pozwól mi usiąść z przodu, Joe.

Zatrzymał samochód, odwrócił się i spojrzał na nią.

- Nie będziesz mogła wyciągnąć nóg.

Zaległa cisza. Patrzyli sobie przez chwilę w oczy, po czym Joe przesiadł się na siedzenie obok niej. Ich ręce i oczy ponownie się spotkały. Potem objęli się ramionami i zwarli w gorącym pocałunku, a czas jakby się nagle zatrzymał.

- Och, Betty, Betty. Nie potrafię wyrazić słowami tego, co czuję. Wierzysz mi?

- Tak, Joe.

- To tak, jakbym się na nowo narodził. Nigdy nie sądziłem, że mogę być jeszcze szczęśliwy... nie aż tak. - Zmarszczył brwi i odwrócił twarz. - Moje małżeństwo nigdy nie było szczęśliwe. Szalone, tak, ale nie szczęśliwe. Czy ty... naprawdę mnie kochasz, Betty?

- Nawet nie wiesz jak bardzo. Przez lata chowałam to uczucie głęboko w sercu. Jedyłą pociechą były dla mnie sny. Nie marzenia, nie pozwoliłabym sobie na nie, ale śniłam o tobie prawie każdej nocy. W tych snach zawsze mnie kochałeś, a... a ja byłam piękna.

- Ależ ty jesteś piękna.

- Och, Joe. - Zamknęła oczy i spuściła głowę. - Nie drwij ze mnie.

Ujął ją za brodę i powiedział czule:

- Spójrz na mnie, Betty. Tak naprawdę zobaczyłem cię po raz

pierwszy tej nocy, kiedy byłaś bliska śmierci. Było w tobie jakieś szczególne piękno, które wciąż masz w sobie. Widać je w twoich oczach. Nigdy nie myślałem o tobie w ten sposób, ale odkąd... odkąd wiemy, co czujemy do siebie, stałaś się piękna i będziesz coraz piękniejsza.

Zamrugła oczami, a on przesunął palcem wzdłuż linii jej ust.

- Co my teraz zrobimy, Betty? - zapytał. - Tak nie może dalej trwać.

- O, mój Boże, będziemy musieli się nad tym zastanowić. Tylu ludzi moglibyśmy zranić.

- Elaine na pewno nie zranimy.

- Mylisz się. Gdybyś wybrał kogoś innego, może by ci wybaczyła, ale nie mnie. Wyobrażam sobie, co by mi powiedziała...

- Ona nie ma prawa ci nic mówić, bo od dłuższego czasu spotyka się z pewnym mężczyzną w Londynie.

Kiedy nic na to nie odpowiedziała, spojrzał na nią spod zmrużonych powiek.

- Wiedziałaś?

- Tak.

- I nic nie powiedziałaś?

- Nie mogłam.

- No tak, nie mogłaś. Ale to ułatwia sprawę. Nie może rzucać w ciebie kamieniami.

- Chciałabym w to wierzyć.

- Betty, my musimy być razem. Potrzebuję cię. Czy i ty czujesz

to samo?

Zacisnęła palce na jego dłoni. Spojrzał jej w oczy i zapytał cicho:

- Gdzie i kiedy?

- Myślałam o tym - powiedziała, odwracając wzrok. - W

ostatnim liście lady Mary napisała, że musi wyrwać sobie zęby, cztery tylne. Z tego powodu będzie musiała zostać na noc w szpitalu. Jedzie tam w przyszły piątek.

Odwrócił jej twarz ku sobie i długo patrzył w oczy, po czym delikatnie pocałował ją w usta. Następnie podał jej rękę i pomógł przesiąść się na przednie siedzenie samochodu.

Lady Mary powitała Betty w charakterystyczny dla siebie sposób.

- No, nareszcie przyjechałaś - oznajmiła. - O Boże! Wyglądasz jak strach na wróble. Co oni z tobą zrobili? Nie ma co pytać, zaharowałaś się na śmierć. - Tu spojrzała na Joego. - Może pan sobie dzwonić, gwizdać, wysyłać dymne sygnały, ona będzie tu przynajmniej przez miesiąc, a może nawet zostanie na stałe, jeśli się o to postaram.

Chwilę później siedzieli w salonie.

- No a pani jak się czuje? - zapytała Betty, kiedy mogła wreszcie wtrącić słowo.

- Ja? Och, ja jestem zdrowa jak rydz, z wyjątkiem tych przeklętych zębów. Dałabym im spokój, choć czasami można oszaleć z bólu, tylko że oddech mam przez nie śmierdzący niczym kloaka. Zauważyłam to ostatnio. Dlaczego nikt nie powie, że masz przykry oddech? Dlaczego nikt nie da jakiegoś znaku, nie skrzywi się czy coś w tym rodzaju? Ja bym tak zrobiła.

Betty uśmiechnęła się i pomyślała: Tak, ty na pewno. Jak dobrze znowu się tu znaleźć. Miała wrażenie, jakby wróciła do domu. Ten pokój nie był nawet w połowie tak duży jak salon Elaine, ale za to wygodniejszy i bardziej przytulny.

- Czy ci mówiłam, że Nancy wyszła za mąż? Głupia dziewczyna. Mieszka teraz we wsi. Założę się, że to pani Bailey namówiła ją do tego. Pewnie powiedziała: „Wyjdź za mąż, a będziesz miała wymówkę, by tu nie mieszkać”. Nie znosiłam tej pani Bailey. To parweniuszka, prawdziwa parweniuszka. Żeby wysłać swego syna do Oxfordu, też coś! Pani Pollard jest o wiele lepsza, zna swoje miejsce... Byłam tu sama przez cztery dni.

- A co z Dobsonem i jego żoną? Odeszli?

- Nie, nie, nie odeszli. Dlaczego mieliby odejść? Wiedzą, gdzie im dobrze. Wiesz, co zrobiłam? Zainstalowałam w ich domku łazienkę. Tak, łazienkę. No, ale oni mieszkają trzysta jardów ode mnie. Co zrobię, jeśli nagle będę ich potrzebować?

- Musi pani założyć im telefon. Wtedy będzie pani mogła w każdej chwili do nich zadzwonić.

- Tak, tak. - Pokiwała głową. - Naturalnie. Tak właśnie zrobię. Jego żonie to się nie spodoba. Wie pan dlaczego?

- Nie - odpowiedział Joe z uśmiechem.

- Bo się mnie boi. Panicznie się mnie boi. A ja się tym bawię. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Patrzę na nią w milczeniu, a potem nagle krzyczę. A ona podskakuje. Głupia kobieta. Mam ochotę jej powiedzieć: „Jesteś głupia. Nie powinnaś się nikogo bać. A jeżeli już,

to nie powinnaś tego okazywać". Któregoś dnia o mały włos nie zaciągnęłam jej do salonu i nie powiedziałam: „Siadaj tu i spójrz na mnie. Co widzisz? Kupę starych łachów na osiemdziesięcioletnim z okładem ciele. Ale czy ciało ma jakieś znaczenie? Czy ubranie ma jakieś znaczenie? To rozum jest najważniejszy, a ty masz rozum, kobieto. Posłuch się nim i każ mu powiedzieć, że jesteś równie dobra jak ja".

Betty spuściła głowę i zagryzła wargę. Sprzeczność goniła tu sprzeczność. Lady Mary wytyka pani Bailey, że wysyła syna do szkoły, a jednocześnie ta królowa autokratów wygłasza kazanie o równości. Co by się stało, gdyby ta biedna pani Dobson nie dała się zastraszyć? Odpowiedzi udzieliła jej sama lady Mary.

- Co by się stało, gdyby ta biedna istota nie dała się zastraszyć, he? - wykrzyknęła i wybuchnęła dźwięcznym śmiechem. - Zrzuciłabym ją ze schodów. I czego to dowodzi, panie Remington?

- Że niezwykła z pani kobieta, lady Ambers.

- Hmm... - Starsza pani zacisnęła wargi, a w oczach pojawiły się błyski. - Zgrabnie powiedziane, ale to wykrętna odpowiedź. A gdybym zadała to pytanie Betty? - Popatrzyła na nią. - Co byś odpowiedziała, he?

Betty spojrzała najpierw na Joego.

- Mniej więcej to samo. Że pani reakcja byłaby typowa dla pani.

- Nieprawda. Powiedziałaś tak, żeby jego odpowiedź - tu kiwnęła głową w stronę Joego - nie wydała się banalna. Gdybyśmy były same, odpowiedziałabyś inaczej. - Popatrzyła na Joego. - Tym

właśnie różni się Betty od innych. Ona się mnie nie boi. I nigdy nie bała. Dlaczego? Bo jest sobą, ma swój rozum i umie się nim posługiwać. Nie sędzę, żeby miała okazje do inteligentnych rozmów w pańskim domu.

Mięśnie twarzy Joego napięły się.

- Nie jesteśmy kretynami, lady Ambers - powiedział, cedząc słowa.

- Och, zadziwia mnie pan.

Ostrzegawcze spojrzenie Betty powstrzymało go przed ostrą ripostą, lecz nie uszło też uwagi starszej pani. Wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Tak, tak. Męskie ego doznało afrontu, co? Proszę się nie obawiać, panie Remington, odtąd będę się zachowywać jak należy i grać rolę gospodyni. Lunch powinien być już gotowy. Proszę zadzwonić tym dzwonkiem. - Wskazała głową na ręczny dzwonek stojący na stole obok fotela Joego. Nikt się jednak nie zjawił. - Jeszcze raz - poleciała.

Z ponurym wzrokiem i głową lekko przechyloną na bok posłusznie potrząsnął dzwonkiem. Tymczasem lady Mary zapytała go, czego by się napił. Kiedy w pokoju nadal nikt się nie pojawiał, Betty zrobiła ruch, jakby chciała wstać.

- Może pójde i zobaczę.

- Nie ma mowy! - Starsza pani w jednej chwili była na nogach. - Pewnie opala się w ogrodzie, zażywając świeżego powietrza, jak to określa.

Zostali sami. Betty uśmiechnęła się do Joego, a on pokręcił głową.

- Nie przejmuj się nią - powiedziała cicho.
- Nie przejmować się? - Przysunął bliżej krzesło i dotknął jej ręki. - To wiedzma. A ty ją lubisz.
- Tak. A nawet Kocham. Po tobie Kocham ją najbardziej na świecie.

- Po mnie? Och, Betty, Betty.

W następny piątek Betty odwiozła lady Mary do szpitala. Kiedy miała wyjść, starsza pani poklepała ją po ręku i powiedziała z autentyczną troską:

- Nie musisz się bać, że zostajesz sama w domu. Nikt tam się nie kręci, a w każdym razie nie w nocy.

Betty ogarnęło poczucie winy i z roztargnieniem słuchała dalszych wyjaśnień.

- Czasami podchodzą do bramy jacyś włóczędzy z prośbą o wsparcie, ale tylko za dnia, nigdy w nocy. Zresztą, jeśli coś cię przestraszy, idź do mojej sypialni i krzycz. Pani Dobson na pewno cię usłyszy. Ona twierdzi, że nigdy nie śpi.

Teraz była już z powrotem w domu. Pani Pollard i Nancy wyszły przed godziną. Minęła ósma, a Joego wciąż nie było. Powiedział, że przyjedzie około wpół do ósmej.

Nie przyjechał też o dziewiątej. Miała już dość chodzenia z salonu do kuchni, której okno wychodziło na podwórko i wąski podjazd. Specjalnie nie zapalała światła, by móc go wyraźnie zobaczyć.

Może miał wypadek? A może coś się stało w domu? Ale wtedy by do niej zatelefonował.

Wsunęła ręce pod kołnierzyk szlafroka i zacisnęła je wokół szyi. Wiedziała, że nie może żądać, ani nawet oczekiwać, by to się stało. Miała czterdzieści jeden lat i była w wieku - a w każdym razie do takiego wieku właśnie się zbliżała - kiedy kobiety dziękują Bogu za to, że natura pozwoliła im odetchnąć. Lecz ona nigdy tego nie posmakowała. Co więcej, nigdy z nikim o tym nie rozmawiała. Nawet z Elaine. Elaine uważała naturę, przynajmniej jeśli chodziło o Joego, za coś odpychającego.

O dziesiątej przestała wystawać przy kuchennym oknie. Usiadła na kanapie w salonie i wpatrując się w ogień przebiegła myślami wydarzenia ostatnich kilku miesięcy. Może jej się to wszystko przyśniło. Właściwie to cóż takiego się stało? Kiedy myślała, że umiera, powiedziała mu, że go kocha, a on wziął ją w ramiona i pocałował. Wspomnienie tamtej chwili pamiętała jak przez mgłę, podobnie jak dni, które nadeszły potem. Dni, kiedy żołądek nie przyjmował żadnego pokarmu, a biegunka i osłabienie sprawiały, że miała ochotę umrzeć. A co później zaszło między nimi? Dotknięcie rąk, ukradkowa wymiana spojrzeń. Nigdy nie byli sami, aż do tej chwili w samochodzie. Ale to przynajmniej zdarzyło się naprawdę, to nie był sen. Mimo to wciąż nie miała pewności, czy on ją kocha. Wiedziała jedynie, że jej potrzebuje, tak jak ona jego, i że gdyby to było możliwe, już by się nie pojawił. Tak, tego była pewna. Coś musiało się stać. Co więc powinna zrobić? Zatelefonować do domu.

Wstała z kanapy i w tym momencie rozległ się dzwonek. W jednej sekundzie znalazła się przy drzwiach. Patrzyli na siebie przez chwilę, a potem padli sobie w objęcia.

Wciągnęła głęboko powietrze.

- Nie... nie słyszałam samochodu. Myślałam... myślałam, że coś się stało. Złapałeś gumę?

- Nie, nie. - Zdjął płaszcz, objął ją ramieniem i poprowadził do salonu. Usiedli blisko siebie na kanapie. Popatrzył jej w oczy, po czym ujął w dłonie jej twarz i delikatnie dotknął wargami ust. - W domu była awantura - oznajmił.

- O co?

- Martinowi się wysnęło, że był z Davidem na świątecznym koncercie.

- Po tylu miesiącach?

- Po tylu miesiącach. I nie tylko to. Powiedział również, że nieraz bywał w domu Eganów. Elaine zupełnie oszalała. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Myślałem, że znowu dostanie ataku hysterii. Ale nie, to był wybuch najprawdziwszej wściekłości. Jak ona strasznie nienawidzi Davida i Hazel. To przechodzi ludzkie pojęcie. Gdyby coś jej zrobili, zrozumiałbym, lecz przecież znienawidziła Davida od pierwszego wejrzenia.

Betty pokręciła głową i zwróciła twarz w stronę ognia. Tak, wiedziała, że Elaine nienawidzi Davida. Wielu ludzi nie lubi kolorowych. Nie mogła zrozumieć niechęci Elaine do tego mężczyzny, nikt bowiem nie był równie miły i uprzejmy jak David. Ponownie

przeniosła wzrok na Joego.

- I czym się to skończyło? - zapytała.

- No cóż - westchnął. - Powiedziałem, że wyjeżdżam wieczorem do Yorku na konferencję, co oczywiście zrobię jutro. Myślałem, że rzeczywiście będę musiał zostać do jutra, bo byłem tak na nią wściekły, że... że nie wiem, jakim cudem nie wyznałem jej, czego się dowiedziałem. Miałem jednak świadomość, że gdyby tak się stało, dyskusja trwałaby całą noc.

- O Boże.

- Jak się powiodło starszej pani w szpitalu? - zapytał Joe.

- Powinieneś raczej zapytać, jak zniósł to personel - odparła i oboje wybuchnęli śmiechem. Zaraz jednak Betty spoważniała. - Mam wyrzuty sumienia, że ją oszukuję,

- Niepotrzebnie. Ona by to zrozumiała.

- Może i tak... Zrobiłam coś do jedzenia. Trzeba tylko podgrzać. Musisz być głodny.

- Nie będę mógł niczego przełknąć. Naprawdę. Wybacz, jeśli zrobiłem ci kłopot, ale poprosiłbym tylko o filiżankę kawy.

Popatrzyli na siebie, a potem, trzymając się za ręce, poszli do kuchni.

Była północ. Joe leżał z głową na piersi Betty, a ramieniem obejmował ją w talii. Nigdy nie czuł się równie odprężony jak teraz. Kochał tę kobietę. I to nie tylko dlatego, że dała mu rozkosz, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczył, lecz także dlatego, że była tym, kim była - Betty: kobietą, z którą przez lata mieszkał pod jednym dachem i

nawet jej nie dotknął; kobietą o bogatym umyśle, wielkim sercu i bezgranicznej dobroci.

Dotknął wargami jędrnej piersi, lecz Betty nie zareagowała.

Nie wypowiedziała słowa ani kiedy zaczął ją delikatnie pieścić, ani kiedy już nie tak delikatnie ją posiadał, ani też kiedy gorączka uniesienia opadła i rozum odzyskał swoje prawa, a on leżał wtulony w nią, oddając się wszechpotężnemu uczuciu satysfakcji. Odwrócił teraz jej twarz ku sobie i ujrzał w oczach Betty uczucie, którego nie sposób było wyrazić słowami. Wsunął palce w jej włosy, pochylił się i przywarł wargami do jej ust.

RS

Część piąta

Rozdział 25

Śpiewano: „Rozwiesimy pranie na linii Zygryda”, lecz było to przecież niemożliwe.

Kiedy 3 września 1939 roku uspokajające przemówienia Chamberlaina na nic się nie zdały i Anglia wypowiedziała Niemcom wojnę, po raz pierwszy odezwały się syreny i ludzie uciekali do schronów przeciwlotniczych w obawie przed bombardowaniami. Jednak nic się nie wydarzyło, następnego dnia również i kolejnego też nic, a kiedy dni zmieniły się w tygodnie, ludzie poczuli się zawiedzeni - zawodem nie było chyba tylko to, co się zdarzyło we Francji.

No ale Francuzi mieli przecież linię Maginota.

Polska przeżywała gorące i ciężkie chwile, ale Polska była daleko. Liczyło się tylko to, że Niemcy nie zrzucają bomb na Anglię. Naturalnie były takie niedogodności, jak zaciemnienie i konieczność noszenia masek przeciwgazowych w tych okropnych małych pudełkach. A potem zakaz włączania reflektorów w samochodach.

No i było jeszcze to całe zamieszanie z ewakuacją uczniów i nauczycieli, a także matek, które miały mniej niż pięcioro dzieci, z tak zwanych terenów zagrożonych.

Przemieszczanie się ludności w tych pierwszych miesiącach wojny było równie kłopotliwe jak racjonowanie produktów. Na początku 1940 roku większość ewakuowanych powróciła do swych domów. Jednak po ataku na Dunkierkę, kiedy bomby Hitlera spowodowały masowy exodus z miast, drzwi, które dotąd były zamknięte, stały otworem. Zaczęto patrzeć życzliwiej na bliźnich i interesować się ich losem, choć wciąż byli tacy, którzy uparcie odmawiali przyjmowania wysiedleńców. Do tej grupy należała Elaine.

- Gdzie byśmy ich pomieścili? - pytała Betty po raz któryś z rzędu.

- Mamy przecież wolny pokój, a jadalnię można by zamienić na sypialnię.

- Czemu nie zaproponujesz, bym oddała im swój salonik?

- Jak widzisz, nie zaproponowałam i na pewno nie zaproponuję.

Elaine spojrzała na nią spod zmrużonych powiek.

- Co się z tobą ostatnio dzieje? Jesteś jakaś inna. Zmieniłaś się przez ten rok. W ogóle się o mnie nie troszczysz.

- Może i masz rację - przyznała Betty. - Patrząc wstecz, powiedziałabym, że traciłam czas, troszcząc się o ciebie.

- No proszę! - Elaine zrobiła krok w tył. - Zaczynamy się buntować, tak? Czyżbyś szukała wymówki, by odejść? Jeśli tak, to wybrałaś obrzydliwy sposób. To do ciebie podobne zastrajkować i przenieść się do tego starego potwora, kiedy najbardziej jesteś tu potrzebna.

- A do czego niby jestem potrzebna? Chyba nie do tego, by

doglądać Mike'a, bo on nic cię nie obchodzi. Potrzebna ci jestem tylko po to, byś mogła odbywać swoje wycieczki do Londynu. W przeciwnym razie nie mogłabyś tak często wyjeżdżać i zostawiać Martina jego własnemu losowi, bo jeszcze mógłby pójść z wizytą do Chatki lub innego zakazanego miejsca. I nie mów mi, że to troska o wuja ciągnie cię do Londynu, bo roześmieję ci się w twarz. Nikogo tym nie oszukasz... nikogo, rozumiesz?

Elaine gapiła się na nią z rozdziawionymi ustami, po czym zrobiła się czerwona na twarzy.

- Nie... nie mogę w to u... uwierzyć - powiedziała, jękając się. - I co miałaś na myśli, mówiąc, że nikogo nie oszukam?

- Sama sobie na to odpowiedz, Elaine. I radzę ci poświęcić to popołudnie na pisanie listu do Lionela i wyjaśnienie mu, że nie będziesz mogła przyjechać w ten weekend, bo Betty zastrajkowała.

Elaine wyprostowała się i oparła o kanapę.

- Nie zrobisz tego.

- Zrobię. Zresztą i tak musiałabym wkrótce wyjechać. Powiedziałaś, że zmieniłam się przez ten rok. Ciekawe, że nie zauważyłaś różnicy, jaka ostatnio we mnie zaszła. Jestem bowiem w czwartym miesiącu ciąży i dziecko ma się urodzić w październiku.

Elaine osunęła się na kanapę i przycisnęła dłonie do ust. Zaraz jednak oderwała je od twarzy, jakby zdjęta wstrętem.

- Ty i ten brudny stary człowiek! - wysyczała. - Jesteś odrażająca.

- Zamknij się!

- Nie zamknę się. Pójdę na górę i splunę mu w twarz. Tobie również.

Cofnęła się gwałtownie, kiedy Betty w dwóch skokach znalazła się przy niej.

- Jakże często miałam ochotę trzasnąć cię w twarz, a teraz bardziej niż kiedykolwiek - rzuciła z goryczą. - Ośmielasz się nazywać mnie odrażającą, a sama od lat zadajesz się z żonatym mężczyzną i to tuż pod nosem Joego; jako żona nie wypełniasz swoich obowiązków, wymawiając się rozstrojem nerwowym. Twój pierwszy atak może i był prawdziwy, ale potem wykorzystywałeś go, by nie dopuścić męża do siebie. A teraz śmiesz ciskać mi w twarz takie słowa. Mogę ci tylko powiedzieć, że ojcem dziecka nie jest Mike. Gdybym przed laty wiedziała to, co wiem teraz, to dawno byłabym jego żoną i teraz miałabym rodzinę. Nie musiałabym dziękować ci za twoją łaskę i czekać, aż Joe pozna się na tobie.

Cała krew odpłynęła z twarzy Elaine; jej oblicze wyglądało jak wykute z alabastru. W szeroko otwartych oczach płonęła wściekłość.

- Gdyby nie ja, nie byłoby cię tu teraz! - krzyknęła. - Byłabyś zwykłym popychadłem, panną na posyłki, pracując jako darmowa dama do towarzystwa. Tymczasem prowadziłaś dom, robiłaś to, co lubisz, więc nadal twierdzę, że to ohydne i nieprzyzwoite, by w twoim wieku zadawać się z mężczyzną. Pewnie to ta stara wiedźma ci to ułatwiła. Czy to był jej szofer? Betty mimowolnie uniosła dłoń, lecz tak jak Joe przed laty nie zadała ciosu. Zamknęła oczy, opuściła rękę i wolno wyszła z pokoju. Jednak tuż przy drzwiach dogonił ją głos

Elaine.

- Jesteś żalosna.

Ruszyła korytarzem, a słysząc dochodzący z hallu głos Martina i wiedząc, że zaraz przyjdzie do jej pokoju, skierowała się w stronę schodów prowadzących na poddasze. W połowie drogi stanęła, oparła głowę o ścianę i powiedziała do siebie:

- Żalosna. Żalosna. Czy tak właśnie widzą mnie ludzie? Wcale nie czuła się żalosna. Od tygodni czuła się wspaniale,

pełna życia i ciepła. Wszyscy mówili jej, jak ładnie wygląda. Nie chciała, by to tak się skończyło. Wszystko przecież zaplanowali. Miała powiedzieć, że musi jechać do lady Mary, która jest chora. Sądziła, że do wyjazdu dojdzie w przyszłym tygodniu. Najtrudniejszą sprawą będzie powiedzenie o wszystkim Mike'owi. I nagle, kiedy ten moment nadszedł, nie wiedziała, jak ma to zrobić.

Weszła z trudem po schodach, jakby brzuch jej przeszkadzał, i zapukała do pokoju Mike'a.

Przykuśtykał z pracowni i zapytał bez ogródek:

- Pokłóciłyście się ze sobą tak? Myślałem, że to ci przekłęci Niemcy wpadli tu bez zapowiedzi. Co się stało, dziewczyno?

- Wyjeżdżam, Mike - powiedziała po prostu.

Popatrzył na nią bez słowa, po czym usiadł w swoim ulubionym fotelu przy oknie.

- Nigdy jeszcze tak nie mówiłaś. A więc tym razem na zawsze?

- Tak, Mike.

- Co cię do tego skłoniło?

Podeszła wolno i usiadła w fotelu na wprost niego, tym samym, w którym zawsze siadywała, kiedy miał ochotę na pogawędkę, jak to nazywał. Nie spuszczać z niego wzroku, powiedziała cicho:

- Będę miała dziecko, Mike. Jestem w ciąży.

Minęło dobre trzydzieści sekund, zanim był w stanie cokolwiek powiedzieć. Poprawił się w fotelu i wciągnął głęboko powietrze.

- Tak?

Skinęła wolno głową.

- Cha, cha! - zaśmiał się gorzko, po czym spojrzał na nią z ukosa. - Długo z tym zwlekałaś. Mogłem zapewnić ci rodzinę już wiele lat temu, jeśli tego właśnie chciałaś.

- Wiem, Mike i... i żałuję, że teraz nie mogę cię o to poprosić. A właściwie to nie. Chciałam powiedzieć, że gdybym wtedy przyjęła twoją propozycję, nie zdarzyłoby się to, co teraz. Skoro jednak się zdarzyło, cieszę się. Nawet więcej, jestem przepelniona szczęściem.

- Mogę zapytać, kto to jest?

Spuściła nisko głowę. Tego właśnie nie mogła mu powiedzieć. Byłby to zbyt duży cios dla jego męskiej dumy. Odmówiła ojcu, a przyjęła syna. Mike był przecież mężczyzną. Omal nie spadła z fotela, kiedy zapytał cicho:

- Czy Joe ma coś z tym wspólnego?

Patrzyła na niego bez słowa, tylko wargi jej drżały. Wstał, oparł się o parapet i spojrzał na ogród.

- Nie dziwi mnie to, ale... ale mimo wszystko to piekielnie boli. Jednakowoż jaki ojciec, taki syn... A to co? Cóż tym razem jej się

stało?

Betty poderwała się z fotela i oboje spojrzeli na podłogę, skąd dochodził piskliwy wrzask Elaine. Nie sposób było rozróżnić słów, lecz brzmiała w nich wyraźna wściekłość.

- Czy Joe jest z nią?
- Nie. Tylko Martin.
- Zejdź na dół. Dowiedz się, o co jej chodzi. A tak na marginesie, czy ona wie?
- Wie, że jestem w ciąży, ale... ale nie wie, kto jest ojcem.
- W takim razie strzeż się jej, kiedy się dowie - powiedział cicho.
- Bo chociaż go nie cierpi, zrobi wszystko, by popsuć ci szyki.

W to nie wątpiła. Mike miał rację. Gdyby mogła, popsułaby jej szyki. Ale jedno było poza jej zasięgiem - życie, które w Betty kielkowało. Ono należało tylko do niej i nikt nie mógł jej tego odebrać.

Właśnie zeszła na podest, kiedy zobaczyła, że drzwi do saloniku Elaine otwierają się z impetem i z pokoju wybiega Martin, po czym pędzi w dół po schodach.

Zanim dotarła do drzwi wejściowych, zamknęły się z trzaskiem. Chwilę stała nieruchomo, po czym pobiegła za chłopcem.

Zobaczyła, że znika za kortem tenisowym. Co ona mu powiedziała? Pewnie, że ciocia wyjeżdża, i przedstawiła to w jak najgorszych barwach.

Betty wiedziała, że Martin ją lubi, a nawet kocha. Czyż nie powiedział, że chciałby, żeby była jego matką? Przez te wszystkie lata czerpała z tego cichą satysfakcję i myślała: A właściwie dlaczego nie?

Przecież go wychowała i kochała bezinteresownie. Właśnie, bezinteresownie.

Zbiegła po schodkach i ruszyła w kierunku, w którym popędził chłopiec. Nie było go przy szklarniach ani przy grządkach z truskawkami, gdzie pracował David. W końcu dostrzegła Martina siedzącego między korzeniami wielkiego dębu, w zagajniku przy płocie.

- Martin! - zawołała. - Co się stało?

Nie spojrzał na nią, tylko wziął ułamaną gałąź i zaczął drapać twardą ziemię między korzeniami. Uklękła przy nim i wzięła go za rękę, lecz odwrócił głowę.

- Co... co mama ci powiedziała?

Pokręcił głową, a kiedy przytrzymała go za brodę, rzucił niecierpliwie:

- Och, ciociu Bett.

- Powiedz mi. Mogę... mogę ci to wyjaśnić. Pokręcił głową.

- Niby jak? Ty nic nie wiesz.

- Czego nie wiem?

- O ojcu. Zmrużyła oczy.

- Co takiego? - zapytała stłumionym głosem.

Pokręcił energicznie głową, odwrócił się od Betty i znowu zaczął kłuć ziemię patykiem. Chwyciła go mocno za ramiona i przyciągnęła ku sobie.

- Opowiedz mi, Martin! - zażądała. - O wszystkim. No dalej, co ci powiedziała o ojcu? Przełknął ślinę i zamrugał powiekami, zupełnie

jak ona kiedy była czymś zdenerwowana.

- On jest zły - mruknął.

- Twój ojciec jest zły? Nieprawda, jest bardzo dobry. Co mama ci powiedziała?

- Ona... ona powiedziała, że nigdy więcej nie wolno mi rozmawiać z Elizabeth, bo... mnie stąd zabierze...

- Z Elizabeth? - powtórzyła zaskoczona, po czym odetchnęła z ulgą i usiadła obok chłopca. - Ale co ona ma wspólnego z twoim ojcem?

Spuścił nisko głowę.

- Ja... ja powiedziałem jej, że pewnie nasza szkoła zostanie ewakuowana, a ona oświadczyła, że to bzdura. Powiedziałem, że nie, bo szkoła Elizabeth też będzie ewakuowana i... i wtedy ona prawie się na mnie rzuciła. W jego głosie brzmiało zdumienie. - Powiedziała, że znowu widziałem się z Elizabeth, choć mi zabroniła, a ja na to, że nie mogę przechodzić przez bramę i nie rozmawiać z Elizabeth. I... i powiedziałem jej, że lubię Elizabeth, i jeszcze coś głupiego. - Spuścił głowę niżej, a po chwili wymruczał: - Powiedziałem, że zawsze ją lubiłem i... i że ona jest moją dziewczyną. Wielu chłopaków ma dziewczyny, ciociu Bett, a Elizabeth jest ładna i mnie lubi, a ja ją. Nie powinienem tego mówić. No ale powiedziałem. I wtedy wpadła w złość. Pchnęła mnie na kanapę, przytrzymała i... i zaczęła krzyczeć.

Objęła go ramieniem, spojrzała na czubek jego głowy i zapytała:

- Co krzyczała?

- Że Elizabeth nigdy nie będzie moją dziewczyną. Nigdy. Potem

mną potrząsnęła i powiedziała, że Elizabeth jest moją siostrą lub moją przyrodnią siostrą i że mój ojciec jest również jej ojcem, i że matka Elizabeth jest złą kobietą.

- O, mój Boże!

Betty wstała i pociągnęła chłopca za sobą.

- A teraz posłuchaj, Martinie - powiedziała, biorąc chłopca za ramiona i potrząsając nim lekko. - To są kłamstwa. Kłamstwa, słyszysz? Matka i ojciec Elizabeth kochają się i Elizabeth jest ich córką. Twój ojciec i David wychowywali się razem, kiedy byli takimi jak ty chłopcami. On by nigdy, nigdy... - Coś ścisnęło ją w gardle. - O, mój Boże! - Chwyciła chłopca za rękę. - Wracamy do domu. Twój ojciec zaraz tu będzie i wszystko ci wyjaśni. Nie można tego tak zostawić.

- Nie, nie - zaczął się opierać. - Nie chcę go widzieć, ciociu Bett.

- Ale musisz, chłopcze. Twoja matka nie wie, co mówi. Ona jest chora. Słyszysz? Właśnie nadjeżdża samochód. Chodźmy.

- Nie, ciociu Bett. Popatrzyła na niego bezradnie.

- W takim razie przyrzeknij, że nie ruszysz się stąd, póki nie wrócę.

- Dobrze - powiedział po chwili wahania.

Pobiegła w stronę domu, mijając po drodze szklarnie, kort tenisowy i znalazła się na podjeździe, kiedy Joe dochodził do drzwi wejściowych. Odwrócił się, słysząc jej wołanie.

- Chodź tu na chwilę - poprosiła, z trudem łapiąc oddech. -

Muszę ci coś powiedzieć. - Po czym odwróciła się i poszła w stronę

garażu.

- Co się stało? - zapytał niespokojnie, kiedy znaleźli się w środku.

- Dziś rano była awantura.

- Ach, tak. - Kiwnął głową. - Dowiedziała się?

- O nas? Nie. Nie wszystko. Pokłóciłam się z nią. Powiedziałam, że wyjeżdżam i że... jestem w ciąży. Powiedziałam też o tym Mike'owi. Potem posłyszałam, jak Elaine krzyczy na Martina. Właśnie od niego wracam. Jest w zagajniku, okropnie zdenerwowany. Joe... -

Wyciągnęła do niego ręce, a kiedy je pochwycił, poprosiła: - Teraz... teraz musisz powściągnąć swój gniew, przynajmniej dopóki nie wyjaśnisz chłopcu wszystkiego. Wyznał Elaine, że Elizabeth jest jego dziewczyną, i wtedy rozzłościła się na niego. Powiedziała, że ona nie może być jego dziewczyną. - Zamknęła oczy i pospiesznie dokończyła:

- Bo ty jesteś ojcem Elizabeth i że oni są przyrodnim rodzeństwem.

Patrzył na nią, jakby jej nie widział.

- Chcesz powiedzieć, że ona... Wydawało się, że nie może mu to przejść przez gardło. Betty pokiwała głową.

- Tak. Martin jest teraz w zagajniku. Lepiej pójź tam. Obiecał, że zaczeka, dopóki nie wrócę.

Popatrzył w stronę drzwi do garażu, po czym pokręcił głową.

- Nie, nie. - I powtórzył: - Nie, nie. Przyrowadź go, Betty. Ja pójdę do domu.

- Joe, proszę, bądź ostrożny.

- Zbyt długo byłem ostrożny. Tak, w tym właśnie tkwił błąd.

Zbyt długo byłem ostrożny.

- Joe, nie zrób czegoś, czego później będziesz żałował. Pomyśl... pomyśl o konsekwencjach.

Wzrok mu złagodniał.

- Będę o tym pamiętał, kochanie. Nie martw się. Idź po Martina.

Kiedy ruszyła ku zagajnikowi, w kilku susach dopadł frontowych drzwi, przemknął przez hall i wbiegł po schodach na górę.

Kiedy wszedł do saloniku, Elaine stała na środku pokoju. Słońce rozświetlało jej włosy. Twarz, sukienka i cała postać wyglądały niczym błydy płomień, delikatny, zwiewny płomień, który lada podmuch może zgasić. Joe jednak nie zwrócił uwagi na zewnętrzny wygląd. Widział ją taką, jaka była naprawdę.

Zamknął drzwi i zrobił krok w przód. Jabłko Adama drgnęło mu spazmatycznie.

- A więc jestem ojcem Elizabeth, tak? - zapytał.

- Sam powinieneś to wiedzieć - rzuciła piskliwym głosem.

- Ty dziwko o brudnych myślach.

Postąpił jeszcze jeden krok w jej stronę. Zaczęła się cofać.

- Jak śmiesz nazywać mnie brudną dziwką! - krzyknęła. -

Właśnie ty. Miałaś czelność przyprowadzić to dziecko do domu.

Wystarczyło spojrzeć na was, by mieć tego dowód. Brudna, powiadasz.

Ten czarnuch się z nią ożenił. Zdenerwowało cię to, co? Nie mogłeś go mieć, więc wziąłeś jego żonę. A może się podzieliliście?

Krzyk, który wydarł jej się z ust, rozbrzmiał w całym domu. Joe chwycił ją za gardło i przycisnął do ściany. W tym momencie

otworzyły się drzwi.

- Joe! Joe! Boże! Puść ją!

Natychmiast od niej odskoczył, tak szybko, że omal nie przewrócił Betty.

Elaine opierała się o ścianę, trzymając ręce przy szyi, i szmatycznie chwytła powietrze. Wpatrywała się w Joego, a w jej oczach strach mieszał się z nienawiścią.

Joe stał przy kanapie, lekko pochylony w przód, z ramionami zwisającymi luźno po bokach. Nie spuszczał wzroku z Elaine.

- Zaprowadź ją na górę do ojca - powiedział do Betty.

- Do Mike'a? Ale po co?

- Wkrótce się dowiesz. Zaprowadź ją, bo... bo nie chcę jej więcej dotykać.

Zaskoczona Betty podeszła do Elaine, delikatnie wzięła ją za rękę i obchodząc Joego szerokim łukiem, wyprowadziła z pokoju.

Kiedy został sam, chwycił się kurczowo kanapy i stał tak przez chwilę w bezruchu. Potem wyprostował się i podszedł do okna.

Otworzył je i krzyknął w stronę ogrodu:

- David! David!

- Co się stało? Potrzebujesz czegoś? - zawołał David, nadbiegając od strony otaczającego podjazd żywopłotu.

- Wejdz do środka.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem.

- Jak mam to rozumieć? - zapytał David podejrzliwie.

- Dokładnie tak, jak powiedziałem. Przyjdź tu do mnie na górę.

- Po co?
- Wkrótce się dowiesz. Zrób, o co proszę.

David rozejrzał się na boki, otarł dłonią usta i ruszył wolno w stronę frontowych drzwi. Po raz pierwszy w życiu miał przekroczyć próg tego domu.

W hallu zatrzymał się, po czym skierował ku schodom. Na górze czekał na niego Joe. Kiedy stanęli twarzą w twarz, David zapytał ponownie:

- Co się stało? Po co kazałeś mi tu przyjść?
- Chodź - powiedział Joe, ruszając korytarzem.

David poszedł za nim. Weszli po stromych schodach na poddasze i do pokoju.

Mike stał przy oknie. Elaine siedziała skulona w fotelu. Z tyłu za nią stała Betty.

Cała trójka patrzyła na Joego i Davida. Pierwszy miał zmarszczoną, gniewną twarz, a drugi mocno zaciskał wargi i patrzył na Mike'a.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał Mike. - Czyście wszyscy poszaleli?
- Powiedz im, co łączy obecnego tu Davida z tobą i ze mną - zażądał Joe, nie ruszając się z miejsca.

Mike oparł się ciężko na lasce. Ręka mu zadrżała, kiedy spróbował się wyprostować.

- Czyżbyś miał zamiar odsłonić karty?
- Tak. Najwyższy czas.

Wszystkie oczy zwróciły się teraz na Mike'a, który spoglądał w ciemne oblicze mężczyzny stojącego przy drzwiach.

- Chyba za późno na stawianie żądań - powiedział Mike.
- Nie stawiam żadnych żądań - odparł David dźwięcznym głosem.

- Ojciec. - Joe błyskawicznie znalazł się między nim i Elaine. - Wyjaśnij to jej dokładnie, bo jej bystre oczko dostrzegło podobieństwo między mną i Elizabeth i oskarżyła mnie, że jestem ojcem dziewczynki.

Mike popatrzył na Joego, potem przeniósł wzrok na bladą twarz Elaine.

- David jest moim synem - powiedział wolno.

Elaine wbiła wzrok w Mike'a, lekko poruszyła głową i nieznacznie zmarszczyła nos. Otworzyła usta i natychmiast je zamknęła. Następnie powoli podniosła się z fotela, spojrzała na Joego, potem znów na Mike'a, a na koniec na Davida. W jej oczach błysnęła pogarda. Po chwili odwróciła się i wyszła z pokoju.

- No, no! - Mike przerwał niezręczną ciszę, po czym usadowił się w fotelu i spojrzał na Davida, który wciąż stał przy drzwiach. - Podejdź tu, chłopcze, i usiądź.

- Nie, dziękuję - odparł. - Trzymałem się z boku tyle lat i niech tak pozostanie. Sam pan powiedział, że jest już zbyt późno.

Po tych słowach wyszedł z pokoju.

- Zaczekaj, Davidzie. Zaczekaj, proszę! - zawołał Joe i pobiegł za nim.

Mike spojrzał na Betty.

- Przynajmniej ty nie odchodź. Zamknij drzwi i nalej mi drinka.

Napełniła dwie szklaneczki, podała jedną Mike'owi i usiadła na wprost niego.

- Dlaczego tak długo utrzymywałeś to w tajemnicy? - zapytała po chwili.

Przełknął potężny łyk whisky i otarł usta wierzchem dłoni.

- Utrzymywałem to w tajemnicy, lecz niektórzy doskonale o tym wiedzieli. A jeśli nie, to się domyślali.

- Ale nigdy otwarcie mu tego nie powiedziałaś.

- Nie. Nie mogłem, przynajmniej póki żył jego przybrany ojciec.

A potem uznałem, że nie ma sensu. I jeszcze dopadło mnie to. -

Poklepał się po kolanach. - Myślałem, że któregoś dnia mu to powiem, ale wtedy Joe sprowadził do domu tę swoją damę. Popatrzyłem na nią i pomyślałem, że nie zniosłaby tego. To dziwne, że od pierwszej chwili znenawidziła Davida. Kiedy ją zobaczyłem, wiedziałem, co czeka Joego, bo sam przeszedłem przez to samo. Dlatego urodził się David.

Spojrzał w okno i mówił dalej:

- Jego matka była piękną kobietą. Mary zatrudniła ją do pracy w kuchni. Najgorsze roboty wykonywała niczym królowa. Kiedyś obserwowałem ją z okna. Potem robiłem to coraz częściej i szukałem okazji, by z nią porozmawiać. Tak ciepło się uśmiechała. Miała siedemnaście lat, kiedy do nas przyszła, lecz była już kobietą pełnokrwistą Murzynką, i potrafiła śpiewać. Miała piękny głos. Nie umiała czytać ani pisać, ale za to umiała rozmawiać. Och, jak ona

potrafiła rozmawiać.

Popatrzył na Betty i pokiwał głową.

- W niektórych sprawach była mądrzejsza od Salomona. Nie byłem jedynym, który lubił na nią patrzeć, słuchać jej słów czy śpiewu... nazywał się Brooks. Pracował w ogrodzie. Przyjechał z Fellburn i mieszkał z matką. Ojciec nie żył. Taki cichy typ, religijny, niepijący.

Odchylił się na oparcie i spojrzał na sufit.

- Resztę pozostawiam twojej wyobraźni. Mogę tylko powiedzieć, że to by się nigdy nie stało, gdyby moja żona była dla mnie żoną. Po urodzeniu Joego nie pozwoliła mi się do siebie zbliżyć. Uważała, że te sprawy służą tylko... - Obrzucił wzrokiem Betty i uśmiechnął się. - To się nazywa prokreacja. Wielkie słowo, prawda? Dobrze je zapamiętałem, bo często je powtarzała. - Roześmiał się głośno. - Gdyby uznała, że czuje potrzebę wydania na świat kolejnego dziecka, może Joe miałby rodzeństwo, ale dowiedziała się o Nessy i rozpętało się piekło. Nie krzyczała i nie wymyślała tak jak Elaine, z tym mógłbym się zmierzyć, ale uśmiechała się do ciebie, wbijając ci nóż w serce. Bez przerwy wykazywała moją ignorancję. Czy mówiłem ci, dlaczego zacząłem tak dużo czytać? Bo wstydzilem się swojej niewiedzy. - Przesunął ręką po twarzy. - Tak czy owak, Nessy zaszła w ciążę. Znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Nie chciałem stracić tej dziewczyny, lecz z drugiej strony nie mogła tu zostać. Wtedy któregoś wieczoru przyszła do mnie Mary i powiedziała, że Frank Brooks chce się ze mną widzieć. W najbardziej oficjalny sposób zapytał mnie, czy

nie miałbym nic przeciwko temu, żeby ożenił się z Nessay. Wiedział o wszystkim. Był dobrym człowiekiem i bardzo dzielny, bo wiem, że musiał przekonać matkę i swoje środowisko. Wiadomo, jak zwykli ludzie patrzą na kogoś, kto żeni się z czarną kobietą, i *vice versa*. Widzę go jeszcze, jak stoi przede mną i patrzy mi w oczy. Nawet słówkiem się nie zdradził, przez co musiał przejść. Słyszę samego siebie, jak mówię, że nie widzę powodu, dla którego nie mógłby ożenić się z Nessay, i czuję jednocześnie, jak krwawi mi serce. Widzisz, kochałem ją... jak nikogo przedtem i potem. Tak czy owak, powiedziałem, że mogą zamieszkać w Chatce, że ją odnowię, ale... ale Nessay nie może już tu pracować. Słyszę jeszcze, jak Brooks mówi: „Rozumiem, proszę pana”.

Umilkł.

- Nalej mi jeszcze jednego drinka, dziewczyno.

Betty ponownie napełniła szklaneczkę. Sącył ją wolno przez chwilę, po czym spojrzał na Betty.

- Dzień pełen sensacji, co?

- Na to wygląda - odpowiedziała cicho.

- Czy potępiasz mnie za to, że go nie uznałem?

- Tak - powiedziała po namyśle. - Myślę, że mogłeś to zrobić, wyznać choćby jemu, kiedy umarł jego ojciec. To znaczy ten mężczyzna.

- Pewnie mogłem. Jednak takie decyzje wcale nie są proste.

Kiedy później do nich wracasz, myślisz sobie: Trzeba było zrobić tak i tak, ale kiedy trzeba je podjąć we właściwym czasie, wiele argumentów

przemawia przeciw nim. Chyba jednak trzeba było się na to zdecydować, zwłaszcza że moja żona też już wtedy nie żyła.

- Kiedy... kiedy umarła matka Davida?

- Kiedy miał cztery lata. Wiesz, co myślę? Jeżeli chcesz umrzeć, możesz to sobie nakazać. Tak, tak. Kiedy wyszła za mąż, przestała ze mną rozmawiać. Tylko raz się to zdarzyło, na tyłach ogrodu.

Powiedziała wtedy: „Kiedyś kochałam życie, ale mam zamiar wcześniej je zakończyć”. Nigdy nie zapomniałem tych słów. Widzisz, ona

kochała mnie równie mocno jak ja ją. - Westchnął głęboko i dodał: -

Gdy odeszła, myślałem, że Frank zmieni swój stosunek do chłopca. Ale nigdy nie zmienił. Dobry był z niego człowiek. David miał szczęście.

Ktoś inny mogłyby z jego życia uczynić piekło. - Opróżnił

szklaneczkę. - No i co z tym zrobimy? Och, wiem, co ty zrobisz,

pojedziesz do tej starej damy. Jak myślisz, co powie... a może już wie?

- Nie, jeszcze nie wie. Nie mam pojęcia, co powie. Nie wydaje mi się, by zechciała mnie tam z dzieckiem. Może chcieć, bym została, póki, jakby to ona powiedziała, nie zorganizuję sobie czegoś.

- Kiedy wyjedziesz, nic już nie będzie tak samo. A co Joe zamierza z tym zrobić?

- On nic nie musi robić.

- To wielkodusznie z twojej strony, ale nie zapominaj o dziecku.

Rzadko teraz nazywają takie dzieci bękartami, ale mimo wszystko to piętno.

- Tym to już sama będę musiała się zająć.

- O nie, to dziecko będzie musiało coś z tym zrobić, jak dorośnie.

To zabawne. Dla ciebie nie ma znaczenia, że będziesz miała nieślubne dziecko. Zresztą czasy się zmieniły. Matka nie musi już iść do przytułku. Ale dla dziecka ma wielkie znaczenie, kim jest jego ojciec.

- A więc jaka na to rada?
 - Możesz przyjąć moje nazwisko.
 - Och, nie, Mike. Wstała i ruszyła do drzwi.
 - Czy jestem ci aż tak wstrętny?
 - Nie - odparła, obracając się w jego stronę. - Nigdy nie byłeś mi wstrętny, ale sam dobrze wiesz, że nie mogłabym tego zrobić.
 - Tak, chyba masz rację. No cóż, żałuję, dziewczyno. - Pokręcił wolno głową. - Cholernie będzie mi ciebie brakowało... Zajrzysz do mnie przed odjazdem?
 - Zajrzę, Mike - powiedziała i cicho zamknęła za sobą drzwi.
- Rzeczywiście to dzień pełen sensacji.

Rozdział 26

Lady Ambers skończyła właśnie słuchać radiowych wiadomości o szóstej i teraz rozejrzała się po pokoju, jakby szukając kogoś, z kim mogłaby podzielić się swoimi odczuciami względem... tego człowieka! Ci biedni chłopcy na plażach Dunkierki. Po co wysłali tam marynarke? Te wszystkie łódeczki szamoczące się na falach. To było bardzo bohaterskie, ale tonęli przecież dziesiątkami. Tam potrzebne były wielkie armaty, by wystrzelić tych Niemców do piekła, i okręty, by pozbierać wszystkich tych biednych chłopców. Dobrze, że nie ma syna. Kiedyś tak bardzo pragnęła mieć dziecko. I była pewna, że to nie z jej winy go nie miała. Jednak wiele razy przekonywała siebie, że czas przestać się oszukiwać. Miała trzech mężów i licznych kochanków. Niepodobną by żaden z nich nie zasiał w niej swego nasienia. Nienawidziła słowa „bezpłodna”. Nigdy go nie wymawiała i nigdy o nim nie myślała. Jak bowiem można łączyć bezpłodność z jej żywotnością?

Teraz jednak była zadowolona, że nie ma syna, bo wówczas prawdopodobnie miałyby i wnuka, który odziedziczyłby jej charakter i z pewnością znalazłby się na tej plaży. Taki piękny był wówczas wieczór, prawdziwy pierwszy dzień czerwca.

Wstała z fotela, podeszła do oszklonych drzwi i popatrzyła na trawnik i płynącą poniżej rzekę. Było tak pięknie i spokojnie. Wojna jej nie dotyczyła. Z drugiej strony chciałaby jednak, żeby coś się działo,

bo czuła się taka samotna. Pani Pollard wyszła o dwunastej, a Nancy o piątej i zjawia się dopiero jutro o dziewiątej. W niedzielę przychodzą później.

- Dobry wieczór.

Lady Ambers chwyciła się za serce, odwróciła i otworzyła usta ze zdziwienia.

- Betty! - zawołała. - Ależ mnie przestraszyłaś.

- Przepraszam. Weszłam bocznymi drzwiami.

- Nie spodziewałam się ciebie. Czemu nie zatelefonowałaś? Co się stało? Jak właściwie się tu dostałaś?

- Przyjechałam pociągiem, a potem autobusem do skrzyżowania.

Resztę drogi przebyłam pieszo.

- Wielkie nieba! I niosłaś walizkę?

- Och, nie jest ciężka. Resztę rzeczy zostawiłam na stacji.

- Resztę rzeczy?

Starsza pani jeszcze szerzej otworzyła usta, po czym chwyciła Betty za rękę.

- Siadaj. Siadaj - powiedziała.

- Nie. To pani powinna usiąść.

- W takim razie usiądziemy obie. A teraz powiedz mi, co się stało. Co się stało, że tak nagle przyjechałaś, bez uprzedzenia, błagalnych próśb czy modlitw?

- Czy mogłabym najpierw poprosić o filiżankę herbaty? Lady Ambers przyjrzała jej się uważnie.

- Tak, moja droga - powiedziała cicho. - Chodź, pójdziemy do

kuchni. Nancy przygotowała tacę.

Kiedy po piętnastu minutach wróciły do salonu, cierpliwość starszej pani się wyczerpała.

- No, wyduś to wreszcie - zażądała. - Zostawiłaś ich, tak? - zapytała z nutką triumfu w głosie.

- Można tak powiedzieć.

- O wiele lat za późno. Jak to się stało? Opowiedz mi... Czemu zabrałaś ze sobą wszystkie rzeczy? Mogłaś przecież wziąć taksówkę w miasteczku albo zatelefonować do Dobsona, by po ciebie przyjechał. Chociaż pewnie jak zwykle wykręciłby się zebraniem oddziału samoobrony czy czymś w tym rodzaju.

- Ja... ja nie wiem, czy tu zostanę, lady Mary. Nastąpiła chwila ciszy.

- Co to znaczy, że nie wiesz, czy tu zostaniesz? - zapytała starsza pani z lekkim drżeniem w głosie. - Chyba nie wstąpiłaś do wojska?

- Nie, nie.

- Więc o co chodzi? Wyduś to wreszcie.

- To, co mam do powiedzenia, zaskoczy panią i z pewnością zaszokuje.

- No, no! Czekam z niecierpliwością. Jestem przyzwyczajona do szokujących wiadomości.

- Jestem w ciąży. Dziecko ma się urodzić w październiku. Lady Mary odchyliła się na oparcie fotela - oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia, a mięśnie twarzy napięły. Na chwilę jakby odebrało jej mowę. Zaraz jednak odzyskała równowagę.

- No, no! A więc jesteś w ciąży. W twoim wieku to prawdziwy cud. Nie zapytam, kto jest ojcem, bo sama ci powiem. To pan Joe Remington, prawda? Och, przypuszczałam, że do tego dojdzie.

- Nieprawda, lady Mary.

- Nie doceniasz mnie, dziecko. Przecież nie przyjeżdżałby tu rok w rok i nie wyciągał cię stąd z powodu żony czy ojca. Po prostu tęsknił za tobą. No, co mi teraz powiesz? Że sprytna z ciebie dziewczyna?

- Nie. Chcę jedynie, by pani o mnie źle nie myślała.

- Och! - Lady Mary wyglądała, jakby miała ochotę zerwać się z fotela. - Żeby mi źle o tobie nie myślała? Powinnaś to zrobić dawno temu. I to jak należy, po ślubie. Ale... - Tu pochwyciła ręce Betty. - Gdyby tak się stało, co bym bez ciebie zrobiła przez te wszystkie lata? Byłaś dla mnie jak córka. Co prawda - tu jej głos przybrał ostry ton - bardzo niedbała córka, która poświęcała mi zaledwie nikłą część swojego czasu, całą resztę oddając tej niewdzięcznej bandzie. Ale teraz wróciłaś do domu i będziesz moją prawdziwą córką, a ja będę miała wnuka - oznajmiła już spokojnie i uderzyła się w pierś. - Tak. Będę babcią. Och, kochanie. No już dobrze, dobrze.

Betty zsunęła się z fotela, ukryła twarz na kolanach starszej pani i wybuchnęła stłumionym łkaniem. Lady Mary przytuliła ją i zaniósła w duchu dziękczynne modły do Boga za to, że ulżył jej samotności i dał pewność, że nie umrze sama.

Rozdział 27

Dom wydawał się teraz Joemu straszliwie pusty. Życie w nim zamarło. Wzmożoną aktywność wyczuwało się wszędzie, w miastach, w całym kraju, na całym świecie, a ten dom wydawał się umierać. Przez większość dnia byli w nim tylko ojciec i Mary. On wychodził rano i wracał o szóstej wieczorem. Po drodze wstępował do Chatki, zabierał Martina i razem szli do domu na zaimprovizowany posiłek. Teraz wszystkie posiłki były takie.

Elaine wyjechała do Londynu owego pamiętnego dnia, kiedy to tyle się wydarzyło. Przed odjazdem rozmawiała jedynie z Martinem. Powiedziała, że jedzie do miasta poczynić pewne przygotowania i wróci po niego. Od tego czasu minęły dwa tygodnie.

Chłopiec wiedział teraz, że David jest jego wujem, a dziadek ojcem Davida. Doszedł również do wniosku, że chociaż ciotkę Bert lubi bardziej niż matkę, mimo wszystko jest mu żal matki. Dotąd nigdy nie było mu jej żal. Nie mógł tego zrozumieć. Wiedział jedynie, że nikt jej nie lubi, a szkoda, bo była taka piękna i jeśli chciała taka miła. Zresztą zawsze była dla niego miła. Gniewała się tylko wtedy, gdy spotykał się z Elizabeth.

Wiedział, że kiedy wróci, będzie chciała go ze sobą zabrać, i że powinien powiedzieć o tym ojcu. Z drugiej jednak strony nie uważał tego za konieczne, ale przecież nie mógł zostawić ojca i dziadka, i Elizabeth. Będzie musiał jej o tym powiedzieć, lecz tak, by się nie

zdenerwowała.

Spojrzał na drzwi, w których właśnie pojawił się ojciec.

- Cześć, tato - przywitał go.

- Cześć, synu. - Joe podszedł do niego i zwichrzył mu włosy. -

Cześć, mała. - Zmierzył włosy na głowie Elizabeth, po czym odwrócił się do Hazel i Davida siedzących po drugiej stronie stołu. - To już koniec. Żegnaj Fabryko Wyrobów Drewnianych Remingtona.

David wstał i podszedł do schowka z boku kominka, skąd wyjął czajnik i nalał herbaty do filiżanki. Podsunął ją Joemu, który usiadł przy stole.

- Kiedy to wszystko się skończy, zaczniesz od nowa.

- Niby z czym?

David nie odpowiedział, za to Hazel zapytała:

- Przyjmiesz ofertę Baxtera na stanowisko dyrektora? Joe spojrzał na nią i pokiwał głową.

- To wbrew mojej naturze, ale albo to, albo praca w przemyśle zbrojeniowym.

- Czy postanowili już, co zrobią z fabryką? Wydzierzawią czy kupią? - zapytał David.

- Wydzierzawią. Zamierzają zrobić tam magazyn, ale kupią wszystkie maszyny. - Spuścił głowę i mruknął: - Nigdy bym nie pomyślał, że do tego dojdzie.

- Dlaczego oni się utrzymali, a ty nie?

- Wielkie rządowe kontrakty - wyjaśnił. - Poza tym Baxter macza palce w wielu sprawach. No cóż. - Uśmiechnął się blado. -

Trzeba będzie zapomnieć o dumie i przyjąć ofertę. Ktoś powiedziałby, że mam szczęście, bo trafiła mi się okazja kierowania podobnym interesem, tylko dwadzieścia razy większym niż mój własny. -

Westchnął, dopił herbatę i wstał od stołu. - Chodź, młody człowieku.

Mary będzie zrzędzić, że wszystko wystygło... albo się spaliło. -

Popatrzył na stół. - Chyba tu nie jadłeś?

- Coś tam przegryzł. - Hazel zaśmiała się.

- Nie mam pojęcia, gdzie ty to wszystko mieścisz? - Joe uśmiechnął się do syna.

- Ja ciągle jestem głodny, tato - odparł Martin. - Mary mówi, że wyrośnięty ze mnie chłopak.

W tej chwili posłyszeli warkot samochodu wjeżdżającego przez bramę. David podszedł do okna, po czym spojrzał na brata.

- Elaine? - domyślił się Joe.

David kiwnął głową, a Joe odwrócił się do Martina.

- Zostań tu - polecił. - Przyjdź do domu trochę później. -

Następnie zerknął przez ramię na Davida. - Odeślij go za jakąś godzinę.

- Tato...

- Bez dyskusji, Martinie.

- Ja... ja nie miałem zamiaru się sprzeczać. Chciałem tylko powiedzieć, że... - Urwał i spuścił wzrok.

- Co takiego?

Chłopiec przeniósł spojrzenie z Joego na Davida i pokręcił głową.

- Nic. Już nic.

Joe ruszył szybko w stronę domu. Taksówka właśnie zawracała. W hallu zatrzymał się i otworzył drzwi do salonu. Nie było jej tam. Kilka minut później wkroczył bezceremonialnie do sypialni i zastał ją siedzącą przy toaletce. Płaszcz i kapelusz leżały na fotelu obok, a ona wycierała sobie twarz bawełnianym wacikiem.

- A więc wróciłaś.
- Na krótko - odpowiedziała po chwili wahania.
- Krótko czy długo, musimy porozmawiać.

Stanął na środku pokoju, skąd mógł widzieć jej odbicie w lustrze.

- Tak. - Skinęła głową. - Musimy porozmawiać. Lecz to, co mamy sobie do powiedzenia, nie zajmie dużo czasu. Przyjechałam w jednym celu: by zabrać Martina.

- Coś podobnego! - Zaśmiał się ironicznie, na co odwróciła się do niego twarzą.

- Tak - powiedziała spokojnie. - Jeżeli myślisz, że pozwolę, by się wychowywał w towarzystwie twojego ojca i tego mieszańca, jego syna, nie mówiąc już o tobie, to się mylisz.

- A jakież to powody przedstawiś, by mi go zabrać?

- Cudzołóstwo. Och, wiem wszystko o twoich wyprawach do Newcastle.

- Podobnie jak ja o twoich wyprawach do Londynu.

- Nie możesz mi niczego udowodnić. Mieszkałam u mojego wuja.

- Który jest głuchy jak pień i prawie ślepy i który ma służącą na przychodne.

Pokręciła głową.

- Niczego nie możesz mi udowodnić.

- Mogę i zrobię to, bo chcę rozwodu.

Mięśnie jej twarzy się napięły. Roześmiała się i wykrzyknęła:

- Liczysz na to, co? A więc oświadczam ci tu i teraz, że nigdy nie dam ci rozwodu ani ty nie rozwiedziesz się ze mną. Jedyne, na co mogę przystać, to na separację. Oczywiście jeżeli otrzymam sowitą rekompensatę za kłopot i opiekę nad dzieckiem.

- Chcę rozwodu, Elaine, i mam zamiar go otrzymać - oświadczył, dobitnie wymawiając każde słowo. - Wkrótce znów zostanę ojcem i chcę dać dziecku moje nazwisko.

Zmarszczyła brwi.

- To dziwne - powiedział - że twój przebiegły mały mózdzek niczego się nie domyślił, kiedy Betty powiedziała ci, że spodziewa się dziecka.

Wstała i odchyliła się w tył, jakby pod wpływem uderzenia. Jej wciąż piękne usta otworzyły się szeroko, po czym wolno zamknęły, a oczy zwięzły w szparki.

- Ty... ty i ona? Mój Boże! Falszywa, przebiegła, świętoszkowata suka!

- Możesz to samo powiedzieć o sobie, Elaine. Przynajmniej jeśli chodzi o fałsz i przebiegłość. Nigdy jednak nie będziesz świętoszkowate.

Ściągnięte do tyłu ramiona wyrzuciła teraz w przód i krzyknęła:

- Nienawidzę cię! Nienawidzę i gardzę tobą. To rozstrzyga całą

sprawę. Póki żyję, nie dam ci rozwodu. Ona może sobie mieć twojego bękarta, ale on nigdy nie będzie nosił twojego nazwiska.

- A ja myślę, że będzie. Jeśli nie chcesz znaleźć się w sądzie oskarżona o morderstwo, to lepiej, żebyśmy doszli do porozumienia, Elaine.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Nie bądź taka zdziwiona. Doskonale wiesz, o czym mówię. Zabiłaś ją, prawda?

Cofnęła się i omal nie przewróciła o stołek. Oparła się o niego ręką i usiadła.

- Oszalałaś?

- Nie oszalałem i dobrze o tym wiesz. Lecz to nie ja będę świadczył przeciw tobie, lecz doktor Levey.

- Doktor Levey? - powtórzyła.

- Tak, doktor Levey. Pewnie nie zauważyłaś, że Martin nie krzyczy już od jakiegoś czasu. Doktor Levey poddał go hipnozie i chłopiec opowiedział, co widział. Nazwał cię czarną panią. Pamiętasz ten szlafroczek? Dziwne, ale od tamtej nocy nigdy go nie włożyłaś, prawda? Co się z nim stało?

Uniosła dłonie do gardła i zaśmiała się nieszczercze.

- Kto w to uwierzy? Hipnoza. Nie dopuszczą cię do głosu.

- Pamiętasz Nellie? - zapytał, ignorując jej uwagę. - Potwierdzi, że chłopiec nie mógł spuścić siatki. I nie zapominaj o Betty.

- Betty! Betty! - krzyknęła, zaciskając zęby. - Nie wiem, kogo bardziej nienawidzę, ciebie czy jej.

- Dziwne, bo właśnie my dwoje zrobiliśmy dla ciebie najwięcej. Wykorzystywałeś nas oboje. Właściwie to wykorzystywałeś ją, jeszcze zanim cię poznałem.

- I na pociechę zrobiłeś jej dziecko? Rzeczywiście, potrzebuje pociechy. Czy patrzyłeś jej w twarz, kiedy to robiłeś?

Zacisnął szczęki. Przez chwilę nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Tak - odpowiedział. - Przez cały czas. I uważam ją za znacznie piękniejszą od ciebie.

Chwyliła leżące na toalecie oprawione w srebro ręczne lustro i cisnęła w niego. Uderzyło w ścianę nad kominkiem, a kawałki szkła poleciały na Joego. Nie ruszył się, trwając nieruchomo jak głaz. Po chwili, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność, zaczął się cofać ku drzwiom.

- Wyjdź stąd natychmiast - powiedział, kiedy dotarł do drzwi. - Odtąd będziemy się porozumiewać przez mojego adwokata.

Otworzył drzwi i szybko je zamknął, unikając uderzenia srebrnej szczotki.

Poszedł wolno na drugie piętro. Ojciec pewnie słyszał awanturę i będzie chciał się dowiedzieć, o co poszło. Nie zastał go w pokoju. Kiedy stanął w drzwiach pracowni, spostrzegł ze zdumieniem, że półki wzdłuż jednej ze ścian, na których stały dziesiątki miniaturowych modeli, są puste. Część z nich znajdowała się na długim drewnianym stole stolarskim, inne zaś w pudełkach.

Ojciec siedział na wysokim stołku przy końcu stołu. Spojrzał na

syna i rzucił szorstko:

- Pozbywam się ich. Niech je sprzedadzą. Przyda się trochę grosza.

- Ale dlaczego? - zapytał Joe, podchodząc do niego wolno. - Dlaczego właśnie teraz?

- Chyba nie powinieneś o to pytać. Ale nie mam ci za złe, jeśli chodzi o Betty.

- Dziękuję, ojczu.

Popatrzyli sobie w oczy, po czym Joe wyszedł.

Przechodząc przez hall, usłyszał Elaine rozmawiającą przez telefon w gabinecie, a potem stuk odkładanej słuchawki.

Kiedy był w połowie drogi do Chatki, zobaczył idącego w jego stronę Davida.

- Przepraszam, Joe - powiedział. - Ale mam dyżur o wpół do ósmej, więc muszę już iść. Szukałem wszędzie Martina. Był na dworze z Elizabeth. Przyszła przed chwilą i powiedziała, że uciekł. Pewnie wrócił do domu.

- Właśnie stamtąd idę. Nie widziałem go. Ale zbieraj się, sam go poszukam.

Rozstali się i Joe minął ogród warzywny, szklarnie i dotarł do zagajnika, wołając: „Martin, Martin!” Nie było odpowiedzi. Przez dziesięć minut przeszukiwał teren i właśnie zbliżał się do Chatki, kiedy zobaczył wjeżdżającą na podjazd taksówkę. To po nią telefonowała, pomyślał.

Wszedł do domku tylnymi drzwiami.

- Czy jest tu Martin? - zawołał. Hazel i Elizabeth wyszły z saloniku.

- Nie, Joe.

Właśnie miał zamiar zapytać Elizabeth, co Martin powiedział jej, zanim uciekł, kiedy rozległo się wycie syren alarmowych.

- O Boże! - wykrzyknęła Hazel z przestachem. - To nie może być nalot. W biały dzień?

- Idźcie do schronu - polecił.

W tym momencie tylne drzwi otwarły się na oścież i stanął w nich Martin. Ciężko dyszał.

- Syreny, tato.

- Gdzieś ty się podziewał?

Joe niemal rzucił się na niego i chwycił go za ramiona.

- Dlaczego uciekłeś?

- Ja... ja...

- No?

- Jak... jak przestaniesz mną trząść, to... to ci powiem. - Jego słowa były tak niespodziewane, że Joe natychmiast go puścił. Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, po czym Martin powiedział z nutą buntu w głosie: - Ja... ja chciałem się zobaczyć z mamą... tylko zobaczyć.

- Czyżby?

- Naprawdę. Zo... zobaczyła mnie z okna sypialni, kiedy byłem na podjeździe. Krzyknęła, żebym tam na nią zaczekał, bo zaraz do mnie schodzi.

- No i?

Chłopiec pokręcił głową i oparł mu ją na piersi.

- Nie zostałem. Uciekłem do ogrodu.
- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał cicho Joe.
- Ja... ja nie chciałem z nią jechać - odpowiedział Martin równie cicho. - Ona miała wszystko przygotować, by zabrać mnie ze sobą ale... ale pomyślałem, że chciałbym tylko ją zobaczyć.

Joe pogładził chłopca po włosach.

- Ale gdzie byłeś? - zapytał. - Wszędzie cię szukałem i wołałem.
- Wiem - odpowiedział, nie podnosząc głowy. - Słyszałem cię. Ale... ale ona poszła za mną do ogrodu. Schowałem się za krzakami przy płocie. Widziałem, jak idzie ścieżką. Była... była ubrana jak do wyjścia.

Wycie syren ucichło, rozległ się natomiast warkot samochodu na podjeździe. Wszyscy spojrzeli w stronę saloniku. Elizabeth podbiegła do okna.

- To taksówka - oznajmiła. - Odjechała. Joe odetchnął z ulgą.
- Schodzimy do schronu - oznajmił szorstko.

I wtedy zagrzmiały działa obrony przeciwlotniczej, po którym dał się słyszeć odległy, lecz złowieszczy warkot samolotu.

- Mój Boże! Lecą nad miastem.

Przebiegli galopem na tyły ogrodu do schronu przeciwlotniczego. Joe zatrzymał się u szczytu schodów i spojrział w dół na trzy twarze.

- Zostańcie tu. Nie martw się o Davida, Hazel. Nic mu się nie stanie. Ja idę po ojca. Wątpię, czy uda mi się ściągnąć tego starego głupca na dół, niemniej jednak...

Jego słowa przerwał kolejny huk, tym razem nieco bliżej. Joe spojrział w niebo i kiedy usłyszał szum nadlatujących samolotów, wykrzyknął:

- Boże! Są tuż nad nami.
- Schodź, Joe! - krzyknęła Hazel, chwytając go za nogawkę spodni. Zanim jednak zdążył uczynić krok w jedną lub drugą stronę, ziemia zadrżała i siła uderzenia pchnęła go na dół. Sekundę później leżeli zbici w bezładną gromadkę na wąskiej podłodze schronu.

Powoli podnieśli się z ziemi. Joe nie był w stanie mówić. Przepęłniał go strach, strach przed wyjściem na górę.

- Te dwie spadły bardzo blisko - odezwała się Hazel. - Dlaczego zrzucają bomby właśnie tu, ponad trzy mile od doków?

Nie odpowiedział, tylko powoli wyszedł po stopniach na powierzchnię.

- Dom! Hazel! Dom! - wykrzyknął, prostując się.

Zaczął biec przez ogród warzywny ku podjazdowi. Zanim jeszcze minął zakręt, wiedział, co zobaczy, niebo bowiem zasłaniała chmura czarnego dymu. Kiedy dotarł do rumowiska, które jeszcze przed chwilą było jego domem, jęknął w rozpacz:

- Och, ojcie. Ojcie. Och, nie! Nie! Ojcie. Ojcie. O Boże, nie!
Bomba trafiła prosto w dom, a podmuch rozrucił gruz na obszar trzy razy większy od posiadłości. Joe popatrzył na kawał otynkowanej płyty leżącej u jego stóp, z przyklejonymi do niej liśćmi powojnika. Wieżyczka obserwatorium wbiła się czubkiem w rozwidlenie dębu i wyglądała teraz niczym lodowy stożek. Zachowała się część jednej ze

ścian salonu z obramowaniem kominka, nad którym wisiał przekrzywiony obraz przedstawiający wnętrze holenderskiego domu. Zobaczył tylko ramę, lecz w myślach widział kobietę i dziecko i piękną podłogę wyłożoną kaflami.

Trzask płomieni z prawej strony zmusił go do odwrócenia głowy i popatrzenia tam, gdzie przedtem była kuchnia. Tam musiała być Mary.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że ktoś przy nim stoi, póki nie usłyszał płaczliwego głosu Martina.

- Och, dziadku. Dziadku.

Joe odwrócił się wolno i spojrzał bez słowa na Hazel i Elizabeth. Dziewczynka płakała. Jakże jej zazdrościł. Miał ochotę się rozpłakać, rzucić na ziemię i walić w nią pięściami. Och, ojczy! Ojczy!

Czemu nie należał, by mieszkał na dole? Zresztą czy to miało teraz jakieś znaczenie? Dlaczego nie pobył z nim trochę dłużej i nie pomógł pakować dorobku całego życia? No tak, była przecież Elaine. Zawsze ta Elaine. Do diabła z nią. Przypomniawszy sobie wyraz twarzy Mike'a: jakby wiedział, co go czeka.

Odwrócił się od dymiących gruzów i spojrzał na podjazd, skąd dochodził warkot ciężkiego pojazdu i sygnał karetki pogotowia.

Zapadał już zmrok, kiedy zdjęli ostatnią belkę z ciała Mike'a. Zginał przywalony wspornikami, na których opierała się wieża. Był cały szary, poczynając od włosów aż po kaptur. Nawet spływająca z szyi krew była pokryta kurzem.

Joe z Davidem i dwoma ochotnikami z lokalnej samoobrony

wynieśli go z rumowiska i położyli na trawniku.

Później mężczyźni usunęli się na bok, pozostawiając ojca i syna samych. Ochotnicy nie wiedzieli, że jest jeszcze jeden syn.

- Po raz pierwszy w życiu go dotknąłem - odezwał się David niskim, stłumionym szeptem.

Joe nie odpowiedział. Przytłaczał go smutek, mimo to wyczuł ton potępienia w głosie Davida.

- Po raz pierwszy w życiu go dotknąłem - powtórzył David. Jak by się czuł, gdyby stary Remington nie wyznał mu, że on jest jego synem? David dowiedział się, że jest synem szefa, z pośmiertnego listu Franka Brooksa. Joe zaś dowiedział się, że David jest jego przyrodnim bratem, od matki. Miał wówczas osiem lat.

- Przepraszam pana - posłyszał za sobą głos.

Odsunął się i pozwolił, by dwóch mężczyzn położyło ciało na noszach. Kiedy doszli do ambulansu, Joe nagle oprzytomniał i pobiegł za nimi.

- Dokąd go zabieracie? - zapytał.

- Do kostnicy Szpitala Świętej Małgorzaty, proszę pana. Kiwnął głową i patrzył, jak zamykają się drzwi za człowiekiem, którego kochał i który budził w nim tyle współczucia.

Kiedy karetka odjechała, popatrzył na Davida i powiedział cicho:

- Nie miej do niego pretensji. On zawsze o tobie myślał. To nie dawało mu spokoju. Obserwował cię i był z ciebie dumny. Wiele by dla ciebie zrobił, gdybyś tylko mu na to pozwolił. Nie czuj do niego urazy.

- A jak ty byś się czuł na moim miejscu?
- Pewnie tak samo jak ty teraz, lecz przeszłości nie da się wskrzesić. Jedyne, co możemy zrobić, to ujawnić, kim dla siebie jesteśmy.

David nie odpowiedział. Odwrócił się, spojrzął w stronę, gdzie kiedyś była kuchnia, i mruknął:

- Lepiej poszukajmy Mary.

Rozdział 28

Cztery dni później odbył się pogrzeb Mike'a. Na cmentarz przyszło sporo ludzi i mała kaplica pękała w szwach. Joe i David stali obok siebie nad grobem, po prawej stronie Joego Martin, a przy nim Betty.

Kiedy pierwsze grudki ziemi spadły na trumnę, odwrócili się wolno, lecz zamiast pójść za wszystkimi, ruszyli za pastorem główną aleją do miejsca spoczynku Mary...

Wkrótce uroczystość dobiegła końca. Wsiedli do samochodu i wrócili do Chatki. Przez ostatnie cztery noce Joe i Martin spali w małym gościnnym pokoiku w Chatce, a Betty w hotelu w Fellburn.

Weszli do salonu, a Hazel zaczęła gorączkowo szykować herbatę, nie przestając przy tym mówić.

- Rozbierajcie się i siadajcie. Wszystko gotowe. - Wskazała na

zastawiony do posiłku stół. - Woda w czajniku zaraz się zagotuje.
Elizabeth, weź rzeczy panny Betty. Davidzie, przynieś węgiel, dobrze?
Ogień gaśnie. Jak się ta pogoda zmienia.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, Hazel zamilkła w pół słowa i spojrzała na Davida.

- Zobacz, kto to, dobrze?

Przed drzwiami stał chłopiec w mundurze z żółtawą kopertą w ręku.

- To... to dla pani Remington. Domu nie ma, ale pomyślałem, że...David przekazał telegram Joemu. Ten przyglądał mu się chwilę, po czym otworzył go i przeczytał:

Telefonowałem. Bez skutku. Wuj T niespokojny. L.

- Czy będzie odpowiedź?

- Nie, nie. - Podał telegram Davidowi. - Co to może znaczyć?

- Przecież wróciła do Londynu? - powiedział David cicho.

- Tak. - Joe skinął głową. - Zamówiła taksówkę.

Ponownie spojrzał na telegram. *Wuj T niespokojny. L.* Wiedział, kim jest ten „L.” I to nie wuj Turnbull się niepokoił. Pewnie L. poszedł do wuja i nie zastał jej...

Podniósł wzrok i napotkał pytające spojrzenie Davida. Pokręcił głową.

- Nie, nie - powiedział. - Na pewno odjechała taksówką. Czy widziałeś, jak mama wsiada do taksówki? - zapytał Martina.

- Nie, tato.

- Kiedy ostatni raz ją widziałeś?

- Kiedy... no... mówiłem ci, kiedy szła w stronę domu, ubrana jak do wyjścia.

Joe spuścił głowę. A jeżeli nie wsiadła do taksówki i weszła do domu? Szukali tylko dwóch osób - ojca i Mary. Ella ocalała, bo miała wolny dzień. Joe podniósł głowę i spojrzął na Davida.

- Do kogo należała taksówka? Do Fowlera?

- Albo do niego, albo do Rowlanda - odpowiedział. - Trzeba to sprawdzić. Możesz zatelefonować z budki przy torach kolejowych.

- Tak, tak. - Joe przeniósł wzrok na Betty. Przyciskała palce do ust. Wymienili spojrzenia i Joe wyszedł z Davidem.

W firmie Fowlera powiedziano mu, że nie było żadnego zgłoszenia od pani Remington. Natomiast u Rowlanda poinformowano, że pani Remington zamawiała taksówkę, lecz kierowca nie mógł się doczekać pasażerki, a potem rozległy się syreny, więc pomyślał, że lepiej będzie wrócić do bazy.

- A więc nie zabrał pani Remington? - Joe spojrzął na Davida, który przytrzymał drzwi, i kiedy padła odpowiedź: „Nie, już mówiłem”, wolno odwiesił słuchawkę. Wyszedł z budki i wsunął palce we włosy.

- Ona musi tam być - powiedział.

Znaleźli ją trzy godziny później. Musiała być w hallu, kiedy bomba trafiła w dom. Pył, który ją zasypał, sprawił, że wyglądała, jakby nic jej się nie stało. Przez rękę miała przewieszoną torebkę, a dłonie obciążone szarymi jedwabnymi rękawiczkami. Nogi zmiądzły jej belka, lecz górną część ciała ochroniły schody,

spełniając rolę parasola, który zatrzymał spadające cegły. Za ledwie kilka jardów od niej znaleźli Mary - los obszedł się z nią bardzo okrutnie, tymczasem Elaine wyglądała jak nietknięta...

Następnego dnia, kiedy Joe stał nad trumną w kaplicy pogrzebowej i patrzył na twarz, która niegdyś go oczarowała, pomyślał, że dobrze się stało, iż nie została oszpecona. Elaine była taka wrażliwa na punkcie swego wyglądu. Wszystkie związane z nią myśli przepelniało głębokie poczucie winy. Bronił się przed tym, lecz nic nie mógł na to poradzić. Powiedział o tym Betty, kiedy wracali razem z zakładu pogrzebowego.

- Gdybym się z nią rozwiódł, nienawidziłbym jej i czułbym się usprawiedliwiony, bo zrobiła mi z życia piekło. Teraz jednak zadaję sobie pytanie, czy to nie siebie przede wszystkim powinienem winić, bo to ja ją tu przywiozłem. Dla niej było to obce otoczenie. Nawet za śmierć dziecka już jej nie winię. Potrafię na to spojrzeć oczami ojca. I chociaż wiem, że nadal by żyła, gdyby nie starała się zabrać mi Martina, to jestem w stanie popatrzeć na wszystko z jej punktu widzenia. To nierozsądne, niekonsekwentne, bo śmierć nie zmazuje ludzkiej podłości, okrucieństwa czy lubowania się w zadawaniu bólu. Mimo to mam wyrzuty sumienia.

- Nie tylko ty - powiedziała Betty. - Była przecież moją siostrą. Znałam ją dłużej niż ty. Już w dzieciństwie zdradzała samolubne skłonności. Wszystko musiało być tak, jak ona chciała, w przeciwnym razie wystawiała twoją cierpliwość na wielką próbę, delikatnie mówiąc. Lecz mimo to miałeś uczucie, jakbyś to ty postępował źle. Przez całe

życie mnie wykorzystywała i wiele razy znęcała się nade mną moralnie. Rany na ciele się goją, lecz na duszy - nigdy. Były chwile, kiedy nienawidziłam jej, i teraz muszę wyznać, że nigdy jej nie kochałam. Inne kobiety też nie były w stanie jej pokochać. Była dla nich zagrożeniem. Znajdowała przyjemność w ranieniu ich poprzez ich mężczyzn. Jednak zdając sobie z tego wszystkiego sprawę, ja też czuję się winna, tym bardziej że oszukiwałam ją przez ostatni rok. Do tej pory nie myślałam, że robię komuś krzywdę, bo ona cię przecież nie kochała, a ja tak. Teraz jednak nie wiem już, co myśleć.

Joe wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Akurat tej jednej rzeczy nie powinnaś żałować. Jesteśmy teraz w stanie wzburzenia emocjonalnego. Ale miejmy nadzieję, że to minie. Doktor Pearce napomknął coś na ten temat dziś rano. Wiedział, jak było między mną a Elaine. „Początkowo będzie pan czuł się podle - powiedział. - Będzie się panu wydawało, że była aniołem, a potem realizm znowu weźmie górę”.

- Naprawdę tak powiedział?

- Tak. Wówczas nie zwróciłem na to uwagi, lecz teraz myślę, że miał rację. Mówił też, że takie poczucie winy często zdarza się kobietom, które opiekowały się rodzicami, poświęciły im życie, a kiedy zmarli, wyrzucały sobie, że źle o nich myślały.

- Oby tak było.

Szli teraz brzegiem rzeki. Joe wbił wzrok w ścieżkę i zapytał cicho:

- Powiedziałaś mi, że przyrzekłaś starszej pani, że z nią

zamieszkaś. Czy to nadal jest aktualne?

- Tak, Joe - odpowiedziała po chwili wahania. - Obawiam się, że muszę. Ona... ona przyjęła mnie z otwartymi ramionami. W tych okolicznościach mogła mi przecież pokazać drzwi. Jej pokolenie nie toleruje rozwiązości.

- Rozwiązości? - powtórzył z wyrzutem.

- Tak właśnie mogła to nazwać, choć tego nie zrobiła.

Obiecałam, że z nią zostanę do jej śmierci. I... i to, co ci teraz powiem, niczego nie zmienia, ale chciałabym, abyś wiedział, jaki jest jej stosunek do mnie. Kilka miesięcy temu sporządziła testament, w którym zapisała mi dom i - jej głos przeszedł w szept - i znaczną część swojego majątku.

Kiedy nic nie odpowiadał, podniosła na niego wzrok.

- Cieszę się, ze względu na ciebie - powiedział wolno.

- Och, Joe! Znalazłam się w położeniu bez wyjścia. Ale ty możesz mnie z tego wyciągnąć.

- Nie wiem jak.

Szli przez chwilę w milczeniu.

- Dziś rano rozmawiałam z nią przez telefon - powiedziała.

- Ona... ona chce, abyście ty i Martin zamieszkali u niej.

Znieruchomiał i spojrzał na nią zaskoczony.

- Zamieszkać u niej? Och, nie zniosłaby tego i ja pewnie też nie.

- Nie tylko by to zniosła, ale bardzo by chciała. Znam ją i wiem, że z otwartym sercem cię przyjmie. I Martina też.

- Ale co z moją pracą?

- Przecież i tak nie chciałeś pracować u Baxtera. Do miasta stamtąd niedaleko i na pewno coś sobie znajdziesz. Zresztą w obecnej sytuacji prawdopodobnie będziesz miał coś poważniejszego do roboty niż kierowanie fabryką opakowań.

Ruszyli dalej.

- Będę musiał to przemyśleć, Betty - powiedział po chwili.
- Teraz wiem jedno: Kocham cię i potrzebuję. Nawet nie wiesz, jak bardzo. I chcę się z tobą ożenić.

RS

Rozdział 29

Promienie słoneczne odbijały się w tafli wody. Martin siedział na brzegu rzeki, machając stopami nad wodą. Tuż obok niego, oparta na łokciu, leżała na trawie Betty.

- Czy można byłoby tu popływać łódką, ciociu Bett?
- Łódką? Dlaczego nie? Chociaż nie wiem, jak daleko udałoby ci się popłynąć, nie trafiając na kamień.
- Podoba mi się tu, ciociu Bett - powiedział chłopiec cicho.
- Cieszę się, Martinie.
- Brakuje mi dziadka, ciociu Bett.
- Mnie również, Martinie.
- I... było mi smutno, kiedy Elizabeth wyjechała. To było tydzień temu, a mnie się wydaje, jakby minęły całe lata.
- Będzie do ciebie pisać.
- To nie to samo.
- Podoba ci się lady Mary?
- O tak - odpowiedział ze śmiechem. - Jest śmieszna. Dziś rano uderzyła mnie w pierś i powiedziała, że muszę trenować boks.
- Boks? - zapytała rozweselona Betty. - Dlaczego boks?
- Powiedziała, że zawsze podziwiała bokserów.

Wybuchnęli śmiechem i Betty spojrzała w stronę, gdzie siedzieli starsza pani i Joe. Pomodliła się w duchu, by lady Mary nie była tego dnia zbyt szorstka i ostra.

- Gdybym miała córkę - mówiła starsza pani - chciałabym, aby była podobna do Betty. Zupełnie zwyczajna, by nie zaćmiewała mnie swoim blaskiem, i rozumna. Ale pewnie byłaby piękna, samolubna i zepsuta, a ja bym tak sama siedziała i płakała, że mnie zaniedbuje, a ona czekałaby, aż umrę, by dostać się do moich pieniędzy. Oj, oj, proszę nie patrzeć z takim wyrzutem. Świat pełen jest chciwych ludzi, tylko my się nie chcemy do tego przyznać. - Siedziała przez chwilę nieruchomo, szarpiąc koronkowy żabot. Potem wygładziła suknię na kolanach i mówiła dalej: - Wygląda na to, że szykuje się między nami szarpanina, panie Remington, a jestem pewna, że żadne z nas tego nie chce. Rozumiem, że chce się pan ożenić z Betty, uczynić ją swoją żoną. I słusznie, bo spodziewa się pańskiego dziecka. Jeśli o mnie chodzi, to chcę ją mieć przy sobie, przynajmniej częściowo dla kilku egoistycznych powodów: pragnę jej towarzystwa, lecz przede wszystkim nie chcę umierać w samotności. Jednocześnie chciałabym ją zabezpieczyć. Niech ma coś własnego. Proszę zważyć, że zadbałam o to, jeszcze zanim powzięłam podejrzenia co do was obojga. Nie chciałam, by służyła za niewolnicę nudnym starym kobietom. Ja nie jestem nudną starą kobietą. Więc co zrobimy? Chwileczkę. Jeszcze nie skończyłam. - Usadowiła się głębiej w wiklinowym fotelu, spojrzała w stronę, gdzie siedziała Betty z Martinem, i powiedziała cicho: - Byłaby to dla mnie największa przyjemność móc gościć tu pana na stałe, bo dom nie jest prawdziwym domem, jeśli nie ma w nim mężczyzny... Kiedy straciłam mojego trzeciego męża, zaczęłam wędrować od hotelu do hotelu, i kiedy w końcu osiadłam w tym domu, miałam nadzieję, że

to skłoni Betty, by ze mną zamieszkała. Już wyobrażałam sobie, jak szczęśliwie będziemy tu razem żyć. Zapewne tak by się stało. Brakowałoby by nam tylko tej swoistej atmosfery, jaką wnosi mężczyzna. To mężczyzna tworzy rodzinę, na wiele zresztą sposobów. Dlatego, panie Remington, gdyby zechciał pan zostać głową tego domu, byłby pan mile widziany, bo wówczas zyskałabym nie tylko córkę, ale i syna, i... wnuka.

Dopiero po pewnym czasie uniosła głowę i spojrzała na Joego. Uśmiechnął się.

- Mogę tylko powiedzieć „dziękuję”, lady Mary - powiedział miękko.

- W takim razie załatwione. Cha, cha! Nagle wszystko okazało się takie proste. Wszelkie troski i kłopoty poszły precz. No, no! Więc czego pan tu jeszcze siedzi? - rzuciła buńczucznie. - Idź pan prędko do Betty, która pewnie umiera tam z niepokoju.

Wstał i choć zagryzał dolną wargę, oczy mu błyszczały.

- Zdaje się, że ma pan kolorowego przyrodniego brata. On również będzie tu mile widziany. Nie wierzę w grzechy ojców i tym podobne bzdury.

Spojrzał na nią ciepło i rzekł:

- Dziękuję. Po czym dodał:

- Bardzo dziękuję i mam nadzieję, że... że okażę się dobrym synem.

Nie odpowiedziała. Zacisnęła tylko wargi i patrzyła, jak się oddala.

- Czy jest szansa, by udało się panu dostać na lewo trochę benzyny? - zawołała jeszcze za nim. - Lubię sobie czasami pojeździć.

Popatrzył na nią i zaczął się śmiać.

- Wszyscy tak robią, więc dlaczego i my nie mielibyśmy? - zapytała, rozciągając usta w uśmiechu. - Proszę się tym zająć.

Betty już na niego czekała. Martin również wstał. Objął ich oboje i przytulił do siebie.

- Wszystko w porządku? - zapytała cicho Betty.

- Tak, tak, w porządku, tylko... tylko będę musiał wejść w kontakt z czarnym rynkiem. Za wszystko trzeba płacić.

Odsunął delikatnie Martina od siebie.

- Idź dotrzymać towarzystwa lady Mary - powiedział.

Kiedy chłopiec pobiegł w stronę domu, Joe wziął Betty za rękę i poprowadził ją brzegiem rzeki. Kiedy znaleźli się za zasłoną z drzew, wziął ją w ramiona, przytulił mocno i spojrzał w oczy.

- To wszystko jest zbyt piękne, by było prawdziwe - powiedział cicho. - W tej chwili nie widzę żadnych kłopotów na horyzoncie. Kiedy jednak jakiś się pojawi, w co nie wątpię, obiecaj mi jedną rzecz.

- Wszystko, co zechcesz, Joe.

- Obiecaj mi, że nigdy nie zamkniesz przede mną drzwi.

- Och Joe, Joe!

- Przestań się śmiać.

- Kiedy nie mogę. Och Joe!

Gdy się uspokoiła i spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich po raz pierwszy prawdziwą głębię uczuć. To ją uskrzydliło. Oto miała w

sobie moc kogoś, kto był kochany. Nieodłączną cechą miłości jest strach przed jej utratą i właśnie ten strach kazał jej ukochanemu powiedzieć, by nie zamykała przed nim drzwi. Stała się teraz kobietą, która, jeżeli zechce, będzie mogła zamknąć drzwi przed mężczyzną.

Mężczyźni są dziwni. Życie też jest dziwne. W tej chwili czuła się tak, jakby przytulała do siebie i Mike'a, i Joego. Obaj cierpieli przez kobiety, które zamknęły przed nimi drzwi. Dla Joego był to cios zadany jego męskości, męskiemu ego. Dzięki temu, że wypowiedział na głos swoje obawy, poczuła się... pożądana?

Tak, pożądana.

Przywarła wargami do jego ust i trwali tak w długim, namiętym pocałunku - niemal do utraty tchu. Kiedy wreszcie się od siebie odsunęli, spojrzeli sobie w oczy i wybuchnęli beztroskim śmiechem. Gdy posłyszeli go Martin i lady Mary, popatrzyli na siebie i chłopiec chwycił starszą panią za rękę. Lady Mary odpowiedziała uściskiem i oboje zaśmiali się jak para konspiratorów złączonych wspólnym sekretem.